

Najlepsze opowiadania z portalu
Herbatka u Heleny

Tea Book 2

Fantasy

Krzysztof Baranowski

Tomasz Borkowski

Karol Mitka

Przemek Morawski

Antoni Nowakowski

Magdalena Pasik

Agnata Sienkiewicz

Bohdan Waszkiewicz

Tomasz Zawada



Tea Book 2

Fantasy

Najlepsze opowiadania z portalu
„Herbatka u Heleny“

Krzysztof Baranowski
Tomasz Borkowski
Karol Mitka
Przemek Morawski
Antoni Nowakowski
Magdalena Pasik
Agata Sienkiewicz
Bohdan Waszkiewicz
Tomasz Zawada



Piotrowice 2017

Redakcja, opracowanie graficzne i skład
Agata Sienkiewicz

Korekta
Dominika Plotzke

Fotografia na okładce
Agata Sienkiewicz

ISBN PDF 978-83-942494-6-5
ISBN MOBI 978-83-942494-7-2
ISBN EPUB 978-83-942494-8-9

Prawa autorskie do utworów oraz zdjęć pozostają własnością ich twórców.

Pracownia literacko-artystyczna
„Herbatka u Heleny“
Piotrowice 1
55-311 Kostomłoty
www.herbatkauheleny.pl

Słów kilka...

Ten tom mógłby się nazywać „wspomnień czar”. Pod względem literackim drugi rok mocno nas rozpiescił. Smuci trochę fakt, że większości autorów z zamykającej drugi rok antologii już na Herbatce nie widuję. Jednak cały czas o nich pamiętam i z niesłabnącym entuzjazmem trzymam kciuki za tych, którzy poszli dalej i marzę, żeby w końcu zobaczyć ich nazwiska na półkach każdej księgarni w kraju. Nie przestaję też mieć nadziei, że do pisania powrócą ci, którym zabrakło motywacji i wytrwałości. Pisanie to niewdzięczne hobby, ale czy ten tom nie dowodzi, że macie swoich zwolenników? Może jednak było warto, choćby dla tej grupki nabuzowanych herbatą dewiantów z portalu, gdzie normalne rzeczy nie zdarzają się zbyt często?

Wystarczy tej rozpaczliwej agitacji. Drogi czytelniku! Czego możesz się spodziewać po tym tomie? 42% tajemnicy, 17% śmiechu, 17% romansu, 8% strachu, 8% alchemii i 8% voo doo. Razem: 100% fantastyki.

Otwierające tom „Noblesse oblige” Krzysztofa Baranowskiego to lekka historyjka o tym, jak współcześnie traktuje się arystokratów. „Studnia” Tomasza Borkowskiego to niepokojąca wariacja na temat „młode małżeństwo kupuje wymarzony dom”. „Rytuał” Karola Mitki to powrót do czasów szkolnych i pewna bardzo zniechęcona nauczycielka. Przemek Morawski zabiera nas w dwie podróże w czasie: do bardzo uduchowionego dwudziestolecia międzywojennego w „Cieniu Salamandry” oraz mrocznego baroku w „Corpus Nobile”. Antoni Nowakowski postawi nas przed dwoma zagadkami: tytułowej „Bramy – opowieści o Aaronie Wintersie” oraz małej społeczności „White Creek”. W świat irlandzkich legend zabierze Was Magdalena Pasik w „Seamair”. Agata Sienkiewicz wciągnie Was w wyścig o „Serce gołębic”. Bohdan Waszkiewicz przedstawi klasyczne tudzież komiczne opowiadanie fantastyczne pod tytułem „Fryzjer” oraz fantasy w wersji „urban” z voo doo w tle – „Biała nienawiść”. Tom kończy niezbyt radosne spojrzenie na bardzo radosny zwyczaj – „Topienie” Tomasza Zawady.

Mam nadzieję, że wymienione nazwiska już w tym momencie brzmią znajomo. A nawet, jeśli nie, to obyście po lekturze z werwą i wielkim apetytem zabrali się za poszukiwanie kolejnych tekstów ich autorstwa, bo każdy ma na koncie już spory dobytek, gwarantujący niejedną wieczór ze wspaniałą lekturą.

Milego czytania!
Helena Chaos

*Krzysztof
Baranowski
(baranek)*



Znamy się mało...

...więc może ja bym powiedział parę słów o sobie...

...najpierw.

Urodziłem się...

...urodziłem się w Mragowie...

...w 1969 roku...

...w sierpniu...

...znaczy, w połowie sierpnia...

...w drugiej połowie sierpnia, właściwie.

Dokładnie – 18 sierpnia.

No, to tyle może o sobie...

...na początek.

Do znalezienia na:

<http://baranekwsieci.blogspot.com/>

Noblesse oblige

Apolinary Radziwiłł (z tych Radziwiłłów) przelatywał powolutku nad Warszawą. Podziwiał nocną panoramę miasta i rozmyślał. Lekki wiaterek, który delikatnie tarł mu futerko na brzuszku, sprzyjał zarówno lotowi, jak i rozmyślaniom. Te ostatnie dotyczyły głównie rozciągającej się pod Apolinarym panoramy. Rozciągającej się, rzecz by można, coraz bardziej. Już dawno, a dokładniej – pod koniec dziewiętnastego wieku, zaprzestał prób przelotu nad całym miastem. Tak od krańca – do krańca. Jego niewielkie, błoniaste skrzydelka nie sprostałyby takiemu wyzwaniu. A i czasu było niewiele. Nie mógł przecież pozwolić, by świt zastał go w powietrzu. Tak po prawdzie, nie mógł pozwolić, by świt zastał go gdziekolwiek, poza zaciszem rodzinnej krypty. Apolinary Radziwiłł był bowiem wampirem i promienie słoneczne niekorzystnie działały na jego organizm. Perspektywa splonięcia wydawała się w tym przypadku bardziej niż prawdopodobna. Tak słyszał. I chociaż z reguły nie dawał wiary zasłyszonym przypadkowo plotkom, w tym konkretnym przypadku nie mógł się jakoś zdecydować na samodzielne eksperymenty.

Tak czy inaczej, Apolinary Radziwiłł (z tych Radziwiłłów), przemieniony w niewielkiego, czarnego nietoperza, szybował nad miastem i podziwiał widoki. Oraz wypatrywał posiłku. Nie było to przesadnie absorbujące zadanie. Miasto przez całą noc tętniło życiem. A na tętnicach Apolinary znalazł się jak mało kto. Zwykle bez trudu wynajdywał odpowiedni obiekt. Tym bardziej, że władze pomagały jak mogły, nie dbając zupełnie o oświetlenie sporych połaci miasta. Samotna kobieta, ciemny zaułek, czegoż więcej potrzebuje do szczęścia głodny wampir?

Także tej nocy dość szybko znalazł przemierzające wyjątkowo ciemną ulicę danie. Bezszelestnie wylądował za plecami kobiety, równie bezszelestnie dokonał przemiany i delikatnie, pieszczośliwie prawie dotknął jej ramienia. Najpierw drgnęła zaskoczona (zawsze tak robią), a potem powoli odwróciła się w jego stronę. Apolinary ujrzał skośne, obecnie rozszerzone nieco strachem oczy i pyzate, żółte oblicze. Na którym już po chwili zagościł szeroki, przyjazny uśmiech.

Apolinary nie lubił Azjatów. Owszem, decydował się czasami, ale szczerze mówiąc nie smakowali mu specjalnie.

Po pierwsze – niewiele wiedzieli o wampirach. Nie robiły na nich wrażenia ani tradycyjny strój, ani tradycyjne zachowania. Do samego końca zdawali się nie wiedzieć, o co właściwie chodzi. To psuło mu całą przyjemność. I smak. Wiecie co mówią o źle podanym jedzeniu, prawda?

Po drugie – lubił pokonwersować nieco przed posiłkiem. Z posiłkiem. Ale, *mon dieu*, nigdy w trakcie. Żadne tam: „Drżij śmiertelniczko!”, czy inne tego typu idiotyczne odzywki. Po prostu chwila milej, niezobowiązującej rozmowy. Dla nawiązania krótkiej, siłą rzeczy, znajomości. Lecz chociaż bezbłędnie władał kilkoma językami, w żaden sposób nie mógł porozumieć się z coraz liczniejszymi przybyszami z bliższego lub dalszego wschodu.

Po trzecie wreszcie – pamiętał co stało się kilka lat temu ze Szczęsnym Potockim (z tych Potockich). Przyznać trzeba, że wbrew imieniu, nie miał chłopak szczęścia. Niemożliwy do przewyciężenia lęk wysokości nie pozwalał mu przemieniać się w nietoperza. Musiał wybrać coś bliżej gruntu. Po latach prób zdecydował się na szczura. I w tej postaci trafił do piwnic jednej z pierwszych w Warszawie wietnamskich restauracji. Biedak. Odszedł z tego świata w sosie słodko-kwaśnym. Cześć jego pamięci.

Tym nie mniej, wschód słońca zbliżał się nieubłagane i czas był najwyższy na jakąś przekąskę.

Trudno – pomyślał Apolinary. – *Niech będzie chińszczyzna.*

I pochylił się nieco nad uśmiechającą się wciąż szeroko kobietą. Ta wydukała:
– Dzień–ku–ja.

Apolinary zamarł, jeśli można użyć takiego sformułowania, w połowie gestu. Zwykle to on dziękował. I raczej po konsumpcji. Kobieta szybko wertowała malutki notesik, który nie wiadomo kiedy pojawił się w jej rękach. A mówią, że to wampiry są szybkie.

– Aha – podjęła po chwili. – Dzień–do–bri.

– A to się jeszcze okaże. – Apolinary był wyraźnie zdenerwowany. Inaczej nie odezwałby się tak niegrzecznie.

– Dzień–do–bri. Bar–dzio.

Sprawy przybierały niepokojący obrót. Miała być groza, nastrój nieco może gotycki, choć niekoniecznie, ale na pewno nie jakaś farsa. Jedzenie w takich warunkach groziło wrzodami żołądka. I to na długi, bardzo długi czas. Apolinary postanowił zakończyć całą sprawę jak najszybciej. Pochylił się jeszcze bardziej i uśmiechnął paskudnie. To zawsze robiło wrażenie. I wtedy usłyszał:

– Pcie–pra–siam, czy to zom–bi?

– Słucham?

– Kli? Praw–dzi–wi?

Mały, żółty paluszek delikatnie postukał w potężną wampirzą szczękę.

– Sacrebleu! – Apolinary stracił zupełnie panowanie nad sobą. Od stuleci nikt go tak nie obraził. Tak właśnie kończy się zadawanie z motłochem. Odwrócił się plecami do zaskoczonego jego wybuchem posiłku i odszedł szybkim krokiem.

Spać położył się głodny. Bo głód głodem, ale mimo wszystko, noblesse oblige, proszę państwa.

*Tomasz
Borkowski
(zochanodón)*



*Urodził się w 1965 roku. Z zawodu archeolog.
Mieszka we Wrocławiu. Jest autorem opowiadań oraz
książek: „Irlandia Jones poszukiwany. Wynurzenia ciała
z bagien”, „Trupa” oraz redaktorem książki „Człowiek
spotyka psa”.*

Studnia

Był tam wokół, w ciemności. Nie zatrzymały go pionowe ściany, poszarpane szklane tafle, żadne zardzewiałe żelastwa. Nie był szybki. Nie musiał. Sunął nieubłaganie jak olbrzymi, mięsożerny ślimak. Uciekała, ukrywała się, zastawiała pułapki. Wszystko na nic. Owinął ją w końcu, wchłonął i teraz trawił. Czarna, śmierdząca galareta wokół niej dygotała jak poszycie statku na morzu. Polował dalej.

Nagle usłyszała jakiś ostry, odległy dźwięk. Wbijał się w jej mózg jak długa, srebrna igła. Narastał. Ucichł na chwilę, potem zaklął znowu, wyraźniejszy. Zapomniała na moment o potworze i wtedy mu się wymknęła. Sunęła szybko w górę jak nurek wynurzający się z mrocznej głębin. Jego macki ślizgały się po jej ciele. Nie chciał jej wypuścić. Jeszcze sekunda, a chwyci i pociągnie w dół.

Otworzyła wreszcie oczy i usta. Ustami zaczępnęła głęboko chłodnego powietrza, a oczami szarego światła wrześniowego poranka. Pościel była skotłowana i mokra od potu. Ktoś dzwonił do drzwi. Ktokolwiek to był: policja, inkasent, ulotki, Cyganka – był Wybawcą. Odezwała się też komórka na taborecie obok łóżka.

– Halo? – rzuciła szybko do słuchawki, wodząc jednocześnie wzrokiem po pustych, jasnych ścianach i suficie wysoko nad głową.

Chciała przyczepić się do tego wnętrza jak kot, który postanowił nie wyjść z koszyka u weterynarza.

– Meble będą po południu – powiedział Karol. – Ty jeszcze w łóżku?

W pośpiechu zakładała dżinsy i bluzkę.

– Już dziewiąta, Dominika.

– Miałam straszną noc.

– Była burza. Słyszałem w radiu.

– Burza? O, tak. A jak tam Kasia?

– Poszła do przedszkola.

Chciała mu jeszcze coś powiedzieć, ale dzwonek odezwał się znowu.

– Słuchaj Karol, muszę lecieć, bo się ktoś dobija.

– Jasne. Zobaczymy się wieczorem. Cześć.

Dzwonienie ustało. Biegnąc pustym korytarzem, słyszała tylko tupot własnych stóp. Dom niedawno odnowiono. W powietrzu unosił się jesz-

cze słaby zapach farby i gipsu. Ale to wciąż był stary dom o drewnianych podłogach na piętrze, klinkierowej posadzce na parterze i skrzypiących schodach. Był nowo odkrytym starym łądem. Kolonią, którą należało zbadać i zagospodarować. Dominika była pionierem.

Otworzyła drzwi – nikogo. „Domofon jest przy furtce”, przypomniała sobie i przebiegła jeszcze kilka metrów żwirową ścieżką do porośniętego bluszczem płotu. Otworzyła bramkę i wpadła wprost na wielkiego mężczyznę w zielonym drelichu. Obok stało dwóch jego zielonych kompanów, a na ulicy lekko obity, brudnobiały bus. Faceci popatrzyli po sobie.

– Już mieliśmy jechać – powiedział ten duży, poprawiając bluzę.

Był nie tylko największy, ale i najstarszy z całej trójki. Miał siwe wąsy, dużo zmarszczek na ogorzałej twarzy i uśmiech. Typowy Wybawca.

– Jestem Eryk Wolicki.

Na burcie busa znajdował się czerwony napis „Ogrodnik” i wymalowany rumiany wachol w słomkowym kapeluszu. Obrazek wyglądał jak młodzieńczy portret Wolickiego, chociaż wszelkie podobieństwo do osób rzeczywistych było raczej przypadkowe. Za samochodem, na lawecie, stała jakaś maszyna, jakby mały spychacz.

– Zaspałam.

– I co się śniło na nowym miejscu? – zapytał dobrodusznie Wolicki. – Trzeba zapamiętać. Się sprawdza.

– Spałam jak kamień. Chodźmy.

Ludzie z „Ogrodnika” byli tam wcześniej. Zrobili projekt. Na komputrze wyglądało to całkiem nieźle. Stare drzewa zostawały, ale ich korony trzeba było przeredzić. Doświetlony w ten sposób trawnik miały urozmaicać kamienne tarasy. Należało przesunąć sporo ziemi, potem posiać na nowo trawę, posadzić kwiaty i krzewy. Firma miała też wykonać alejki, ławki, altanę, piec do grilla i plac zabaw dla Kasi.

Dominika otworzyła fachowcom bramę, żeby mogli wjechać busem. Zaproponowała kawę. Odmówili. „I słusznie”, pomyślała. „Bierzcie się do roboty”. Sama zrobiła sobie mocną czarną. Usiadła przy starym stole w niemal pustej kuchni. Stół zakolysał się, gdy siadała. Parę kropel kawy wylało się z kubka. Wymierzyła w stół palcem.

– Dzisiaj stąd wylatujesz! – powiedziała groźnie do nieszczęsnego mebla, który wszedł jej w drogę na swych koślawych nogach.

W ogrodzie zawyły silniki spalinowe. Na razie firma „Ogrodnik” robiła raczej dobre wrażenie. Dominika wykapała się, uczesała, ubrała. Nadal była zmęczona, jakby nocą przebiegła pięć kilometrów. Twarz miała błądą, oczy podkrążone.

– Super! – mruknęła, krzywiąc się do matowego lustra.

Kosmetyki trochę poprawiły jej wygląd, ale nie była z siebie zadowolona. Zastanawiała się, czy nie użyć pudru, gdy usłyszała jakiś potężny łomot, potem krzyk. W chwilę później silniki urządzeń w ogrodzie ucichły. Z lustra patrzyły na nią jej własne, niespokojne oczy.

– Co? – pytała ta bardziej matowa z drugiej strony.

Dominika wyszła z łazienki i szybko przeszła na taras. Otworzyła drzwi.

Ogrodnicy ścięli już wiele gałęzi. Złożyli je na kupę przypominającą indiański szalas. Bus stał koło garażu, a obok niego wznosiła się spora hałda wilgotnej ziemi wymieszanej z darnią i liśćmi. Pachniało cudzym pogrzebem. Mały spychacz znajdował się na lewo od tarasu, na krańcu zepchniętej przestrzeni. Z tylnymi kołami w powietrzu, otwartymi drzwiami, przekrzywiony pod dziwnym kątem. Jego dziób nikał gdzieś pod ziemią. Dwóch mężczyzn stało obok maszyny. Podtrzymywali trzeciego, który ślaniał się na nogach. Głowę i bluzę miał zalane krwią. Podbiegła do nich.

– Co się stało?

– Studnia! – ryknął Wolicki. – Przekłeta, jebana studnia! Jakiś kutasi-na przykrył to kurestwo deskami i zasypał. Skąd mieliśmy wiedzieć? Jakby Bob-cat tam wleciał cały, nigdy byśmy Marka nie wyciągnęli. Za wąsko. Żadnych szans. Kurwa jego pierdolona mać!

Dominika puściła mimo uszu ogrodniczą wiązaną okolicznościową. Popatrzyła uważniej tam, gdzie znikal przód maszyny. Widać było coś szarego, jakby kawałek starej, betonowej cembrowiny. I dużo strzępów zbutwiałego drewna wymieszanych z ziemią.

„Studnia”, przemknęło jej przez głowę. „Własna studnia”.

– Ma pani jakiś bandaż? – zapytał Wolicki. – I wodę utlenioną?

– Mam w samochodzie. A może zadzwonić na pogotowie?

– Nie trzeba. To tylko łuk brwiowy. Mała ranka, dużo krwi. Zaraz go zawiozę do lekarza.

Poklepał młodego po ramieniu i powiedział:

– Do wesela się zagoi.

– Już było – odparł ranny.

Patrzył przytomnie i nawet się trochę uśmiechał.

– No to po tobie, chłopie – powiedział Wolicki.

Dominika przyniosła apteczkę. Potem usiadła na schodach tarasu i zapaliła papierosa.

– Co za dzień! – westchnęła, wypuszczając dym nosem.

Patrzyła na ogród. Wiedziała, że w przyszłym roku będzie tam pięknie. Tylko trzeba jeszcze popracować nad ogrodzeniem. Na razie była to zwykła stalowa siatka, porośnięta bluszczem i powojem. Posesja od tyłu i z lewej graniczyła z innymi ogrodami. Od frontu i z prawej przylegała do spokojnej uliczki. Dominika pomyślała, że ze wszystkich stron parkan musi być tak wysoki i gęsty, żeby można było tu biegać choćby i na golasa.

Teraz widziała ciemną postać jakiegoś starca, który stał nieruchomo przy płocie i patrzył jak Wolicki prowadzi Marka do busa. Ten gapiący się facet nie był jej do niczego potrzebny. I wkrótce zniknie. „Lepiej zacznij odkładać na peryskop, gościu”, pomyślała.

Zaciągnęła się papierosem.

– Co za dzień – powtórzyła.

Poprzez płoty i drzewa widziała sąsiednie domy. Pomyślała, że tak właśnie wyglądają na dziecięcych obrazkach: strome czerwone dachy, okna i kominy z obowiązkowym dymkiem. No i uśmiechnięte słoneczko.

Gdzieś niedaleko radio grało hejnał. Popatrzyła znowu w kierunku starca, ale już go nie było.

Odezwał się dzwonek przy furtce. „Przywieźli meble, cholera, przecież już południe”. Wyrzuciła papierosa i poszła otworzyć.

– Szkoda, że nie możemy urządzić przyjęcia w ogrodzie.

Leżeli w łóżku. Deszcz cicho bębnił o parapet. Jedyńm światłem w sypialni był zielony wyświetlacz wieży stereo, z której płynęła cicha, spokojna muzyka. Dłoń Karola leniwie wędrowała po ciele Dominiki. Tego wieczoru kochali się po raz pierwszy w tym domu. Teraz Karol zasypiał, ale ona lubiła przedłużać stan przyjemności marzeniami.

– Śpisz? – zapytała męża, który zaprzestał na chwilę pieszczot.

– Tak.

– Już za zimno.

– Na co?

- Na przyjęcie w ogrodzie.
- W domu też jest miło.
- Ale to nie to samo.
- Pewnie.
- Wiesz, już się nie mogę doczekać wiosny. Żeby zobaczyć, jak to wszystko kwitnie.
- Będzie pięknie.
- No i ta studnia. Fajnie, że się znalazła.
- Tak. Ładnie ją zrobili.

Wyobraziła sobie przyszłą wiosnę. Jabłonki w białym kwieciu, gęsta trawa, z której wyrasta pobielana studnia, przykryta czerwonym daszkiem z ręcznie lepionych dachówek. Jak na Rodos. Tłum eleganckich gości z kieliszkami w dłoniach, promienie słońca przebijające się przez korony drzew, młodzi kelnerzy, stoły, butelki, gwar...

Obudziła się o świcie. Nadal było ciemno, ale jakoś inaczej niż wcześniej. Widziała twarz śpiącego męża w zielonej, jakby noktowizyjnej poświacie. Wstała z łóżka i wyszła nago z sypialni. Stała w korytarzu. Zawahała się, a potem wolnym krokiem podeszła do schodów. Zieleń i czerni mieszały się, dając obraz mętny i rozmyty. Zeszła na parter. Jej bosa stopy dotknęły zimnej posadzki. Stała w końcu przed drzwiami na taras i otworzyła je. Wdzierający się do wnętrza jesienny wiatr wyduł franki, rozwał jej długie włosy i przyniósł ławicę liści, które przemknęły obok jej głowy i zaległy gdzieś wewnątrz.

Na dworze siąpił deszcz. Okna sąsiednich domów były ciemne. Na rogu ulicy świeciła samotna latarnia. Jej wierzchołek otaczała kula świetlistej mżawki.

Dominika zeszła do ogrodu. Stopy zapadały się głęboko w błocie świeżego trawnika. Podeszła do studni, która jaśniała blado jak jedyny ząb w ustach konającego starucha. Przechyliła się przez cembrowinę i zajrzała w głąb. Z początku nic nie widziała. Słyszała tylko odgłos spadających kropeł deszczu i czuła zapach stojącej wody. Ale wkrótce spostrzegła swoje odbicie. Miała wielkie oczy i otwarte usta. Jej włosy unosiły się wokół głowy i lekko, rytmicznie falowały. Najciekawsze było jednak dalej, w głębinie. Najpierw zobaczyła bardzo odległy, błyszczący punkt. Światelko zbliżało się. Albo to ona zbliżała się do niego. Robiło się coraz jaśniej. Po chwili ujrzała zieloną łąkę, potem piec chlebowy i jabłonie z dojrzałymi owocami, a na koniec małą chatkę.

– Pani Zima – wyszeptala. – Chcę wytrześć wszystkie twoje pierzyny.

Poczuła się bardzo szczęśliwa. Chichocząc radośnie, zaczęła wspinać się na cembrowinę. Chciała znaleźć się w tym cudownym miejscu.

– Nie ty – usłyszała cichy głos.

Zatrzymała się. Obok swojego odbicia zobaczyła teraz jeszcze kogoś. Tego starego mężczyznę, którego widziała przy płocie. Jego obraz był tak samo niewyraźny, jak wtedy. Ciemna sylwetka. Ale wiedziała, że to on.

– Przeprowadź ją – powiedział.

Odwróciła się, ale nikogo obok niej nie było. Kiedy spojrziała ponownie w głąb studni, zobaczyła złotowłosą dziewczynkę w czerwonej sukience. Szła przez łąkę z nieznanym starcem. Oddalali się. Szli do chatki. Trzymali się za ręce. Stary odwrócił się i uśmiechnął obrzydliwie. W jego dolnej szczęce tkwił tylko jeden, potwornie znajomy, biały ząb...

Dominika zaczęła krzyczeć.

Budząc się, słyszała jeszcze swój krzyk. Usiadła w pościeli. Dłonie zaciskała na koldrze.

– To tylko sen! – wymamrotała. – To tylko sen!

Zerwała się i pobiegła do sypialni Kasi. Łóżeczko było puste.

Zatoczyła się i uderzyła ramieniem o futrynę. Opadła na kolana. Usłyszała czyjeś kroki. Po chwili Karol pochylił się nad nią.

– Co ci jest? – zapytał.

– Gdzie Kasia? – krzyknęła.

– Je śniadanie. Co z tobą?

Po chwili do niej dotarło.

– Śniadanie? – roześmiała się na wpeł obląkańczo.

– Płatki.

– Je płatki? Muszę ją zobaczyć!

– Oczywiście. Tylko się ubierzemy – powiedział jak do dziecka.

Dopiero teraz zauważyła, że jest naga.

Pomógł jej wstać i zaprowadził do sypialni. Tego jej było trzeba: spokojnego, dużego bruneta. Jego kojące działanie wzmagał niski głos, niebieska koszula, krawat i lekki zapach płynu po goleniu. Założyła szlafrok i kłapki.

– Mamusiu! – rozległ się z dołu dziecięcy głosik. – Tatusiu!

– Idź do niej – powiedziała Dominika takim tonem, że Karol natychmiast poszedł.

„Co się ze mną dzieje?”, myślała idąc po schodach. Weszła do kuchni.

– Mamusiu! – zawołała Kasia.

Siedziała przy stole. Ubrana była w czerwoną sukienkę. Uśmiech szybko zniknął z twarzy dziecka, jakby spodziewało się zobaczyć kogoś zupełnie innego. Dominika była blada jak gejsza. Sine podkwy pod oczami wyglądały jak makijaż lady Makbet, a ciemne włosy przyklejone do czaszki, zdawały się być mokre.

Podbiegła do Kasi, podniosła ją z krzesła i mocno przytuliła.

– Mamusia źle się czuje – powiedział Karol. – Ale wszystko będzie dobrze.

– Źle się czujesz, mamusiu?

Dominika posadziła córkę z powrotem i sama usiadła.

– Mogę? – zapytała męża, pokazując palcem jego filiżankę z kawą.

– Jasne.

Napila się.

– Miałam zły sen – powiedziała. – Ale zawsze, kiedy cię widzę, Kasiu, czuję się lepiej.

– Chyba, że rozrabia – dorzucił prawie wesoło Karol.

– Chyba, że rozrabia.

– Ale ja przecież nie rozrabiam – oburzyła się dziewczynka.

– Teraz jesteś bardzo grzeczna – przyznał Karol. – Więc, skoro już grzecznie zjadłaś, to chyba teraz pójdziesz grzecznie się ubierać.

– Dobrze – powiedziała Kasia i grzecznie poszła.

Kiedy tylko dziecko znalazło się za drzwiami, wyraz beztroski zniknął z twarzy Karola. Popatrzył uważnie na żonę.

– Co się dzieje? – zapytał.

Rozłożyła ręce.

– Nie wiem. Czasem mam po prostu okropne sny.

– Nigdy nie miałaś okropnych snów.

Przysunął się do niej z krzesłem i objął żonę ramieniem.

– Nowe miejsce – powiedział.

– Pewnie tak. I nowa praca. Nie mogę się doczekać.

– To tylko tydzień.

Napila się jeszcze kawy.

– Ty to masz fajnie, ta sama firma... Do tego ten dom jest chyba za duży. Nie jestem przyzwyczajona...

– Ja też nie. Kiedy byłem mały i zostawałem sam w mieszkaniu, skradałem się z nożem, bo się bałem każdego szmeru. A to były przecież tylko trzy pokoje...

– I jeszcze do tego jesień – dorzuciła. – Może łapię deprechę?

– Kupić ci jakieś proszki?

– Sama sobie kupię. Tu niedaleko jest taka przyjemna apteka.

– Ubrałam się – powiedziała Kasia, stojąc w drzwiach kuchni.

– Już gotowa? Zuch-dziewczyna.

Karol założył marynarkę, wziął teczkę. – Daj mamie buziaka.

Dziewczynka podeszła do Dominiki, przyglądając się jej badawczo. Wahala się przez moment, w końcu rzuciła się matce na szyję i przytuliła całym ciałem.

– A może chcesz, żebym został dzisiaj? – zapytał jeszcze Karol.

Wiedziała, że ma tego dnia coś ważnego. I że jest spóźniony. Zrobiła dzielną minę.

– Dam sobie radę.

Pojechali. Dom opustoszał. Włączyła głośno radio. Wykąpała się, przebrała, nałożyła na twarz gruby makijaż. Posprzątała po śniadaniu. Starala się skupić na prostych czynnościach i nawet nie patrzeć w stronę ogrodu.

Potem założyła kurtkę i wyszła na ulicę. Był ciemny, chłodny dzień. Nocna mżawka zamieniła się w mgłę, której strzępy, poturbowane przez samochody, snuły się grupami jak nudne duchy szarych ludzi. Kupiła w aptece środki uspokajające. Potem w kilku małych sklepikach zrobiła drobne, niepotrzebne sprawunki. W końcu, z niewielką reklamówką w dłoni i gazetą pod pachą, poszła z powrotem. Prawie pod bramą obszczekała ją mała, kudłata suczka.

– Sonia nie lubi obcych – powiedziała jej właścicielka, dziarska paniusia pod osiemdziesiątkę.

– Ja tu mieszkam – odparła Dominika. – O, tam.

– Ale Sonia jeszcze tego nie wie – roześmiała się staruszka.

– A kto mieszka w tym domu obok? – zapytała jeszcze Dominika, pokazując budynek, przy którym widziała postać starca.

– A ten stoi pusty. Od lat. Pomarli. Wyjechali. Podobno na sprzedaż...

Dominika nie słuchała dłużej. Weszła do domu i położyła zakupy na krześle. Postąła chwilę. Usiadła. Potem znowu wstała. Zapaliła papierosa, ale zaraz go zgasiła. W końcu podeszła do drzwi od tarasu. Otworzyła je. Powoli zeszła po schodach. Trawa kielkowała. Brunatne błoto przyszłego trawnika pokrywała jasnozielona, rzadka szczecina. Zapadając się po kostki, dotarła do studni. Serce łomotało jej w piersi. Zajrzała do środka – mętna woda.

– Echo! – zawołała.

– Echo, echo! – odpowiedziała studnia.

Serce zaczęło zwalniać. Zażyje tabletki. Może nawet pójdzie do lekarza. Zdarza się. To tylko, co najwyżej, szajba. Wymierzyła pięścią lekkiego kuksańca pobielanej cembrowinie.

– Ty stara kurwo! – powiedziała niemal przyjaźnie.

Nagle jej wzrok padł na ziemię. Kucnęła, żeby lepiej widzieć.

– Jezu! – szepnęła.

Śladu bosej stopy na pewno nie zostawił tam Piętaszek.

Tabletki leżały przed nią na stole. To był już inny stół. Tamten krzywy wyleciał, zgodnie z obietnicą, razem z resztą starych gratów. Ten się nie kiwał. Za to kiwało się wszystko pozostałe. Dotychczas bała się tylko we śnie. Potem budziła się i strach znikał. Niewyraźny odcisk jej własnej stopy w błocie połączył nocny koszmar i jawę. Nie zdawała sobie dotąd sprawy, że dzieli je zaledwie dwadzieścia jeden centymetrów. Ale teraz wiedziała. Tabletki, już niepotrzebne, leżały na stole. Jak ją niby miały uspokoić? Obok leżały jej ręce.

– Zażywasz, przegrywasz – mruknęła. – Zażywasz, przegrywasz. Telekomunikacja Polska. Bliżej.

Mgła za oknem gęstniała. Robiło się ciemno. Dominika siedziała przy stole godzinę lub dwie. W końcu wstała. Wyprowadziła Chryslera z garażu. Tabletki w zabezpieczonym pudełku zostały na stole. Włączyła halogeny, ale widoczność sięgała najwyżej dziesięciu metrów. Jechała przed siebie, byle dalej od tego domu. Zadzwoiła do Karola. Nie odbierał. Nagrała mu wiadomość, żeby nie wracał i żeby oddzwonił. Potem zaparkowała koło przedszkola. Była dopiero druga po południu, ale zdawało się, że to już wieczór.

Kasia przestraszyła się na widok matki. Brzydka przedszkolanka, zdaje się pani Monika, zapytała, czy Dominika dobrze się czuje.

– Grypa mnie bierze.

– Najlepiej wziąć rutinoscobin. I dobrze się wygrzać.

– Polopiryna S, dolegliwości kres – zanuciła Dominika.

Przedszkolanka odprowadziła ją wzrokiem do wyjścia. Potem wzięła mop i zaczęła ścierać z podłogi brunatne błoto z kielkami trawy.

Dominika wsiadła z dzieckiem do samochodu.

– Gdzie jedziemy? – zapytała Kasia.

– Na wycieczkę.

– Gdzie?

– Do taty.

– To fajnie.

Dominika znalazła drogę w kierunku Poznania. Jechały jakby w siwym, miękkim tunelu. Inne samochody przepływały obok jak U-booty szykujące torpedy. Prędkość rzadko przekraczała trzydzieści kilometrów na godzinę. Nie wiadomo było gdzie zaczyna się pobocze. Nie widać było zakrętów, ani drogowskazów. Droga stawała się coraz gorsza. Z początku Dominice wydawało się, że wie dokąd jedzie. Miała wrażenie, że rozpoznaje mijane wsie. Ale po jakimś czasie już wiedziała, że zupełnie się zgubiła. Do tego zapaliła się kontrolka rezerwy paliwa. Najważniejsze było jednak to, że oddalała się od domu.

Kasia marudziła. Żeby ją uspokoić, Dominika opowiadała jej bajkę. O Pani Zimie. Jedyłą, jaka mogła jej przyjść do głowy („Tak więc dziewczynka poszła z powrotem do studni, chociaż nie wiedziała, co ma począć. Wreszcie, w całym swoim smutku, wskoczyła do niej, aby wydobyć wrzeciono. W tej samej chwili straciła przytomność, a gdy się obudziła, spostrzegła, że leży na przepięknej łące, na której rosną tysiące barwnych kwiatów”). Po godzinie przestraszone i zmęczone dziecko usnęło. Karol nie dzwonił. W końcu benzyna się skończyła i silnik zamikłł. Rozpędem zjechała na pobocze pod jakiś plot. Kasia się obudziła. Rozejrzała.

– Jesteśmy w domu – powiedziała.

W świetle samochodowych reflektorów Dominika ujrzała stalową siatkę porośniętą bluszczem i powojem oraz znajomy kształt bramy. „A jednak ją przyprowadziłam!”, pomyślała.

Siedziały długi czas w zamkniętym od wewnątrz samochodzie.

– Gdzie jest tatuś? – zapytała płaczkliwie Kasia.

„Tatuś dalby im radę”, pomyślała Dominika.

– Komórka! – zawołała.

To była jej ostatnia broń. Zadzwoi na policję, gdziekolwiek. Ktoś im pomoże. Zaczęła szukać telefonu w torebce, ale tam go nie było. Pewnie wyleciał na podłogę. Zaglądała pod fotele, na tylne siedzenie. W końcu przypomniała sobie, że dzwoniła do Karola z samochodu i otworzyła

schowek. Komórka uśmiechnęła się do niej diabolicznie napisem: ROZŁADOWANA BATERIA.

– Telekomunikacja Polska. Bliżej – wymamrotała Dominika.

– Gdzie jest tatuś? – zapłakała Kasia. – Dlaczego tu siedzimy? Chcę na łąkę...

Dominika zobaczyła w wyobraźni starca, zabierającego dziewczynkę w czerwonej sukience.

– Przyrowadź ją – usłyszała cichy głos.

Wysiadła z samochodu.

– Nigdzie nie wychodź – powiedziała do dziecka.

– Chcę na łąkę.

Zamknęła auto od zewnątrz. Miała nadzieję, że Kasia nie od razu się wydostanie.

– Chcę na łąkę.

– Zostań – powiedziała jak do psa.

Furtka zaskrzypiała, kiedy przekraczała bramę. Biała, żwirowa alejka wydawała się prowadzić do nikąd. Ale ona wiedziała dokąd idzie. Wkrótce stanęła przy studni.

– Przyrowadź ją – usłyszała znowu.

Weszła na cembrowinę.

– Nie ty!

Poczuła, że podjęła słuszną decyzję. Że pokrzyżuje ich plany.

– A właśnie, że ja – zasyczała szyderczo.

Plusk wchłonęła mgła.

Karol
Mitka
(Fasoletti)



Rocznik 1986, urodził się i mieszka w Olkuszu. Publikował między innymi w „Nowej Fantastyce”, „Grabarzu polskim” i „Fisterii”. Jego opowiadania ukazały się w zbiorach „Gorefikacje”, „Gorefikacje II”, „Lombiefilia”, „Bizarro Bazar”. Współpracuje z portalem Niedobre Literki oraz magazynem Horror Masakra. Nakładem Horror Masakry ukazała się jego nowelka bizarro pt. „Śmieciowisko”. Do sieci wrzuca opowiadania pod nickiem Fasoletti.

Rytuał

I

Jacek obrzucił nauczycielkę pełnym pogardy spojrzeniem. Nienawidził jej z całego serca, tak samo jak nienawidził przedmiotu, którego uczyła. Na sam dźwięk słowa matematyka dostawał mdłości. Te wszystkie wzory, skomplikowane obliczenia, wykresy, wszystko to sprawiało, że odechciewało mu się żyć. Zawsze uważał, że przeciętnemu człowiekowi w zupełności wystarczy jedynie znajomość tabliczki mnożenia. Bo do czego, na przykład, kolejarzowi potrzebne są sinusy i cosinusy? Po co strażakowi umiejętność wyliczenia pola graniastoslupa? Co piłkarza obchodzi, ile czerwonych kulek znajduje się w zbiorze zamkniętym „A”?

Pani Kowalska pobieżnie przeleciała wzrokiem po tablicy. Zmrużyła oczy, co zwykle nie wróżyło niczego dobrego. Jacek wstrzymał oddech.

– Niestety, Fajbusiewicz. Nie zaliczyłeś – zawyrokowała oschle.

Cyfry, które przed chwilą nabazgrał, zmieniły się w szczerzące kły demony, z satysfakcją patrzące na jego klęskę.

– Ale proszę pani! – zaprotestował. – W trzeciej gimnazjum mnie pani usadzi? Ja naprawdę się uczyłem, żeby to dzisiaj poprawić! Rodzice mnie zabiją!

– Fajbusiewicz, w szkole trzeba pracować przez cały rok. Cóż z tego, że pod koniec wbilesz sobie do głowy kilka regulek i dwa wzory? Gdybym za tydzień wzięła cię do tablicy, z pewnością nie pamiętałbyś już nic. Matematyka uczy logicznego myślenia, chłopcze. Tu nie chodzi o wkuwanie na pamięć, ale o umiejętność rozwiązywania problemów. Ty nie potrafisz sobie poradzić z równaniem pierwszego stopnia. Nie mamy o czym rozmawiać. Do widzenia.

– Oblała mnie! Ta cipa mnie oblała! Wyobrażacie sobie?! – krzyknął Jacek do czekających za szkołą kolegów.

– Spoko, nie ty pierwszy i nie ostatni powtarzasz klasę. W drugiej „B” jest sporo fajnych dup, może uda ci się jakąś poderwać. – Maniek, długowłose chudzielec ubrany w skórzane spodnie i ramoneskę, poklepał przyjaciela po ramieniu.

– Marne pocieszenie – odparł Jacek. – Przecież starzy mnie zajębiał! Mogę się pożegnać z wakacjami nad morzem.

– Pierdol morze... – wtrącił się Seba, młodszy brat Mańka. – Co tam jest ciekawego? Mewy srają ci na głowę, stare babki z obwisłymi cyckami paradują nago po plaży... Chujnia z grzybnią.

Jacek spojrział na niego spode łba. Seba był niskim, grubawym chłopcem o twarzy usianej masą pryszczu. Kompletne przeciwieństwo Mariana.

– Cały rok czekałem na ten wyjazd. A teraz poszedł się jebać! Kurwa, gdybym mógł, to ubiłbym tę spasioną szmatę taboretom! – Jacek zaczął wściekle tupać nogami niczym dziecko, któremu matka odmówiła kupna wypatrzonej na wystawie zabawki.

– A gdyby tak powybić jej szyby? – Maniek zatarł dłonie.

Podniósł z ziemi spory kamień, po czym cisnął nim w stojący nieopodal znak stopu. Głośnie brzdęknięcie rozeszło się po ulicy.

– Widzicie? Jestem jak Oczko z Daredevila. Nigdy nie chybiam!

– Tak? A ponoć jak pierwszy raz dupieś Klaudię, to zamiast do cipki włożyłeś jej w tyłek! – zakpił Sebastian, zanosząc się śmiechem.

Marian ze wstydu poczerwieniał jak burak.

– To było celowe – bąknął. – Chciałem spróbować anala.

– Pierdol, pierdol, będzie wiosna. Pomyliłeś dziury i tyle. Po tej akcji pewnie jeszcze przez tydzień miałaś gówno pod napletem.

– Dajcie se już siana – mruknął zdołowany Jacek.

Niespodziewanie Marian szturchnął go lokciem w brzuch.

– Słuchaj, mam zajebisty pomysł, jak odegrać się na Kowalskiej!

– Ta, ciekawe jaki. Pójdiesz do niej do domu, zgwałcisz ją, a na koniec zarzkniesz czerstwym chlebem?

– To coś o wiele lepszego. Naślemy na tę kurwę ducha. Jak w zeszły weekend byłem z psem w lesie, znalazłem jedno zajebiste miejsce. Ponoć w czasie wojny AK-owcy odstrzelali tam kolaborantów. Niedaleko jest taki stary, opuszczony bunkier. W nim możemy odprawić rytuał. Ściągnąłem ostatnio z neta nieco materiałów na ten temat, a ze strony ezoterycznej zamówimy potrzebne rekwizyty. Co wy na to?

– Ty masz najebane pod sufitem – stwierdził Seba.

Maniek tylko dziwnie się uśmiechnął. Zgłębianie tajemnic czarnej magii od dawna było jego pasją. Z zapalem buszował po forach tematycznych, na których różni zapaleńcy wymieniali się zaklęciami, przedziwnymi rytuałami i sekretnymi formułami.

– Dlaczego nie? Zamawiaj, co będzie potrzebne. Jak skołużę kasę, to ci oddam – odparł Jacek.

Oczyrna wyobraźni widział panią Kowalską rozerwaną na strzępy przez jakiegoś przybysza z zaświatów. Flaki oplatające żyrandol niczym łańcuchy choinkowe, fragmenty mózgu skapujące z sufitu, ściany mieszkania zbryzgane krwią. Perspektywa wykończenia nauczycielki sprawiła, że od razu wrócił mu humor.

– Zajebicie! – Marian cmoknął z zadowoleniem. – W takim razie jesteście umówieni. Kiedy wszystko skombinuję, napiszę wam esemesa.

II

Dzień powoli chylił się ku końcowi. Ostatnie promienie zachodzącego słońca delikatnie muskały ściany starego, dwukondygnacyjnego bunkra, leżącego na skraju otoczonej gęstym lasem polany. Budynek był w kiepskim stanie. Ciężkie, stalowe drzwi, mające uniemożliwić nieproszonym gościom dostanie się do wewnątrz kompleksu, zżarła rdza. Zostały jedynie strzępy blachy, wiszące na czymś, co kiedyś było zawiasami. Całą konstrukcję porastał mech, maskujący lepiej niż najwymyślniejszy kamuflaż.

– Ja pierdole! Ale to wielkie! – krzyknął Seba z zachwytem. – Tylko dlaczego mało kto wie o tym miejscu? Przecież można tu robić zajebiste imprezy! Wyobrażacie sobie? Chłanie i dupczenie do białego rana, w rytm hymnu Wehrmachtu, puszczonego ze starego gramofonu!

– To był polski bunkier, debilu. – Maniek sprowadził brata na ziemię. – A nikt tu nie przyłazi, bo ponoć jest nawiedzony. – Wskazał palcem pogrążone w ciemności wejście i ściszył głos. – Ktoś mi kiedyś mówił, że nocą dochodzą stamtąd odgłosy, od których wypadają włosy łonowe, a te na głowie stają dęba jak kutas.

Jacek parsknął śmiechem.

– Pieprzysz jak potłuczony.

– Uuuuuuuuu!!! – zahuczał mu do ucha Maniek. – Jestem duchem Adolfa! Przerobię cię na mydło!

Seba wyciągnął z plecaka tanie wino, o wdzięcznej nazwie „Sperma Szatana”.

– To jest to, co tygryski lubią najbardziej – westchnął.

Chłopcy w kilka minut opróżnili butelkę. Po niej następną i jeszcze jedną. W międzyczasie polana pogrążyła się w półmroku. Opary gęstej mgły spowiły okolicę.

– No to co, kurewki, zapraszam do mojego burdelu! – Maniek zamaszysz tymi ruchami rąk nakazał towarzyszom wejść do bunkra.

Sam pozostał jeszcze przez chwilę na zewnątrz, by oddać mocz. Tymczasem Sebastian z Jackiem, oświetlając sobie drogę kieszonkowymi latarkami, badali przedsiónek.

– Patrz – Seba skierował snop światła na jedną ze ścian – nawet nie pobazgrane sprayem. Chyba naprawdę nikt tu nie przychodzi. Przejebane miejsce...

– No – mruknął tylko Jacek.

Przez jakiś czas czekali w milczeniu. Wyobrażali sobie, jak musiała wyglądać służba w takim obiekcie.

– Hej, dziewczynki! Show must go on! – bełkotliwy wrzask Mańka wyrwał ich z zadumy.

Chłopiec, zataczając się, wyrzucił na ziemię zawartość plecaka. Było tam wszystko, czego prawdziwy czarownik potrzebował do przyzwania ducha. Kreda, czarne świece, czerwona wstążka, stary widelec oraz postać pani Kowalskiej, wycięta ze zdjęcia klasowego.

– A teraz, najlepsze – szepnął z dumą w głosie.

Ku przerażeniu Jacka i Sebka, wydobył z kostki ludzką czaszkę.

– Tadam! – krzyknął.

Chłopcy oniemieli. Pierwszy odzyskał głos Sebastian.

– Podupczyło cię, człowieku? Skąd to wytrzasnąłeś? Ja pierdołę, przecież jakby to znaleźli przy nas niebiescy, to idziemy do paki za bezczeszczenie zwłok!

Marian wyszczerzył zęby w glupkowatym uśmiechu. Liczył, że zrobi na bratu i koledze wrażenie, ale ich reakcja przeszła jego najśmielsze oczekiwania. Poczul się podbudowany jak nigdy. Był teraz kimś, panem sytuacji. Widok Jacka, wpatzonego w czerep wybaluszonymi oczami, bąkającego pod nosem jakieś niezrozumiałe słowa – bezcenny.

– Pamiętasz jak opowiadałem, że byłem tutaj z Burkiem na spacerze?

Sebek twierdząco kiwnął głową.

– On to wykopał pod jakimś drzewem. Zobacz – odwrócił trofeum.

Czaszka była dziurawa.

– O kurwa. Ktoś strzelił mu w tył lba – ocenił fachowo Jacek, który nieco już ochłonął. – To pewnie jakiś szwab. Ten, jak mu tam, kolaborant.

– Dobra, koniec tego pierdolenia – skwitował rozmowę Maniek. – Trza brać się do roboty.

Gestem dłoni nakazał towarzyszom by się rozstąpili i oświetlili podłogę latarkami. Spojrzał na kompas, po czym kredą wykreślił na betonowej posadzce prawoskrętny pentagram, zaczynając, tak jak nakazywał rytuał, od wschodniego wierzchołka. Na rogach symbolu postawił świece, a w jego centrum czaszkę z przymocowanym do niej, za pomocą wstążki, zdjęciem pani Kowalskiej.

– Zwiążemy cię z tym trupem na zawsze – wytłumaczył. – Będzie ją straszyl i nawiedzał. Zobaczycie, najdalej za miesiąc zawiną ją w kaftan i wypierdolą do wariatkowa.

Gdy skończył, zapalił świeczki.

– Pogaście latarki – szepnął.

Przedśionek pograżył się w półmroku. Długie cienie rzucane przez chłopców drgały niespokojnie wraz z płomykami świec, poruszany wiatrem hulającym po wnętrzu bunkra. Maniek wydobyl z kieszeni kurtki pomiętą karteczkę.

– Przeczytaj to na głos – szepnął, podając ją Jackowi.

Chłopiec rozłożył zwitek. Przebiegł wzrokiem po tekście.

– Co to kurwa ma być? Po jakiemu to?

– Po łacinie – odparł Maniek. – Nie mów, że teraz stchórzysz. To już zaszło za daleko.

Jacek przelknął ślinę. Cała ta zabawa przestała mu się podobać. Alkohol już nieco wywietrzył mu z głowy, więc przytomniej oceniał sytuację. W końcu jednak się przemógł. Nienawiść do pani Kowalskiej była silniejsza niż strach. Jednym tchem wydukał formułę. Maniek podał widelec.

– Dźgnij zdjęcie i powiedz, czego jej życzysz.

Jacek nabił podobiznę na sztuciec.

– A żeby ci cipa zgnila! – palnął pierwsze co przyszło mu na myśl.

Chłopcy zamarli w oczekiwaniu. W bunkrze zapadła cisza, jak makiem zasiał. Słyszeli swoje przyspieszone oddechy, walenie serc, nawet kapanie wody gdzieś w głębi korytarza. Tańczący w obiekcie wicher wyśpiewywał upiorną, huczącą melodię. Jednak oprócz tych odgłosów, jakże typowych dla starych, opuszczonych budowli, do ich uszu nie dotarło nic więcej.

Spodziewali się potępięczego wycia zwiastującego przybycie ducha z zaświatów, latających w powietrzu kamieni, wycia wilków, dziwnych kroków w oddali. Nic takiego się nie wydarzyło. Za to Jacek poczuł, jakby ktoś położył mu na piersi olbrzymi głaz. Do jego świadomości dotarło, że zrobił

coś okropnego, że coś się zmieniło. Wszedł w konszachty z silami, które powinny pozostać uśpione.

– Co ci jest? – zapytał Maniek, widząc jak jego kolega z trudem łapie oddech.

– Nic – odparł Jacek, ale głos miał słaby, jakby przytłumiony. – To już wszystko?

– Chyba tak. Tyle było w opisie rytuału. Teraz musimy jedynie zostawić świece by same się dopaliły.

– Spierdalajmy stąd – wycharczał Jacek.

– Myślę, że to dobry pomysł – poparł go Seba. – Zaczyna się tu robić kurewsko duszno. Jakby powietrze gęstniało.

– No to wio! – krzyknął Marian.

Cała trójka szybkim krokiem opuściła bunkier i udała się w kierunku domów.

III

Rodzice Jacka już dawno spali. Chłopiec wmówił im, że idzie do Mańka pouczyć się matematyki, by po weekendzie jeszcze raz prosić panią Kowalską o możliwość poprawienia oceny. Inaczej za nic w świecie nie wypuściliby go z domu.

Kiedy wszedł do swojego pokoju, nawet nie zdjął ubrania. Było mu zimno. W dodatku dalej czuł dziwny ciężar na piersi. Położył się na łóżku i zawiązał w koc. Kiedy tylko zamknął oczy, natychmiast zasnął.

Obudził go cichy jęk. Otworzył oczy. Zaskoczony stwierdził, że znajduje się w jakiejś celi. Wstał z drewnianej pryczy i zlustrował pomieszczenie. Przed sobą ujrzał otwarte drzwi. Najciszej jak potrafił, przeszedł przez nie. Stał teraz w długim korytarzu, oświetlonym migającymi żarówkami, które zwisały z sufitu na kawalkach kabli. Słyszał przytłumione postękiwanie, dochodzące jakby zza ściany. Niepewnym krokiem ruszył przed siebie. Bał się, ale wiedział, że czekanie niczego nie zmieni. Musiał znaleźć wyjście z tego dziwnego miejsca. By być pewnym, że nie śni, zamknął oczy i uszczypnął się kilka razy w rękę. Widział to na filmach, zwykle pomagało. Jemu jednak nie pomogło. Dalej stał na zimnej, betonowej posadzce tajemniczego budynku. Zaciekawiony, ale i nieco wystraszony, posuwał się powoli na przód. Tam, skąd dochodziły coraz głośniejsze jęki. Kolejne drzwi. Stalowe, wyglądające na bardzo ciężkie. Naparł na nie całym ciałem. Ku jego zdumieniu, ustąpiły bez problemu. Za nimi ujrzał kolejne pomieszczenie. Stół, na którym stało kilka kubków z gorącym napojem oraz talia kart. W rogu, w niewielkim

piecyku, tliły się jeszcze szczapy drewna. Na przybitym do ściany wieszaku wisiały mundury. Nie potrafił rozpoznać do kogo należały. Przeszedł przez pokój i przystawił ucho do kolejnych drzwi, zza których dobiegały te dziwne dźwięki. Jakaś siła kazała mu je otworzyć, co natychmiast uczynił.

To, co za nimi ujrzał, zmroziło mu krew w żyłach. Rozpoznał przedsiónek bunkra, w którym niedawno przyzywał z kolegami ducha. Na pokrytej kurzem podłodze leżała naga pani Kowalska. Była obwiązana sznurami jak baleron. Nad nią stał żołnierz ubrany w niemiecki mundur i wbijał jej między nogi przyczepiony do karabinu bagnet. Pani Kowalska wiała się z bólu niczym piskorz, otwartymi szeroko oczyma błagalnie wpatrywała się w swojego oprawcę. Ten jednak nie przestawał. Powoli, miarowo unosił broń, po czym opuszczał ją z ogromną siłą. Za każdym razem kiedy ostrze wchodziło w ciało, kilkakrotnie kręcił karabinem, jakby mieszał w wiadrze zaprawę murarską. Na posadzkę bryzgały strugi krwi. Jacek chciał wrzasnąć, ale głos uwiązł mu w gardle. Chciał coś zrobić, jednak ciało odmówiło posłuszeństwa. Nie mógł nawet zamrużyć. Stał jak słup soli, obserwując upiornego żołnierza znęcającego się nad matematyczką. W pewnym momencie Niemiec zaprzestał maltretowania kobiety i spojrzał na Jacka. Widok twarzy pozbawionej skóry, spojrzenie pustych oczodołów sprawiło, że chłopiec popuścił w spodnie.

Obudził się zlany potem. Wstrząsały nim dreszcze. Wspomnienie snu było tak żywe, że jeszcze przez dobrych kilka godzin bał się wyściubić spod koldry choćby czubek nosa. Zasnąć też już nie potrafił. Za każdym razem gdy zamykał oczy, widział te ziejące czernią oczodoły oraz bagnet oblepiony krwią i włosami łonowymi, poruszający się z góry na dół, niczym igła w maszynie do szycia, tyle, że w zwolnionym tempie. Leżał więc i wpatrywał się w pustkę, myśląc o wydarzeniach poprzedniego dnia.

Kiedy ktoś zapukał do drzwi, podskoczył jak oparzony. W gardle stanęła mu gęsia skóra, uniemożliwiająca wypowiedzenie choćby jednego słowa. Oczyma wyobraźni widział niemieckiego żołnierza bez twarzy, wchodzącego bezgłośnie do pokoju, unoszącego zakrwawioną broń do ciosu.

– Jacek, do cholery, ile będziesz się wylegiwał? Śmieci ktoś musi wyrzucić! – krzyk matki sprowadził go na ziemię.

Poczuł ulgę. Stwierdził, że to co zrobili z Mańkiem i Sebą, zbyt mocno wryło mu się w pamięć i dlatego miał koszmary. Chciał wstać, jednak gdy

tylko postawił nogi na podłodze, te ugięły się pod nim. Zaskoczony, runął na łóżko. Nadal trząsał się jak w febrze.

– Chyba jestem chory, mamó... – odparł.

Nie poznał własnego głosu. Był chrapliwy i dziwnie przytłumiony, jak po przepiciu. Matka weszła do pokoju.

– Ty leniu śmierdzący, ja ci... – nie dokończyła.

Widok bladego jak ściana, drżącego z zimna syna sprawił, że złość uszła z niej błyskawicznie. Przyłożyła Jackowi dłoń do policzka.

– Jezus Maria, ty jesteś rozpalony! Ubieraj się, jedziemy do lekarza!

IV

Grypa. Jacek skrzywił się. Co najmniej przez tydzień będzie musiał leżeć w łóżku i łykać antybiotyki, zamiast imprezować z kolegami. Choroba była mu wybitnie nie na rękę. Zastanawiał się tylko, jakim cudem zaraził się o tej porze roku. Wirus grypy uaktywniał się z początkiem jesieni, a była dopiero końcówka czerwca. Czyżby zawiało go w bunkrze? Stwierdził, że nie będzie wnikać. Stało się, trudno. Naciągnął koldrę pod sam nos i zamknął oczy. O krwawym śnie już całkiem zapomniał. Zmęczony i osłabiony gorączką pozwolił, by Morfeusz powiódł go do swej krainy.

Tym razem nie pamiętał koszmaru, który sprawił, że obudził się z krzykiem. Serce waliło mu jak młot, a po plecach spływały strużki potu. Wystraszona matka wpadła do pokoju sprawdzić co się stało.

– Coś ci się śniło, już dobrze – powiedziała, przykładając Jackowi dłoń do czoła.

Było gorące. Podala synowi tabletkę Apapu, po czym pobiegła do kuchni przygotować kilka zimnych kompresów z gazy, na wypadek, gdyby pigułka okazała się za słaba.

Jacek patrzył w sufit nieobecny wzrokiem. Oddychał szybko i chrapliwie, jak po wyczerpującym biegu. Jakiś wewnętrzny głos mówił mu, że stało się coś złego i że to on jest temu winien. A może to tylko omamy? Przecież przy gorączce człowiek widzi i słyszy najróżniejsze rzeczy.

Dwa dni później odwiedzili go Seba z Mańkiem. Po ich minach od razu wywnioskował, że będą kłopoty. Marian ścisnął w dłoni najnowszy numer lokalnej gazетки.

– Mamy przejebane – powiedział grobowym głosem, podając ją Jackowi. Na pierwszej stronie widniał napisany dużymi, czerwonymi literami nagłówek: „Sataniści zbezczęścili zwłoki”.

– O kurwa! – mruknął Jacek, szybko czytając artykuł. – Ale chyba nie jest tak źle. Nic nie piszą na temat fotki Kowalskiej, więc pewnie jej nie znaleźli. Może wiatr ją gdzieś zwał, albo coś...

– To nie wszystko – dodał Seba. – Kowalska nie żyje.

Jackowi momentalnie zrobiło się słabo.

– Jaja sobie robicie? – zapytał, obrzucając kolegów podejrzliwym spojrzeniem. – Jeśli to jakiś kurwa żart, to naprawdę nie jest śmieszny w tym momencie.

Marian skrzywił się.

– Nie, żaden żart. Znaleźli ją wczoraj, w mieszkaniu. Rak jajników. W jedną noc wpierdolił tę szmatę tak, że ważyła o połowę mniej. Podobno między nogami miała jedną, wielką ranę, jakby ktoś żgał ją po cipie jakimś nożem, czy czymś.

Jacek zbladł. W jego głowie rozbrzmiały słowa, które wypowiedział dźgając widelcem zdjęcie matematyczki. Pomyślał, że chciałby aby to wszystko okazało się tylko złym snem. I wtedy przed oczyma stanął mu obraz niemieckiego żołnierza bez twarzy, rozpruwającego bagnetem panią Kowalską.

– Pojebało cię, Jacek? – spytał Maniek, ze zdziwieniem patrząc, jak jego przyjaciel zaczyna płakać. – Przecież nie znośeś tej suki.

– Kurwa, człowieku, to myśmy ją zabili! – jęknął Jacek, zalewając się łzami. – Jesteśmy mordercami, wezwaliśmy go, a teraz on przyjdzie po nas!

– Podupczyło ci się w głowie! Kto po nas przyjdzie? O czym ty bredzisz? – Seba złapał Jacka za ramiona i potrząsnął nim z całej siły.

Ten spojrział na przyjaciela nieobecny wzrokiem.

– Ten Niemiec bez twarzy. Ten, którego czaszki użyliśmy do wezwania ducha. Pozabija nas tak, jak zabił Kowalską.

Sebastian z Marianem popatrzyli na Jacka jak na wariata. Maniek popukał się w czoło.

– Masz gorączkę chłopie. Wyśpij się, wypoć, zwal konia i przestań pierdolić głupoty, bo normalnie mnie osłabiasz taką gadką. Skąd ty żeś tego Niemca wytrzasnął? Filmów się naoglądałeś? To wszystko to czysty przypadek. Miała raka, a rak potrafi zabić człowieka w przeciągu kilku dni. Lepiej się martw, żeby nie pokapowali, że to my odprawiliśmy w bunkrze rytuał, bo będziemy mieli o wiele bardziej przedupczone niż gdybyśmy spotkali tego

twojego szwaba. Choć Seba, dajmy mu odpocząć, bo najwyraźniej chłopak jest przemęczony.

– Siema – mruknął Sebastian, po czym obaj wyszli.

Jacek został sam.

V

Wyrzuty sumienia nie dawały mu spokoju. Leżał, wpatrzony w szare niebo za oknem, rozmyślając o tym co zrobił. Przyczynił się do śmierci człowieka. Nie zabijaj – tak brzmiało piąte przykazanie. Jacek je złamał. Zabił. Nawet, jeśli nie własnymi rękami, to z pomocą sił z tamtego świata, które sam sprowadził. Ten żołnierz bez twarzy, kim mógł być? SS-manem, mordującym bez litości wieśniaków z okolicznych wsi? A może tajnym agentem Wermachtu, zdekonspirowanym i rozstrzelanym przez żołnierzy Armii Krajowej?

Poczuł przemożną potrzebę pójścia do spowiedzi. Czy jednak uzyskałby rozgrzeszenie? Czy jeśli wyjawi księdzu co zrobił, demon zostawi go w spokoju? Co do tego nie mógł mieć pewności. Aby odgonić natrętne myśli, włączył telewizor. Na jednym z kanałów nadawano właśnie program o Oświęcimiu. Prezenter opowiadał o torturach, jakim Niemcy poddawali ciężarne żydówki. Jedną z nich było dźganie bagnetem w brzuch kobiety i wrywanie płodu. Jackowi włosy na głowie stanęły dęba. Natychmiast zmienił stację. Jedyńka, dwójka, trójka – na wszystkich leciało to samo!

Chciał wyłączyć odbiornik, jednak pilot przestał działać. Jak oparzony wyskoczył spod pościeli i wyciągnął wtyczkę z kontaktu. Telewizor grał dalej. Jacek zwałił się na łóżko. Zaczął płakać, bić pięściami w koldrę i głośno się modlić.

– Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie, wieczne odpoczywanie racz im dać Panie, wieczne odpoczywanie racz im dać Panie... – powtarzał jak mantrę.

Łudził się, że to pomoże. Że duch, w intencji którego wypowiadał te słowa, zlituje się i odejdzie.

Nagle w drzwiach wejściowych szcęknął klucz. Odbiornik zgasł. To matka wróciła z pracy.

– Jak się czujesz, kochanie? – zapytała, wchodząc do pokoju.

Chłopiec spojrział na nią czerwonymi od płaczu oczyma.

– Chyba mam zapalenie spojówek – wyjąkał.

Miał nadzieję, że dzięki temu zdoła jakoś wytłumaczyć, czemu wygląda jakby cały dzień przeryczał. Matka lyknęła haczyk.

– To pewnie od tej telewizji – stwierdziła. – Powinnam mieć gdzieś świetlik. Zaparzę ci, to sobie położysz na powiekach. A jak do jutra nie przejdzie, odwiedzimy okulistę.

Kiedy wyszła, odetchnął z ulgą. Zamknął oczy i spróbował zasnąć, jednak natrętne myśli o Kowalskiej napływały mu do głowy nieprzerwanym strumieniem.

– Zabilesz ją! To twoja wina! Jesteś mordercą! A teraz on przyjdzie i po ciebie! – dziwny, metaliczny głos rozbrzmiewał w jego umyśle. Jacek dostał gęsiej skórki.

Czemu się na to zgodził? Dlaczego przystał na propozycję Mańka? Tak, to wszystko przez Mańka. To on był pomysłodawcą tego przekłętą rytuału i to on powinien teraz być dręczony wyrzutami sumienia.

– To twoja wina! To twoja wina! To twoja wina! – głos nie dawał chłopcu spokoju.

Jacek po raz trzeci tego dnia, zapłakał. Łzy wielkie jak ziarnka grochu ciekły mu po policzkach i skapywały na koldrę.

– Nie chciałem, kurwa, ja naprawdę nie chciałem – lkał, szarpiąc włosy na głowie.

Nawet nie wiedział, kiedy zasnął. Matka, która chwilę później weszła do pokoju z wacikami nasączonymi naparem ze świetlika, okryła syna kocem.

VI

Te oczodoly. Puste, zięjące czernią oczodoly. Jacek wpatrywał się w nie z przerażeniem. Mógłby przysiąc, że Niemiec uśmiechał się do niego z satysfakcją, choć było to przecież niemożliwe. Nie posiadał na twarzy skóry ani mięśni, więc jakkolwiek mimika była wykluczona. Miał za to coś innego – ogromny, kamienny kafar, jakiego niewolnicy z obozów koncentracyjnych używali do wbijania w ziemię pali, na których rozciągano później drut kolczasty.

Na stole operacyjnym, stojącym w głębi pomieszczenia, leżały dwie zakneblowane postacie. Ich kończyny za pomocą pasów przymocowano do blatu. Jacek dokładniej przyjrzał się nieznanym i nagle serce zamarło mu w piersi. Rozpoznał Mańka i Sebastiana. Ogarnęła go wściekłość. Chciał skoczyć na żołnierza, by zatłuc go gołymi rękami, jednak tak jak poprzednim razem, nie mógł się poruszyć. Był sparaliżowany. Obserwował biernie, jak upiór podchodzi do stołu i unosi młot ponad głowę. Jak z ogromną siłą uderza w nogi chłopców. Trzask miażdżonych kości odbił się echem od kamiennych ścian celi. Krew trysnęła na mundur. Seba i Maniek wili się jak

węże, jęczeli, próbowali wypluć kneble, ale nie byli w stanie. Po kilku ciosach ich golenie oraz stopy wyglądały, jakby ktoś przepuścił je przez maszynkę do mięsa. Jedna szkarłatna miazga.

Ze snu wyrwał go dźwięk dzwonka telefonu. Po omacku sięgnął po leżącą na biurku komórkę. Nie znalazł numeru, ale odebrał.

– Jacek, tu mama Sebastiana! – głos kobiety łamał się. – Chłopcy... chłopcy mieli wypadek. Są w szpitalu. Jesteś ich najlepszym przyjacielem, dlatego dzwonię, żeby cię poinformować. Rozbili się samochodem, jest z nimi naprawdę źle, właśnie są operowani. Jeśli... Jeśli chcesz, to zadzwoń jutro, powinnam wiedzieć coś więcej. Do widzenia.

Do Jacka jeszcze przez dobrych kilka minut nie dochodziło to, co usłyszał. Jednak kiedy w końcu dotarło, wyskoczył z łóżka i ubrał się na chybcika. Sebastian często podkradał rodzicom auto, ale zawsze jeździł ostrożnie. Był dobrym kierowcą, choć z racji młodego wieku nie miał jeszcze uprawnień. Nie mówiąc nic zajętej gotowaniem obiadu matce, Jacek wybiegł z domu. Pędził w stronę szpitala jak szalony, robiąc jedynie krótkie przerwy na złapanie oddechu.

Pani Cielecka, matka chłopaków, siedziała na korytarzu i zanosila się płaczem. Twarz miała ukrytą w dłoniach. Dookoła niej stało kilka innych osób, których nie Jacek nie znalazł.

– Dzień dobry – wyszeptał, podchodząc do nich.

Obrzucili go podejrzliwym spojrzeniem.

– Czego tu chciałeś? – zapytał starszy mężczyzna, ubrany w roboczy kombinezon utapiany farbą.

Widać było, że przyszedł tu prosto z pracy.

– To Jacek, przyjaciel chłopców, tato – wyjąkała pani Cielecka. – Sama do niego zadzwoniłam.

Jacek uśmiechnął się krzywo.

– Co z Marianem i Sebkiem? – słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. Staruszek zmrużył oczy.

– Nie wiem, czy powinieneś tu być młodzieńcze, ale skoro Halina sama cię sprowadziła, to chyba mogę powiedzieć. Marian z Sebkiem są w bardzo

złym stanie. Wjechali w drzewo. Obaj mają zmiążdżone nogi – tu obejrzał się na ich matkę, pocieszaną i tuloną przez pozostałych członków rodziny.

Nachylił się do ucha Jacka. Wziął głęboki wdech.

– Prawdopodobnie już nigdy nie będą mogli chodzić – wyszeptal drżącym głosem.

Jacek poczuł, że robi mu się niedobrze. Podbiegł do najbliższego kosza na śmieci, nachylił się i zwymiotował. Przez kilka chwil targaly nim torsje. Dziadek chłopaków położył mu dłoń na ramieniu.

– Rozumiem jaki to dla ciebie szok – rzekł łamiącym się głosem.

Jacek spojrzal na niego czerwonymi od łez oczyma. Tego była za wiele. Nie wytrzymał.

– Nic kurwa nie rozumiesz, nic... – wydukał.

Odrzucił rękę staruszka, po czym nie oglądając się za siebie zbiegł po schodach, do wyjścia.

Na dworze było szaro. Ciemne, burzowe chmury przesłoniły słońce. Z oddali dochodziły grzmoty odbijające się echem od ścian kamienic. Jacek pędził przed siebie na złamanie karku. Ludzie których potraçał klęli na niego, grozili pięściami, ale nie zwracał na nich uwagi. Wpadł do pierwszego lepszego sklepu monopolowego.

– Pół litra najtańszej wódki – wycharczał, sapiąc.

Sprzedawczyni zmierzyla go wzrokiem od stóp do głów.

– A dowodzik jest?

Powalił ją ciosem w nos, chwycił pierwszą z brzegu butelkę, po czym wypadł ze sklepu. Kierował się w stronę pobliskich gór, leżących nieco za miastem. Swojego czasu zaczęto tam budować kanalizację, ale zabrakło funduszy i prace wstrzymano. Po inwestycji pozostały jedynie ogromne, betonowe rury wkopane w ziemię, przebiegające pod nasypem kolejowym. Jacek ukrył się w jednej z nich. Dysząc ciężko wyciągnął fiaskę. Odkręcił nakrętkę. Duszką upił kilka łyków. Gorzała paliła w gardło, ale nie zwracał na to uwagi. Musiał coś zrobić, żeby zapomnieć, stłumić wyrzuty sumienia. Sumienia, wciąż podsuwającego mu obrazy dżganej bagnetem pani Kowalskiej oraz okaleczanych Sebastiana i Mańka. W głowie słyszał chrzęst gruchotanych kości. Jęki przerażonych kolegów przyprawiały go o gęsią skórę. Po raz kolejny przyłożył butelkę do ust i wychylił. Nie wiele brakło, by zwymiotował. Nie nawykł do tak szybkiego picia. Jednak zaczynał już czuć przyjemne mrowienie w dłoniach, co było dobrym

objawem. Kilkoma potężnymi haustami dokończył trunek. Myśli zaczęły przepływać przez jego umysł w zwolnionym tempie. W uszach szumiało, a obraz rozmywał się. Niespodziewanie dostrzegł coś kątem oka. Jakiś ruch w głębi rury, cień, zbliżający się z każdą sekundą. Pchany nieznanym impulsem, z trudem wypełznął na zewnątrz. Czyżby szczur? Na pewno szczur. Ale szczury gryzą, mogą zarazić groźnymi chorobami. Od szczurów lepiej trzymać się z daleka. Wstał. Spojrzał przed siebie. Cały świat wirował. Prześwitujące zza chmur słońce rozdwajało się, tak samo jak słupy trakcji kolejowej czy drzewa. Zgiął się w pół. Zaczął rzygać. Organizm przestał przyjmować alkohol. Niespodziewanie ktoś z całej siły kopnął go w plecy. Chłopak zatoczył się i wymachując rękami jakby latał, runął twarzą w zwróconą przed chwilą zawartość żołądka. Ktoś butem przewrócił go na wznak. Kiedy Jacek otworzył oczy, zamarł z przerażenia. Ujrzał stojącego nad sobą żołnierza bez twarzy, wznoszącego ponad głowę karabin uzbrojony w bagnet. Chciał wrzasnąć, ale nie zdążył. Ostrze zagłębiło się w jego klatce piersiowej, przebijając serce.

Gdyby prawdą było, że na siatkówce umierającego człowieka pozostaje odbicie tego, co widział w chwili śmierci, badający zwłoki Jacka koroner ujrzałby ziejące czernią oczodoły oraz białą czaszkę, okrytą czapką z orłem stojącym na okręgu w który wpisano swastykę.

Jako przyczynę zgonu chłopca podano niewydolność serca, spowodowaną nadmierną ilością spożytego alkoholu.

A piece of aged, crumpled paper with a textured, yellowish-brown surface. Several playing cards are scattered around the edges of the paper. In the top left, there is a red heart card. In the bottom left, there is a black spade card with the number 10, and below it, a black club card with the number 5. In the bottom center, there is a black club card with the number 6. In the bottom right, there is a red heart card with the number 10. The background is dark, possibly black, which makes the paper and cards stand out.

Przemek
Morawski
(podstuwak)

Urodzony w roku śmierci Janusza Łajdla. Wciąż pisze gorzej od niego. Po przeprowadzce na wieś odkrył, że nie nabył przy tym umiejętności Tolstoją. Dlatego nadal uczy się pisać.

Cień Salamandry

– A jeśli wszyscy jesteśmy martwi? Może życie to tylko uluda, diabelska sztuczka, na którą każdy z nas dał się nabrać? – Głos Stefana był słaby. Mężczyzna siedział na skórzanej sofie, obserwując schowany w dłoniach wisior w kształcie niewielkiej jaszczurki. Co chwilę łapały go napady ostrego kaszlu. – A może to właśnie śmierć jest rozwiązaniem? – zapytał po chwili, prawie bezgłośnie.

Zajmujący miejsce przy biurku profesor Szarzewski nie odpowiadał. Notując coś, wsparty o pulpit, przechylał się lekko, aby dopuścić więcej światła na zapisywaną kartkę. Kwietniowe słońce, wpadające przez umieszczone za jego plecami okno, rzucało długi cień na blat i podłogę gabinetu. Pióro, którym się posługiwał, skrzypiało piskliwie, wypełniając ciszę pokoju. Kiedy notatka była skończona, profesor oparł się wygodnie i chwycił za poly swojego surduta, który przestał być modny jeszcze przed zamachem na Franciszka Ferdynanda.

– Potrzebuje pan odpocząć, panie Grabiński – zwrócił się do swojego pacjenta ciepłym głosem. – Potrzebuje pan ukoić nerwy. Proszę tu zostać jeszcze przez jakiś czas, zrezygnować z pracy. Pana gimnazjum z pewnością poradzi sobie bez pana przez tydzień lub dwa.

Stefan nie patrzył na profesora. Wciąż siedział bez ruchu, ze wzrokiem utkwionym w trzymany w dłoniach medalion.

Szarzewski z ciężkim sercem spoglądał na jego wynędzniałą, suchotniczą sylwetkę. Twarz Grabińskiego, zupełnie pozbawiona wyrazu, przywodziła na myśl twarze katatoników. W jego pustych oczach można było dostrzec złowrogi zwiastun śmierci.

Odrywając wzrok od tej smutnej postaci, profesor jeszcze raz obejrzał sporządzone przez siebie notatki, po czym złożył kartkę w pół i wstał.

– Muszę już pana zostawić – powiedział, podając Stefanowi rękę. – Spotkamy się w przyszłą środę.

Dłoń Grabińskiego była sina i zimna. Szarzewski mimowolnie wzdrygnął się, gdy ją ucisnął.

– Mam nadzieję, że do tego czasu dojdzie pan do siebie – powiedział na odchodne.

W drzwiach gabinetu czekał już Franek. Gdy tylko profesor wszedł do salonu, od razu począł wypytywać go o stan pacjenta.

– Wypisałem dla pana wszystkie zalecenia – odpowiedział Szarzewski, podając mu złożoną kartkę. – Proszę pilnować, by pański przyjaciel się do nich stosował.

– Oczywiście – odpowiedział Franek, chowając kartkę do kieszeni marynarki. – Ale proszę mi powiedzieć, co z nim jest?

– Pański przyjaciel jest w szoku. Bardzo głębokim szoku. Ostatni raz widziałem ludzi w takim stanie, kiedy trafili do mnie weterani ostatniej wojny. Ale wojna się skończyła, panie Franku. – profesor spojrzal przenikliwie na swojego rozmówcę. – Nawet walki z Ukrainą doczekały już szczęśliwego końca. Szok pana Grabińskiego musiało zatem wywołać coś innego. Nie wie pan przypadkiem, co?

I

Piekielna wrzawa, jaka rozpełtała się wokół, świdrowała uszy pasażerów przenikliwym, dudniącym chrzęstem. Wylatując ze swoich miejsc, wyrzuceni jakąś niezrozumiałą siłą, wpadali na siebie nawzajem, łamiąc kończyny o drewniane ławki i wybijając zęby z przeraźliwym szczęknięciem. Niektórzy z nich padali bez przytomności, pocięci fruwającym wokół szkłem, inni, na skraju zemdlenia, próbowali ratować się, osłonić przed wyrastającą wszędzie płataniną rur, blach i strzaskanego drewna.

Z przodu pociągu rozległ się głuchy huk eksplozji, któremu wtórował przeraźliwy zgrzyt druzgotanych wagonów. Powoli cały ruch ustawał.

Wszystko to jawiło się Grabińskiemu jako ciąg statycznych obrazów. Zupełnie, jakby oglądał wyrzucony w górę plik zdjęć.

Nagle przed oczami przeleciały mu obcięte ręce. Z przerażeniem przeniósł wzrok na swoje ciało, by przekonać się, czy nie są to jego własne kończyny.

Wśród zgiełku, jaki panował wokół, wśród lamentów i płaczu, usłyszał stłumiony krzyk, zduszony falą napływającej do ust krwi:

– Karambol!

K a r a m b o l.

Wtem uczył, że ktoś go trąca. Kiedy otworzył oczy spostrzegł starszą kobietę z dzieckiem.

– Panie, co się pan tak drze? – spytała, patrząc na niego z marsową miną. – Dziecko mi pan straszysz. Tylko karambol i karambol. A jak się przy tym wiercił!

Stefan nie odezwał się. Przecierając czoło zmiętą chusteczką, nie zwracał uwagi na mierzącą go podejrzliwym spojrzeniem babę. Aby nie patrzeć w jej stronę, wyjrzał przez niedomknięte okno.

Rozmogle od marcowych roztopów łąki kończyły się właśnie murowanym peronem stacji. Po platformie chodziło kilka osób.

Grabiński znalazł to miejsce. Zresztą doskonale wiedział, gdzie się znajduje. Ten sen nawiedzał go zawsze na tym samym przystanku. Kiedy mijali budynek stacji, przyjrzał się ludziom wychodzącym na peron.

I wtedy ją zobaczył.

Jej milcząca, widmowa twarz prawie dotykała szyby pociągu.

Tym razem była zbyt rzeczywista, by Stefan mógł uznać ją za przywidzenie. Tym razem to z pewnością była ona.

Przepelniony nagłym wybuchem euforii opadł ciężko na ławkę i stłumił nagły atak kaszlu.

Kiedy maszynista zatrzymał pociąg, Stefan bez zastanowienia zerwał się ze swojego miejsca i ruszył w kierunku wyjścia.

Wyskakując w pośpiechu na peron, o mało nie przewrócił się na wytartych kamieniach platformy.

Szukając jej wśród zgromadzonych tu ludzi, nerwowo błędził między nimi wzrokiem.

Jednak kiedy po chwili dworzec opustoszał, prócz Grabińskiego pozostał na nim jedynie siedzący na ławce starzec i kolejarz, idący w kierunku zaplecza stacji.

Starzec, ubrany w dość solidne, choć mocno sfatygowane już odzienie, ścisnął w rękach zawieszony na szyi krzyż i mruczał pod nosem jakieś niezrozumiałe słowa.

Stefan, siadając obok niego, nie zauważył, że ten przygląda mu się nieufnie. Choć miarowy stukot pociągu niknął już coraz bardziej, Grabiński wciąż nie potrafił zrozumieć tego, co staruszek nieustannie powtarza. Do jego uszu dolatywał jedynie opętańczy belkot, jakby wypowiedzianych szybko modlitw, który budził niepokój i chorobliwa fascynację.

Próbując wylapać powtarzane formuły, Grabiński wyteżył słuch, jednak wtedy wyrwał go z zamyślenia dźwięk znajomego głosu.

– Stefan? – Ktoś wypowiedział nad nim jego własne imię i Grabiński był pewien, że zna tę osobę.

Kiedy uniósł głowę, dostrzegł dawno niewidzianego przyjaciela.

– Co ty tu robisz? – zapytał go nowo przybyły mężczyzna, kładąc mu rękę na ramieniu. – Dawno już tutaj nie zaglądałeś.

– Nie wierzę własnym oczom – powiedział Grabiński, wstając. – Popiołowicz! Myślałem, że już tutaj nie mieszkasz.

Przyjaciół uśmiechnął się z jakimś ukrytym wyrzutem. Jego przecięta blizną wargą, pamiątka z ubiegłej wojny, wygięła się w coś, co niekoniecznie musiało być uśmiechem.

W tym czasie starzec popatrzył podejrzliwie na Stefana i odsunął się lekko. Grabiński nie zwracał na niego uwagi, odzyskując nieco humoru przez to niespodziewane spotkanie.

– Nigdzie się stąd nie ruszałem – powiedział Popiołowicz z tym samym wyrazem twarzy. – Musisz wymyślić coś lepszego, żeby wytłumaczyć mi swoją absencję.

– Tego się już nie da wytłumaczyć – odparł Stefan ze śmiechem. – Zresztą, ty też się nie odzywałeś. Ale nie ważne, posłuchaj – widziałem dzisiaj Annę! Tutaj, na peronie!

Popiołowicz spojrział na niego wymownie.

– Nadal wierzysz, że ona się znajdzie? – zapytał.

– Jestem tego pewien. Jestem pewien, że ona jest tutaj, że niedługo tu wróci. Widywałem ją już na tej stacji, ale myślałem, że to przywidzenia. Jednak teraz...

Siedzący na ławce starzec wstał, przeżegnał się i mierząc krzyżem w stronę Grabińskiego, odszedł pospiesznie na tyły stacji.

– Nie zwracaj na niego uwagi – powiedział Popiołowicz, kiedy tamten się już oddalił. – To tutejszy jurodiwy. Nie odszedł wraz z Ukraińcami i oszalał przez to do szczytu.

Grabiński spoglądał jakiś czas za odchodzącym staruszkiem, po czym przeniósł wzrok na przyjaciela.

– Nie wierzysz mi? – spytał. – W to, że ona tu była.

Popiołowicz milczał. Zastanawiając się nad czymś, patrzył w rozentuzjzmowane oczy Stefana.

– Mam dla ciebie propozycję – powiedział po chwili. – Zatrzymaj się u mnie. Na jakiś czas. Może to pomoże ci o niej zapomnieć. A może rzeczywiście ją znajdziesz?

Grabiński ożywił się. Ten prosty pomysł wydał mu się trafiony w samo sedno. Patrząc na Popiołowicza z wyrazem wdzięczności na twarzy powiedział:

– Znajdę ją, przyjacielu. Z pewnością ją znajdę.

II

Franek spojrział na trzymane w dłoni gazety i uśmiechnął się pod nosem. Przysłane przez jego służącego tytuły coraz bardziej utwierdzały go w przekonaniu, że jednak nie uda mu się odpocząć.

Już od pierwszej spędzonej tutaj doby napotykał same trudności. Za dnia męczyło go zmęczenie wywołane brakiem snu, nocami natomiast nie mógł spać przez hałaśliwych sąsiadów, a kiedy już udawało mu się zasnąć, wciąż śnił o milczącej kobiecie z wisiosem w kształcie salamandry, zawieszonym między na wpół obnażonymi piersiami.

A teraz prasa, którą mu przysłali mówiła właśnie o tym, od czego uciekał. O teatrze i duchach.

Franek mimowolnie wyciągnął z Kuriera Ilustrowanego dodatek spirytystyczny i zajrzał do środka.

Czesław Czyński przyjeżdża z wykładami do Krakowa.

Kolejne medium zdemaskowane.

Jan Guzik o rozmowach z duchami.

– Nie – powiedział sobie, odkładając gazety na ławkę. – Jeśli mam odpocząć, nie mogę tego czytać.

Oparł się wygodnie i pozwolił, by marcowe, poranne słońce ogrzało mu twarz. Teraz mógłby zapomnieć o wszystkim. Gdyby wciąż nie kołatała mu się w głowie melodia ze starej opery Kurpińskiego – „Szarlatan, czyli wskrzeszanie zmarłych”, mógłby nawet odpocząć.

Niestety, jedną z arii do strudzenia wygrywał któryś z sąsiadów, nie zważając na porę dnia ani nocy i teraz ten natrętny motyw wciąż plątał mu się między myślami.

– Ech, Franek, Franek – westchnął przeciągle – chyba nic z tego.

– Pan mówi do siebie? – Usłyszał dziecięcy głos, tuż przy swoim uchu.

– Czy może rozmawia pan z duchami?

Obejrzał się. Za nim, wsparta o deskę ławki, stała mała, uśmiechnięta dziewczynka w odświętnym stroju.

– Zgubiłaś się, dziecko? – spytał nieco speszonym głosem.

– Nie. Moi rodzice są w kościele. O tam – wskazała palcem strzelistą wieżę.

– A ty dlaczego z nimi nie jesteś?

– Nie wiem. Nie mogłam tam wytrzymać. Mnie jest w kościele bardzo smutno. Przebiegła szybko wokół ławki i zaczęła oglądać leżące na niej gazety.

– O, duchy! – krzyknęła, chwytając Kurier Metapsychiczny. – Mogę zajrzeć?

– To nie jest dla dzieci – powiedział Franek, wrywając jej gazetę z dłoni.
– Weź tę, tę możesz pooglądać.

– Ta jest o teatrze – odrzekła rozczarowana. – Pana to interesuje?

– Interesuje mnie wiele rzeczy. Na przykład, co sobie pomyślą twoi rodzice, kiedy zobaczą, że cię z nimi nie ma?

– Nic nie pomysła. Oni już się chyba do tego przyzwyczaili.

– Przyzwyczaili czy nie, muszę cię do nich zabrać.

Dziewczynka zrobiła naburmuszoną minę, jednak nie opierała się, kiedy chwycił ją za rękę i ruszył w stronę kościoła.

– A gazet pan nie bierze? – spytała jeszcze, oglądając się przez ramię.

– Nie, mnie się już nie przydadzą.

– A mnie by było ich szkoda.

– Więc, jeśli rodzice ci pozwolą, możesz wrócić tutaj i je sobie zabrać.

Dziewczynka popatrzyła na niego z wyrzutem i dalej szła już w milczeniu.

Do kościoła dotarli po kilku minutach. Nieduża, gotycka budowla była prawie pusta. Przez uchylone drzwi widać było kilkunastu zgromadzonych przy oltarzu ludzi.

Franek zastanowił się, którzy z nich są rodzicami tej małej. Wchodząc do środka, przyglądał się uważnie wszystkim biorącym udział w nabożeństwie. Kiedy przekroczył próg kościoła poczuł przeszywający chłód.

Potem stracił przytomność.

– Aleś pan wyróżnął orla!

Wracając do świadomości, zobaczył, że stoi przy nim jakiś mężczyzna.

– A bładyś pan, jak po spotkaniu z duchem – powiedział nieznajomy, przytrzymując go.

Siedzieli na progu świątyni i Franek wciąż czuł zimno, jakie biło z jej wnętrza. Kiedy przeniósł wzrok na oltarz, jego ciałem znów wstrząsnął dreszcz przerażenia.

Na oltarzu, wśród płonących świec, stał ustrojony w świeże chryzantemy portret małej dziewczynki. Tej samej, która przyszła z Frankiem do kościoła.

Msza żałobna musiała skończyć się przed chwilą, bo świątynia opustoszała i teraz pozostał w niej jedynie kościelny, zbierający kwiaty do wielkiego wazonu.

– Czy pan jest z rodziny? – zapytał nieznajomy, podążając za wzrokiem Franka.

Ten zaprzeczył ruchem głowy.

– Ta mała to córka Szamotów, zginęła w katastrofie kolejowej, niespełna rok temu, jeszcze przed walkami z Ukrainą. Od tamtej pory, co miesiąc, wyprawiają jej mszę.

– Znał ją pan?

– Widywałem ją tutaj czasami. To małe miasteczko, tutaj się wszyscy znają.

– Ale teraz już jej pan nie widuje?

Przechodzień spojrział na Franka zdziwiony.

– Przecież mówilem panu, że ona nie żyje.

– A pan? – zapytał Franek. – Czy pan również jest martwy?

III

– Patrz pan, panie Wawer, co oni tu teraz w tej prasie wypisują. – Grot podsunął koledze pod nos otwartą gazetę. – Podobno tera to ma wielkie wzięcie, te całe „wirujące stoliki”.

– Pan w to nie wierzy?

– Ja? Oczywiście, że nie. Ja wierzę w postęp, panie Wawer. W maszyny. W świecie postępu nie ma miejsca dla ducha.

Kolejarze siedzieli na rozklekotanej ławce, ćmiąc papierosy zwijane z taniego tytoniu. Ich duszący dym unosił się wokół, powoli rozwiewając na ciepłym wietrze.

W popołudniowym słońcu stojące na boczniczy wagony rzucały na torowisko podłużne cienie.

– A ja tam już sam nie wiem – podjął po namyśle Wawer. – Weź pan na przykład tego Guzika. Podobno rozmawia z duchami przy świadkach.

– E tam, takie świadkowanie. Jak Molibda ostatnio pociągi na rauszu odprawiał, to też sobie dwóch świadków na rozmowę z Wernerem znalazł, że niby tego dnia nic a nic nie wypił.

– Molibda?

– Ach, zapomniałem, że pan dopiero zaczynasz. Nie ma co teraz tłumaczyć, jeszcze pan nas wszystkich pozna, bez obaw.

Grot przerzucił dwie strony i zaczął oglądać zdjęcia Czyńskiego. Potem zamknął gazetę i przyglądał się jakiś czas okładce.

– Skąd żeś pan w ogóle to wytrzasnął? Przecież to u nas nie wychodzi – zapytał, odkładając gazetę na ławkę.

– Leżały w budynku poczekalni. – Wawer zaciągnął się papierosem, spoglądając na towarzysza. – Ale wie pan co, muszę coś panu powiedzieć – zaczął, wypuszczając z ust smużkę dymu. – Ta gazeta pojawiła się tam jakby sama. Wcześniej, kiedy zaczynałem przerwę, w ogóle jej tam nie było, a po chwili po prostu leżała na ławce, choć nie widziałem, żeby ktoś wchodził lub wychodził z budynku.

– Musiał pan to przeoczyć.

– Skądże! Zresztą to nie wszystko. Strony przewracały się w niej same.

– Pewnie wiatr...

– W pomieszczeniu?

– Panie Wawer – Grot spojrzal poblaźliwie na kolege. – O co pan mnie w ogóle pyta? Powiedziałem już, że ja nie wierzę w takie rzeczy.

– W porządku. Ale to dość osobliwa historia.

– To ją pan opublikuj. W tym szmatławcu z pewnością to kupią! – Kolejarz roześmiał się, unosząc zmięty już Kurier.

Wawer popatrzył na niego z wyrzutem, ale nic nie powiedział.

Nagle Grot dostrzegł coś w oddali i jego uśmiech powiększył się.

– Albo temu to opowiedz! – wskazał zbliżającego się do stacji mężczyznę.

– Już drugi tydzień tu przychodzi i wypytuje o takie rzeczy. Niektórzy takich bajd mu nasmażyli, że nic, tylko drukować.

– A czego on chce się tutaj dowiedzieć?

– Dokładnie nie wiem. Ja z nim nie rozmawiałem. Szuka jakiejś kobiety. I wypytuje o katastrofę.

– Katastrofę?

– Przed rokiem był tutaj niesamowity karambol. Dwa pociągi całkowicie strzaskane. Błyskawiczny wjechał na boczny tor i zderzył się ze stojącym tam towarowym. Jak dla mnie to błąd dróżnika, ale Szadera jakoś się z tej sytuacji wykpił. Pewnie przez zawieruchę z wojną. Pracę i tak stracił, ale kary żadnej nie poniósł.

– Skąd pan wie, że to jego wina?

– Panie Wawer, ja jestem kolejarzem od lat i potrafię rozpoznać takie rzeczy.

– A co się stało z tym Szaderą?

– Zdziwaczał. Rozpił się. Wciąż mieszka w mieszkaniu dróżnika, bo po wojnie oddali dla jego następcy nowe lokum. Wciąż kręci się przy torach, zagłada czasami na stację. Ten pewnie idzie do niego.

Grabiński minął dwóch podejrzliwie na niego spoglądających kolejarzy. Widział ich już z daleka i miał wrażenie, że rozmawiają właśnie o nim. Udał jednak, że tego nie dostrzeżę.

Zresztą, zdążył się już przyzwyczaić do takich sytuacji. Odkąd zamieszkał u Popiołowicza całe miasteczko wytykało go palcami jako dziwaka.

Gdyby miał się tym przejmować, z pewnością oszalałby naprawdę.

Zostawiając w tyle rozbawionych kolejarzy, kierował się do mieszkania dróżnika.

Szadera siedział na ławce przed domem i patrzył na pociągi. Grabińskiemu zdawało się, że mężczyzna nie dostrzeżę go, jednak kiedy podszedł bliżej, dróżnik odezwał się.

– One to czują – powiedział. – One wiedzą, co się stanie.

– Kto?

– Pociągi. Wystarczy na nie spojrzeć.

Grabiński podążył za wzrokiem Szadery. Na bocznicę stały dwa wysłużone wagony. Wiatr wymiatał spod nich pył, jakby powoli pozbawiał je duszy.

– One wiedzą, co się tutaj stanie. One to czują.

– Co czują?

– Krew. Zbliżającą się katastrofę. Karambol.

Grabiński drgnął. To ostatnie słowo pojawiała się w jego snach tak często, że teraz, słysząc je na jawie, wzdrygnął się mimowolnie.

– Skąd pan to wie? – zapytał Szadery.

– One mi powiedziały. Zupełnie jak przed rokiem. – Szadery popatrzył na Stefana po raz pierwszy, odkąd zaczęli rozmowę. – Zresztą, świat żyje w cyklach, a podobne wywołuje podobne. To odwieczne prawa natury i tylko jedna rzecz może to przerwać. Śmierć.

Po tych słowach Szadery zamilkł i trwał w bezruchu przez kilka minut. W końcu wyjął kapciuch z tytoniem i zaczął zwijać sobie papierosa.

– Pojutrze nastąpi otwarcie nowej linii – powiedział, kiedy skończył. – Przejedzie tędy ekspres do Lwowa. I wtedy się to stanie.

Szadery przypalił papierosa i zaciągnął się głęboko.

Stojący przed nim Grabiński zastanawiał się, o co jeszcze mógłby spytać dróżnika, ale ten odezwał się pierwszy.

– Mnie jednak wtedy już tutaj nie będzie.

Stefan popatrzył na niego zdziwiony.

– Co pan przez to rozumie? – zapytał.

– To, co powiedziałem. Dlatego chciałbym panu dać to. – Kolejarz wyjął spod ławki zawiniętą paczkę. – To coś w rodzaju dziennika. Mojego dziennika. Może po tym pan wszystko zrozumie. Jednak zanim panu to dam, proszę mi coś obiecać. Proszę dać słowo, że nie otworzy pan tego do jutra rana.

– Dlaczego?

– Za późno już na wyjaśnienia. Proszę po prostu obiecać.

– Dobrze więc, obiecuję.

Szadery podał mu zawiniątko i znów zaczął patrzeć na wysłużone pociągi.

– Teraz proszę już iść – powiedział, nie odwracając się do Grabińskiego.

Stefan ścisnął w dłoniach paczkę i spoglądał na dróżnika. Chciał jeszcze o coś zapytać, ale po zastanowieniu uznał, że jest to bezcelowe.

Schowal dziennik pod pachę i odszedł bez słowa.

IV

Franek zerwał się ze snu. Przed oczami wciąż majaczył mu obraz kobiety z jego koszmarów.

Jej widmowa twarz miała wyraz rezygnacji i wiecznego smutku.

Jej usta poruszały się, ale nie padały z nich żadne słowa.

Na piersiach polyskiwał srebrny wisior w kształcie salamandry.

Franek wiedział, że tej nocy już nie zaśnie.

Z mieszkania na poddaszu dobiegały żywe takty granej na skrzypcach melodii. Franek znalazł je doskonale.

Kurpiński i jego „Szarlatan”.

Porwany napadem furii ruszył do przedpokoju i chwycił leżącą tam miotłę. Jednak zanim uderzył nią w sufit, zdolał się opamiętać i odłożył narzędzie na swoje miejsce. Oddychając ciężko, zastanawiał się, co powinien zrobić w takiej sytuacji.

Po chwili wzał buty i w kąpielowym płaszczu ruszył na górę.

Wspinając się po skrzypiących schodach, nie od razu zauważył siedzącego na półpiętrze mężczyznę.

Nieznajomy, oparty plecami o okno, spoglądał w dół, jakby kogoś wyczekując. Kiedy zobaczył zbliżającego się Franka, podniósł się nieznacznie, a na jego twarzy widać było wyblask nadziei, który zgasł bardzo szybko.

– Przepraszam, czy pan tutaj mieszka? – zapytał Franek, stając naprzeciw niego.

– Nie, nie. Ja jestem tylko znajomym.

– Jest pan znajomym lokatora?

– Lokatorki.

– To wyśmienicie! Proszę mnie do niej zaprowadzić.

– Niestety, nie ma jej w domu – odpowiedział mężczyzna, z jakimś niewypowiedzianym smutkiem w głosie.

– Więc to pan tak gra?

– Nie rozumiem...

– Na skrzypcach! Czy pan tam gra na skrzypcach?! Całymi nocami i dniami! Nocami zwłaszcza!

– Ja nie gram na skrzypcach...

– Więc to pewnie z patefonu! To dlatego to się tak w kółko powtarza. Pan wie, która jest godzina?

– Niestety, nie, ale...

– Więc ja panu powiem, która – wpół do pierwszej w nocy!

Franek stał chwilę nad nieznanym czekając jakiejś reakcji. Ten jednak wyglądał na strapionego, jakby naprawdę nie rozumiał, o co się go tutaj oskarża.

– Proszę mi powiedzieć – zaczął Franek po chwili, już nieco łagodniej.
– Po co państwo tak łupią mi tutaj w kółko tym Kurpińskim? Czy to nie można tylko za dnia?

– Obawiam się, że zaszło jakieś nieporozumienie. Nie bywam tutaj za dnia, a nocą tylko czasami. Czekam na mieszkającą tutaj kobietę. Ona... zaginęła przed rokiem, ale ja wierzę, że się odnajdzie. Jej rodzina jest tego samego zdania, dlatego wciąż opłaca mieszkanie i przysyła tu kogoś, aby raz na jakiś czas posprzątał.

– Więc dlaczego wciąż słyszę stąd skrzypce?

Nieznanomy nie odpowiedział od razu. Jakby sobie coś przypominając, uśmiechał się do siebie. Po chwili spojrzal na Franka i powiedział:

– Wie pan, to zabawne, ale Anna, kobieta, która tutaj mieszkała, bardzo lubiła grać na skrzypcach. Szczególnie Kurpińskiego.

Franek uczył, że słabnie. Łapiąc się poręczy, usiłował odzyskać równowagę.

– Ma pan klucze do tego mieszkania? – zapytał, kiedy już doszedł do siebie.

– Nie, ale można spytać dozorcę...

– Nie ma na to czasu. Ja muszę tam wejść teraz.

Podbiegł do drzwi i pociągnął za klamkę. Nie ustąpiła.

Mężczyzna stojący przy oknie ruszył za nim, nie wiedząc, czy ma mu pomóc, czy go powstrzymać.

Kiedy dotarł na górę chciał coś powiedzieć, jednak zanim otworzył usta usłyszał szcęk zamka. Obaj mężczyźni popatrzyli w stronę, z której dochodził dźwięk.

Klamka opadła i drzwi powoli uchyliły się.

– Szczególne – wyszeptał Franek, ostrożnie zaglądając do środka.

Wokół panowała niepokojąca cisza.

Mieszkanie wyglądało na puste. Kiedy jednak zapalił światło, zobaczył kobietę ze swojego snu.

A raczej tak mu się tylko zdawało.

Nad stojącym w rogu pianinem zawieszony był plakat z jej podobizną. „Salamandra – największe medium Polski”, obwieszczał umieszczony na nim podpis. Franek powoli obejrzał się na nieznanego.

– Czy to jest ta pańska przyjaciółka? – zapytał, wskazując plakat ręką.

– Tak.

Franek podszedł do afiszu nie mogąc oderwać od niego wzroku.

– Ma na imię Anna – powiedział jego towarzysz. – Była niezwykle silnym medium. Jednym tchem wymienia się jej nazwisko z Jadwigą Domańską i Stanisławą Tomczykówną. Ta ostatnia zresztą miała ją jakiś czas pod swoimi skrzydłami. Czy pan wierzy w takie rzeczy?

Franek zaśmiał się. Chciał odpowiedzieć, chciał się przedstawić, jednak kiedy mimowolnie wziął z pianina jedno z leżących tam zdjęć, jego ciałem targnął przeraźliwy spazm.

Znów usłyszał tę muzykę. Teraz niezwykle wyraźnie, jakby ktoś grał ją właśnie nad jego uchem.

Na podłogę spadły zawieszona na ścianie skrzypce.

Obecny przy nim mężczyzna próbował go przytrzymać. Franek widział, że tamten coś mówi, jednak nie rozumiał wypowiedzanych słów.

Trzymając się pianina robił wszystko, żeby nie upaść.

Z jego nosa i lewego ucha poczęła wydobywać się dziwna, jasna substancja o niespotykanej konsystencji. Wplątując mu się we włosy, wyrastała w górę, wyglądając jak piekielna roślina żywiąca się duszą.

Franek doskonale wiedział, co to takiego.

Półpłynna masa zaczęła układać się w kształt głowy i po kilku chwilach obojgu mężczyznom ukazała się milcząca twarz Anny, taka sama, jaką Franek oglądał w swych snach.

Jej nieruchome oczy nie patrzyły na żadnego nich.

Nieznajomy, wypowiadając jej imię, wyciągnął rękę, by dotknąć tego fantastycznego zjawiska.

Wtedy Anna znikła, a obaj mężczyźni zamarli, jakby pogrążyli się w katatonicznym śnie.

– Pana przyjaciółka nie żyje – przerwał w końcu przedłużającą się ciszę Franek. – Bardzo mi przykro.

– Czy pan także jest medium? – zapytał Grabiński, spoglądając na niepozorną twarz nieznajomego.

– Tak, nazywam się Franek Kluski – Franek wyciągnął w jego stronę dłoń.

– Stefan Grabiński. Słyszałem o panu. Szkoda, że spotykamy się w takich okolicznościach.

– Ja również żałuję. I przykro mi, że to ja musiałem panu przekazać tę smutną nowinę.

– Domyślałem się tego już wcześniej. Nie chciałem jednak przyjąć prawdy do wiadomości.

Franek namyślał się przez chwilę, po czym spojrzal Grabińskiemu w oczy.

– Pana przyjaciółka potrzebuje pomocy – zaczął niepewnie. – Dusze nie objawiają się w ten sposób, jeśli nie są w potrzebie. Musimy dowiedzieć się, czego ona oczekuje, inaczej nikt z nas nie zazna spokoju.

Grabiński wyjął z dłoni Franka fotografię Anny i przyglądał się jej przez chwilę.

– Czeka nas więc pracowity dzień – powiedział.

V

Szadera zgniótł papierosa w popielniczce pełnej niedopalków. Ściskając w rękach kolejarską tarczę wskazującą sygnał zielony, patrzył w skupieniu na cyferblat zegara.

Dochodziła druga.

– Zrobię to dla was ostatni raz – powiedział szeptem.

Wstając poprawił mundur i założył czapkę.

Noc była ciepła. Wyjątkowo ciepła, jak na marzec. Wychodząc przed stację, stary dróżnik czuł wilgotny powiew na swojej twarzy.

Jednak było coś jeszcze w tym nocnym wietrze. Jakiś nieokreślony, metaliczny zapach, który budził jego podniecenie.

Z tarczą pod pachą chwycił żelazną dźwignię i przerzucił szyny na torze. Potem wrócił na swoją pozycję i stał wyprostowany, patrząc w dal, z której nadjechać miał pociąg.

Nadając sygnał odjazdu doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że dojdzie do katastrofy. Czekał na ten przeraźliwy zgiełk, jaki wypełni jego uszy. Na ten potworny widok miażdżonych wagonów, urywanych kończyn, wszechobecnej śmierci.

I oto nadjeżdżał już ekspres. Stłumiony stukot, jaki wydawał, łączył się w głowie Szadery z biciem jego własnego serca.

Stojąc w pewnym oddaleniu, kolejarz wypatrywał kolizji.

Maszynista nadjeżdżającego pociągu zaczął hamować. Jednak desperacka próba zatrzymania rozpedzonej maszyny musiała skończyć się niepowodzeniem.

Szadera wiedział o tym aż nazbyt dokładnie. Od roku oglądał tę scenę każdej nocy. Od miesięcy sprawiał, że każdej nocy to wszystko wydarzało się na nowo.

Ale dziś miał to być ostatni raz.

Na drugi dzień Molibda zeznał, że widział, jak Szadera bardzo długo stał na pustej platformie. Że zachowywał się, jakby odprawiał nieistniejące pociągi. Oczywiście, wydawało mu się to dziwne, ale Szadera podobno robił to często. To był taki typ człowieka, który prawdziwie kocha i rozumie kolej, i nie może żyć bez związanych z nią obowiązków.

Gdyby Molibda wiedział, że Szadera powiesi się zaraz po powrocie do domu, z pewnością by go powstrzymał.

VI

Tego ranka Franek wstał niezwykle wypoczęty. Sen miał twardy i nie budziły go ani koszmary, ani odgłosy z góry.

Dopiero podczas popołudniowej drzemki znów nawiedziła go postać Anny. Jak wcześniej była milcząca i tylko wpatrywała się w niego swoimi niebieskimi oczyma. Jej blada skóra błyszczała jakimś nieokreślonym blaskiem, a rozpuszczone włosy falowały miarowo, jakby poruszone wiatrem.

Franek spojrzal na zawieszony między jej piersiami symbol salamandry.

Srebrna ozdoba pulsowała rytmicznie, nieznacznie zmieniając kształt. Wyglądała jak rozlana rtęć, uciekająca na wszystkie strony. Jak żywa materia usiłująca zerwać się ze swojej uwięzi.

Nagle wisior pękł, zmieniając się w płynne srebro.

Zaraz po tym głowa Anny przechyliła się w tył i upadła na deski podłogi.

Zalane krwią usta wypowiadały jakieś słowa, ale Franek nie słyszał ich już.

Zerwał się ze snu, mokry od zimnego potu.

Wokół wałaly się książki i notatki, które sporządzał, analizując opowiedzianą przez Grabińskiego historię.

Gdy spojrzal na zegarek, dochodziła szósta. Tylko dwie godziny dzieliły go od spotkania ze Stefanem. Grabiński miał przyprowadzić ze sobą Popiołowicza.

Ekspres do Lwowa odchodził przed pierwszą i do tego czasu musieli ustalić, co należy zrobić. Nie mieli jednak wątpliwości, że podczas jego przejazdu wydarzy się coś niebywałego. Mieli tylko nadzieję, że nie będzie to kolejny karambol.

Dzisiejszy ranek Kluski spędził w archiwum miejskim, szukając artykułów o nieszczęśliwym wypadku sprzed roku. Znalazł jednak niewiele.

O Annie nie było ani słowa. Nie wymieniano jej ani na liście ofiar, ani na liście osób zaginionych. Jednak nawet Grabiński przyznawał, że musiała zginąć podczas tej katastrofy.

Zagadką pozostawało tylko to, co trzyma jej duszę w tym mieście.

Choć w artykułach o karambolu nikt o Annie nie pisał, Kluski znalazł inną informację, dość szczególną jego zdaniem.

Anna, nazywana w prasie Salamandrą, była w konflikcie z jednym z najwyższych członków Ordo Templi Orientis. Jego nazwiska jednak nigdzie nie podawano.

Wspominano jedynie, że konflikt był dość ostry, a ów człowiek był kimś z jej najbliższego otoczenia. Podobno wszystko zaczęło się w czasie jednego z seansów.

Zastanawiając się nad tą sprawą Franek spostrzegł, że Grabiński jest już spóźniony. Początkowo się tym nie przejął, ale kiedy spóźnienie zaczęło przedłużać się, we Franku z każdą minutą narastał niepokój.

Nerwowo chodząc po salonie, zastanawiał się, czy jego nowy towarzysz nie zrezygnował aby z oferowanej mu pomocy.

Dla Franka Grabiński był postacią dość osobliwą i trudno mu było przewidzieć jego zachowanie.

Niezwykle inteligentny, wykazujący się niemalą erudycją, stwarzał jednocześnie pozory zamknięcia i wycofania.

To właśnie te cechy przypadły tak Frankowi do gustu.

Kluski częściowo widział w nim siebie.

Nie mogąc znieść piętrzącej się niepewności, Franek wstał, założył marynarkę i poszedł złożyć Grabińskiemu wizytę.

Problem stanowił jedynie adres, pod którym Stefan zatrzymał się tutaj. Kluski nie znał dobrze tego miasta i pamiętał tylko, że dom Popiołowicza ulokowany jest gdzieś w dzielnicy willowej.

Na szczęście Franek wiedział, gdzie znajduje się ta dzielnica.

Przynajmniej mniej więcej.

Krążąc po uśpionym mieście czuł na twarzy pierwsze powiewy zbliżającej się wiosny. Powietrze było wilgotne i pachniało spęczniałą ziemią. Gdyby nie okoliczności, Franek z pewnością czerpałby radość z tego nocnego spaceru.

Nagle, kiedy wchodził do parku z ulicy Katedralnej, w jego twarz uderzyła przywiana wiatrem gazeta. Schylając się, by ją podnieść, Kluski ze zdziwieniem stwierdził, że jest to „Kurier Metapsychiczny”, ten sam numer, który przysłano mu wczoraj.

Oglądając gazetę w rozmigotanym świetle latarni uczuł, że coś wyrывa mu ją z dłoni. Choć wiatr był lekki, pismo poszybowało przez park, niknąc mu z oczu.

Zafascynowany Kluski ruszył za nim. Zatracając się w pełni w tej dzwacznej pogoni, nie zauważył nawet, kiedy zgubił drogę. Dostrzegł to dopiero po kilkunastu minutach i ze zdziwieniem stwierdził wtedy, że musi znajdować się w którejś ze ślepych odnóg dzielnicy willowej.

Przed nim, na rdzewiejącej bramie, zawisła śledzona przez niego gazeta. Tym razem nie stawiała żadnego oporu i Franek bez problemu mógł wziąć ją do ręki.

Kiedy schował pismo do kieszeni, jął przyglądać się posępnemu domowi, do którego prowadziła brama.

Budowla wyglądała na niezamieszkałą. Wiekowa fasada zaczynała powoli niszczyć i Franek w słabym świetle latarni mógł dostrzec niewielkie plamy luszczącego się tynku.

W jednym z okien migotał nikły płomień lampy naftowej.

Wiedziony jakąś chorobliwą fascynacją, Kluski uchylił skrzydło bramy i ruszył w tamtą stronę.

Za szybą ujrzał pogrążony w nieładzie salon. Większość mebli przykrywały płachty materiału i tylko niski stolik, stojący przy skórzanej sofie i sama sofa były odkryte. Na stole ustawiono lampę i arkusze papieru, zapisane drobnym, równym pismem. Wypełnione kartki zalegały także podłogę. Wśród nich leżał gruby brulion, trochę ubrań i solidna walizka.

Na kominku stało oprawione w ramkę zdjęcie jakiegoś mężczyzny.

Między ubraniami Kluski rozpoznał marynarkę Grabińskiego.

Jego uwagę zwróciły również liczne wycinki prasowe przyklejone do ścian i mebli. Przyglądając się im, Franek zauważył, że na niektórych z nich znajdują się zdjęcia Anny.

Niewiele myśląc podszedł do drzwi wejściowych i nacisnął klamkę. Drzwi ustąpiły i Kluski mógł wejść do środka.

Dom był pusty. Niezgaszona lampa mówiła Frankowi, że ktokolwiek opuścił go jako ostatni, musiał zrobić to w dużym pośpiechu.

Tak jak domyślał się wcześniej, wszystkie wycinki dotyczyły Anny. Opisywały jej seanse, konflikt z tajemniczym zakonnikiem, w końcu zaginięcie i bezowocne próby odnalezienia jej. Również liczne notatki podejmowały te tematy.

Oglądając sterty zapisanych kartek, Kluski zaczął w końcu przeglądać leżący na podłodze brulion.

Był to pamiętnik, jak Franek szybko zorientował się, pamiętnik spisany przez dróżnika.

Wiele notatek, szczególnie ostatnich, było zawitych i niezrozumianych lub pisanych w takiej gorączce, że całkowicie nieczytelnych. Ale to, co dało się odcyfrować, stanowiło fascynujący zapis postępującego szaleństwa.

„To ja jestem winien śmierci pasażerów ekspresu lwowskiego – brzmiał pierwszy wpis. – To ja noszę brzemię, którego ciężaru nie wytrzymam już długo. Dlatego muszę opisać to wszystko, czego stałem się sprawcą”.

Na kolejnych stronach Franek znalazł sprawozdanie z kilku dni przed katastrofą i szczegółową relację ze zdarzeń, jakie miały miejsce tamtej feralnej nocy.

Z zapisków wynikało, że dróżnik nie działał sam. Ktoś przekupił go, aby przełączył szyny na boczny tor.

Dla Kluskiego postać inicjatora tego przedsięwzięcia wydawała się wielce interesująca. Przerzucając kartki, szukał fragmentów, które opisywałyby go szerzej.

„Znów do mnie przyszedł. Ostatnio zjawiał się coraz częściej, czasami kilka razy na dzień. Jednak teraz był o wiele bardziej stanowczy. W końcu do przejazdu pociągu nie zostało już wiele dni. Pewnie dlatego zaproponował mi większą zapłatę.

To przez nią w końcu uległem. Chciwość jest w stanie nakłonić nas do wszystkiego.

Dopiero później zobaczyłem, jak złudne były moje nadzieje”.

Kluski błądził oczami po tekście, chcąc jak najszybciej rozwiązać wszystkie tajemnice. Nerwowo przewracał strony, wychwytyjąc z nich pojedyncze zdania, ale nieuporządkowana struktura zapisków wymuszała na nim ciągle wracanie do już przeczytanych partii.

„Kiedy stałem wśród tego potwornego zgiełku, dostrzegłem, że i on obserwuje całe zdarzenie. Zupełnie, jakby chciał sprawdzić, czy należycie wykonałem swoje zadanie.

Wyraz jego twarzy, pełen uśmiechu, wywołał we mnie wściekłość. Nagle zapragnąłem zobaczyć jego śmierć.

Złapałem kamień leżący u mych stóp i zakradając się do niego, z całych sił uderzyłem go w głowę. Kiedy był martwy, zaciągnąłem jego ciało na stertę wywleczonych ze strzaskanych wagonów trupów”.

Czytając, jak doszło do wypadku, Kluski czuł się bardzo nieswojo. Choć nie znał miasta zbyt dobrze, rozpoznawał opisywane przez dróżnika miejsca. Kojarzył zwrotnicę, która doprowadziła do tragedii, widział oczyma wyobraźni boczny tor, na którym stał drugi pociąg.

Sprawiło to, że te niepozorne do tej pory miejsca ujawniły mu swoje wstrząsające piętno.

Zagłębiając się w dalsze partie tekstu, był świadkiem postępującego obłędu Szadery.

„Wszystkie pociągi wiedzą, co zrobiłem – pisał dróżnik. – Słyszę ich głos, kiedy się do nich zbliżam. Spętane w składach dusze chcą wyrwać się z tej piekielnej pułapki, jednak coś nie pozwala im odejść.

Tylko kolejna tragedia może im pomóc.

Dopóki ona nie nastąpi muszę odprawiać ten piekielny pociąg na pewną zgubę. I co noc słyszę wołanie o nowy karambol.

Jeśli dojdzie do kolejnej kolizji, wszystkie dusze staną się wolne. Jestem tego pewien”.

Ostatnie dwa zdania były podkreślone. Kluski powoli zaczął rozumieć, dlaczego nie zastał Grabińskiego. Z rosnącym napięciem czytał dalej.

„Jednak on także tego chce. Widzę go tutaj coraz częściej. Widzę go w przejeżdżających wagonach, widzę na opustoszałych platformach, na ławkach w budynku stacji.

Ale nie dam mu tej satysfakcji. Nie pozwolę, by to wydarzyło się znowu. Jego przecięte blizną usta nie uśmiechną się już więcej z mojego powodu”.

Kluski wypuścił z dłoni czytany pamiętnik. Spoglądając w stronę stojącej na kominku fotografii czuł, jak po plecach przechodzą mu zimne dreszcze.

Wcześniej nie zastanawiał się nad tym, dlaczego Grabiński mieszka w opuszczonym domu. Dlaczego utrzymywał, że zatrzymał się u przyjaciela.

Teraz wszystko wydawało się oczywiste.

Chciał ruszyć w stronę wyjścia, ale uczył, że coś go trzyma. Rozglądając się wokół zauważył, że z ust i ucha znów wydobywa się mu ta dziwna, jasna substancja. Teraz wyglądała jednak nieco inaczej. Wjąc się po szyi, wyrastała wysoko nad nim, aż czepiając się powały, zaczęła powoli unosić go, zaciskając się na jego szyi.

Miażdżona krtań zapierała mu dech i choć Franek usiłował wyrwać się z tego uścisku, wiedział, że wszelkie tego próby mogą go jedynie osłabić i przyspieszyć śmierć.

Kiedy był już na granicy utraty przytomności, usłyszał doskonale sobie znaną arię z „Szarlatana” Kurpińskiego.

Po chwili petla rozwinęła się, a on padł na podłogę, łapiąc oddech potężnymi haustami.

Tych kilka minut wycieńczyło go niemal zupełnie. Nabrzmiałe krwią oczy łzały obficie, przez co kontury otoczenia straciły swą ostrość.

Kiedy wstawał, wciąż czuł zawroty głowy.

Jednak teraz nie mógł się poddać. Teraz musiał jak najszybciej dotrzeć na stację.

VII

Grabiński, chwytając za kolbę stawidła, połączył szyny z bocznym torem, na którym stało kilka niezaladowanych jeszcze wagonów. Kiedy manewr był zakończony, oddalił się ukradkiem, dbając, by nie zauważył go stojący na stacji dróżnik. Wymijając jego senne spojrzenie, zaszedł na tyły budynku, po czym wkroczył na peron błędnym krokiem, aby tu wyczekiwać mającej nastąpić tragedii.

Jego ciało przechodziły dreszcze, jakby targala nim gorączka. Po bladej twarzy spływały krople potu. Zaciskając nerwowo drżące dłonie, bezmyślnie wpatrywał się w stronę, z której miał nadejechać ekspres.

Choć noc była ciepła, czuł jakiś dziwny, dojmujący chłód, przesywający go na wylot. Kiedy godzina nadejścia pociągu była już bliska, zauważył, że z ust unoszą mu się wąskie stróżki pary.

– Wiedziałem, że to zrobisz. – Usłyszał za sobą zimny głos Popiołowicza. – Od pierwszego dnia, w którym poprzysiągłeś ją odnaleźć, wiedziałem, że w końcu postradasz zmysły.

– Lepiej zmysły, niż życie. – Grabiński nie spojrzal na niego. Ze wzrokiem utkwionym w tory, stał w kompletnym bezruchu. – Ale teraz to wszystko się skończy. Uwolnię ich spod twojej mocy.

Z daleka dobiegł gwizd zbliżającego się pociągu. Z każdą sekundą narastał miarowy stukot koloczających o szyny kół.

Grabiński czuł, jak krew uderza mu do skroni. Jego serce przyspieszyło rytm, synchronizując go z demonicznym metrum pędzącej ku zagładzie maszyny. Nie myślał już teraz o niczym. Nie istniało nic, prócz tego upiornego taktu, mającego za chwilę osiągnąć swe apogeum.

Kiedy przednie światła lokomotywy oświetliły tory, Stefan ujrzał jakąś postać, pochyłoną nad mechanizmem zwrotnicy.

Nie od razu rozpoznał Kluskiego.

Choć Franek uszedł w porę, a ekspres wjechał na tor główny, maszynista zahamował nagle, jakby miał naprzeciw siebie śmiertcionośną przeszkodę.

Odwracając się w stronę stacji, Grabiński zobaczył oświetloną przez nadjeżdżający pociąg, upiorną sylwetkę zmiążdżonych wagonów.

Spiętrzone w jednym miejscu, nachodząc na siebie, szczyrzyły się sztyrczo szeregiem rur, szyn i powyginanych blach, poprzeplatanych ludzkimi szczątkami, zlewając się ze stojącą tam wcześniej częścią towarowego składu.

– Nie znajdziesz jej tutaj – powiedział chłodno Popiołowicz. – Jechała w pierwszym wagonie. Nie sądzę, aby został po niej jakikolwiek ślad.

Stefan obrócił się, patrząc na stojącą za nim postać dawnego przyjaciela. Była dziwnie mglista, choć w nikłym świetle wyglądała o wiele realniej, niż zalegający tory widmowy wrak pociągu.

– Podobno uwielbiała Tolstoja – kontynuował Popiołowicz, zginając lekko przecięte blizną usta. – Powinna wyciągnąć z niego należyłą naukę i nigdy nie zbliżać się do stacji kolejowych. – Popiołowicz roześmiał się ze swojego dowcipu.

Grabiński postąpił krok w jego stronę. Zaciskając pięść zebrał się do zadania ciosu, jednak zanim to nastąpiło, poczuł dziwną siłę spychającą go w tył. Naparła na niego tak mocno, że musiał cofnąć się, aż w końcu stracił równowagę i upadł na platformę.

– Głupcze – usłyszał nad sobą słowa Popiołowicza. – Nie wiesz, na co się porywasz.

– Ale ja wiem! – Kluski podszedł do niego szybkim krokiem. Widać było po nim, że i na niego oddziałuje ta tajemnicza moc, jednak Franek zdołał jej się oprzeć.

Wirujący wiatr zbierał wokół nich kurz i śmieci, ciskając nimi na wszystkie strony.

– Ty? A kim ty jesteś? – wyszczał Popiołowicz. – Marne medium, z zapasem hochsztaplerskich sztuczek odgrywanych na salonach.

– A czy to właśnie nie medium obawiasz się najbardziej?

Zjawa spojrzała na Kluskiego z politowaniem.

– Porównujesz siebie do niej? – spytała. – Ona miała tę wspaniałą moc, której tobie brakuje. Tę moc, której ty nigdy nie będziesz mieć. Tylko ona mogła pokrzyżować mi plany. I dlatego musiała umrzeć.

Franek uczył, że napierająca na niego siła zwiększa się. Wytrwale stawiał jej opór, jednak wiedział, że nie wytrzyma już długo.

– Nie mogłem pozwolić, aby do tego doszło – kontynuował Popiołowicz.

– Nie mogłem pozwolić, aby Czyński dowiedział się o moich planach. O planach, które przejrzała Anna w czasie tamtego seansu.

Zbliżając się w stronę Franka, przeszywał go swoim przenikliwym spojrzeniem.

– Tylko pod moimi rządami Ordo Templi Orientis mogło stać się prawdziwą potęgą. Tylko ja mogłem zatrzymać trawiącą je zarazę, prowadzoną przez tego angielskiego sztukmistrza!

– Jesteś głupcem, jeśli myślisz, że uda ci się powrócić. – Franek z całych sił starał się nie okazywać, że słabnie.

– To ty jesteś głupcem! – Grabiński przedzierał się przez powstrzymującą go barierę. – Gdybyś się tutaj nie zjawił, to wszystko byłoby już skończone.

– Mylisz się. Gdyby te tory spłynęły krwią, tylko dusza Popiołowicza zostałaby uwolniona. Inne karmiłyby jedynie jego moce.

– Skończycie tę dyskusję później – przerwał im Popiołowicz, śmiejąc się szyderczo. – Jeśli będziecie mieli okazję.

Grabiński znów spróbował zaatakować go, jednak nie zdołał przedrzeć się przez chroniącą go siłę. Powalony na ziemię, mógł tylko przyglądać się jego konfrontacji z Kluskim.

W tle słyszał okrzyki biegających kolejarzy. Nie wiedział, czy widmo pociągu wciąż utrzymuje się na torach. Pracownicy stacji wraz z obsługą składu byli tak zaafekowani tym, co się tam dzieje, że zupełnie nie zwracali na nich uwagi.

Z trudem unosząc ciężącą mu głowę, Stefan spojrział w stronę walczących.

Popiołowicz ruszył właśnie w kierunku Kluskiego. Kiedy pochylił nad nim swoją twarz, Franek poczuł chłodny powiew o metalicznym zapachu.

– Jeśli ludzisz się, że śmierć jest bezbolesna, za chwilę pokażę ci, w jak dużym jesteś błędzie – wysyczała zjawa przez swoje przecięte blizną usta.

– A jeśli nie mam takich złudzeń?

Zdziwioną twarz Popiołowicza przeszły poskręcane wstęgi ektoplazmy. Wbijając się w nią, owijały całą jego powłokę, zmieniając jej kształt i rozrywając.

Wygięty w tył Kluski, z rozchyłonymi lekko ramionami, emitował je z dłoni, ust i nosa. Ból, jaki przy tym odczuwał, nieomal pozbawiał go przytomności. Łzawiące oczy zalewały mu twarz słonymi strugami, łączącymi się z zimnym potem.

Grabiński leżał nieopodal, targany atakiem kaszlu. Obserwował całą scenę, bezsilnie próbując wstać. Miał przy tym wrażenie, że część z energii pochłaniającej Popiołowicza pochodzi od niego. Gdy usłyszał gwizd ruszającego pociągu, osunął się w głuchą przestrzeń nieprzytomności.

Kiedy się ocknął, Kluski kłęczał, wspierając się rękami o chłodne kamienie platformy. W tle slychać było krzyki personelu stacji.

Głowa ciążyła Frankowi niewyobrażalnie. Opadające powieki przyćmiewały i tak zamglony już wzrok. Łapiąc z trudem oddech robił wszystko, by nie paść zemdlnym.

Gdy powoli zaczął dochodzić do siebie, dostrzegł leżący przed nim srebrny symbol salamandry.

Dokładnie taki sam, jaki widywał w snach.

Ostatnie promienie kwietniowego słońca wpadały przez okno, barwiąc wszystko rudawo–krwawym odcieniem.

Siedzący na fotelu profesor Szarzewski zapalił fajkę, wypuszczając z ust rubinowe kłęby dymu.

– Cieszę się, że dochodzi pan już do siebie – zwrócił się w stronę Grabińskiego. Stefan uśmiechnął się i popatrzył na profesora.

– To przez to miejsce – powiedział. – Niezwykle mi służy. Bardzo łatwo jest tutaj odzyskać siły.

– A kiedy zamierza pan wrócić do Przemysła?

– Może już w przyszłym tygodniu. Ale będzie mi bardzo żal stąd wyjeżdżać.

– Nie dziwię się. – Siedzący nieopodal Kluski sięgnął po kawę. – Jednak najbardziej przeraża mnie to, że i ja będę musiał opuścić ten dom.

– To i tak bardzo miło ze strony pańskiego kolegi – odezwał się Grabiński – że pozwolił nam tutaj zostać tak długo. Ten dom jest wspaniały.

– E tam, mój przyjaciel i tak tutaj nie zagłąda. Jego zdaniem w tym domu straszy. Mężczyźni roześmieli się.

– To naprawdę miło widzieć panów w takich humorach – podjął po chwili profesor. – Szczególnie pana, panie Grabiński.

– Miewam jeszcze słabsze chwile, ale już o wiele rzadziej.

– Słyszałem, że pan pisze. Proszę w takich chwilach pisać jak najwięcej. To bardzo pomaga.

– Z pewnością zastosuję się do pańskiej rady – powiedział Stefan. – Tym bardziej, że mam już kilka pomysłów.

Profesor wypuścił kolejny kłęb dymu i wyjrzał przez okno.

Słońce zaszło już niemal zupełnie i Szarzewski, patrząc na jego ostatnie promienie, zacisnął swoim zwyczajem dłoń na pole surduta.

– Niebawale! – powiedział nagle. – Czy panowie również słyszą skrzypce?

Kluski spojrzał wymownie na Grabińskiego, po czym przeniósł wzrok na profesora.

– To moja daleka krewna – powiedział spokojnie. – Zatrzymała się tutaj na kilka dni.

– Cóż za wspaniała gra! Musimy koniecznie ją tutaj poprosić!

– Może nie dzisiaj. Jest bardzo nieśmiała. Wie pan, artystyczna dusza...

– Ach, rozumiem. Ale gra fenomenalnie. Takiego wykonania „Szarlata-na” nie słyszałem nigdy w życiu!

– Przekażę jej pańskie słowa. Z pewnością się ucieszy.

Profesor pyknął parę razy z fajki, po czym znów zwrócił się do Franka:

– A może mi pan zdradzić, jak długo pańska krewna zamierza tutaj zostać?

Kluski wymienił ze Stefanem ukradkowe spojrzenia. Pociągając swoją brodę zastanawiał się przez chwilę.

– Kto wie? – powiedział wreszcie. – Kto wie?

Corpus Nobile

I

– A Roszawski na to: „więc francuską modą waść to kuriozum nosisz? A ja myślałem, że to na znak tego, że waści macierz pies w gębę chędożył?!”

Salą wstrząsnął wybuch gromkiego śmiechu. Ubrudzone jadem sumias-te wąsy zebranych trzęsły się na ich spoconych twarzach. Z otwartych ust wypadały okruchy i kawałki mięsa. Choć jeszcze przed chwilą wydawało się to nie możliwe, panujący w izbie rejwach przybrał na sile. Gruby szlachcic, który skończył opowiadać swoją historię, chwycił ze stołu baranie udo. Wgryzając w nie zęby usiłował dodać coś jeszcze do opowieści. Jego słowa ginęły w potoku mlasków i chrząknięć.

Tylko jeden z biesiadników nie zwracał uwagi na to, co działo się w tej części sali.

Jakub Wroński wspierając łokcie na blacie stołu pocierał swoje łzawiące oko. Jego głowa kiwała się miarowo, jak kawałek drewna puszczoney na wodę. Gdy oderwał dłonie od twarzy, zobaczył, że znów przyniesiono nowe dania.

Stół był ich pełen. Rozgrzebywane rękami mieszały się ze sobą, tworząc fantazyjne konstelacje. Patrząc na nie, Jakub nie mógł poznać co już było na stole, a co właśnie zostało podane. Wśród sztuk pieczonego mięsa wałaly się kiszki i pęta kielbasy. Gotowana kapusta kleiła się do butli i pucharów. Rozlane zupy spływały ospalymi strużkami na podłogę.

Wroński błędząc dookoła mętym wzrokiem usiłował przypomnieć sobie, gdzie właściwie się znajduje. Nikle światło w izbie sprawiało, że kontury pomieszczenia rozplywały się. Nie mogąc ich dostrzec, miał wrażenie, że stół, przy którym siedzi, zawieszony jest w bezkresnej pustce. Nie wiedział, jak się tu znalazł, ani jak długo tutaj przebywa. Nieprzemijające uczucie głodu paliło mu trzewia, mącąc myśli i przytępiając zmysły.

Twarze zebranych ukryte pod zasłoną cieni wydawały mu się znajome. Przyglądając się im, starał przypomnieć sobie jakieś nazwiska. Jednak im dłużej się w kogoś wpatrywał, tym bardziej jego wizerunek rozplywał się, a jego miano, przed chwilą już prawie znajome, ginęło w kotłowaniu myśli, których nie potrafił uporządkować.

Kiedy wciąż usiłował dopasować nazwiska do widzianych twarzy, otrzeźwił go dźwięk jego własnego.

– Rotmistrz Wroński! Czemu waść taki zasepiony? – Jakub zobaczył grubego szlachcica przechylającego się w jego stronę. Był to ten sam, który opowiadał historię o staroście Roszawskim. Kiedy Wroński przyjrzał się mu, rozpoznał w nim porucznika swojej dawnej chorągwi.

– Jedz! To uczta specjalnie dla ciebie! – Porucznik oderwał kolejny kawał mięsa od trzymanej w ręce kości. Wkładając go sobie do ust mówił dalej: – Szczęśliwy dzień nastal dla naszej kompani elearskiej! Jest z nami nasz rotmistrz, jest z nami nasz świętobliwy kapelan, imć Wojciech Dębołęcki, a i sam pułkownik Lisowski wraz z resztą chorągwi już wkrótce do nas zawita!

Ogarnięta euforią szlachta poczęła palić z bandoletów. Nie próbując jej uspokoić, gruby szlachcic przekrzykiwał hałas:

– Szczęśliwy to czas, powiadam! Nasze chorągwie znów zjednoczą się pod wodzą Lisowskiego! A z błogosławieństwem naszego kapelana nie straszne nam klątwy i zlorzeczenia, jakie spadły na nasze głowy za to tylko, że wiernie Rzeczypospolitej chcieliśmy służyć!

Szlachta znów poczęła wiwatować.

Jakub zauważył, że przemawiający porucznik wpatruje się prosto w niego. Na jego nalanej twarzy dostrzegł wyraz wyrzutu.

Mierząc Wrońskiego wzrokiem gruby szlachcic przez chwilę stał w milczeniu, po czym zniżył głos i zwrócił się bezpośrednio do Jakuba:

– Mości Wroński, długo musieliśmy na waści czekać. Wzbraniał się nasz rotmistrz, żeby z chorągwią swoją się w końcu połączyć. A przecież było wiadome, że przed własnym przeznaczeniem nikt nie ucieknie.

– Daj już pokój, poruczniku Pilecki. Nie turbuj naszego gościa, bo jeszcze gotów nas opuścić. – Głos franciszkanina był ciepły, ale zdecydowany i mocny. Jakub nie wiedział skąd ksiądz się tu zjawił. Był pewien, że nie widział go wcześniej. Na słowa kapelana twarz Pileckiego znów nabrała radośniejszego wyrazu.

– Masz rację, ojcie Dębołęcki – powiedział. – Ale nie miejcie mi tego za złe. To z radości i troski te słowa, nie z wyrzutów. Teraz niech ojciec głos zabierze. Czekamy na błogosławieństwo.

Ksiądz uniósł ręce. Jakubowi zdało się, że całe pomieszczenie jaśnieje. Przed jego oczami zaczęły kołować obrazy i Wroński ze zdumieniem spostrzegł, że znajdują się w kościele. Przez grube witraże sączyło się ciężkie, czerwone światło zachodzącego słońca.

– Corpus Christi! – Głos Dęboleckiego niesiony echem odbijał się od chłodnych murów. Przechodząc przez wszystkie nawy wracał i świdrował uszy Wrońskiego, jakby rozchodził się tuż pod powalą jego czaszki. Zawroty głowy, jakie przy tym poczuł, niemal nie zrzuciły go z krzesła. Jakub musiał chwycić się blatu. Jego lewe oko znów zaczęło łzawić. Kiedy spojrzal przed siebie zdało mu się, że jest jednym z bohaterów fresku sławnego Leonarda, który oglądał lata temu podczas pielgrzymki do Rzymu. W miejscu Jezusa siedział kapelan. Rozkładając dłonie w geście błogosławieństwa mówił coś szeptem. Siedzący po jego obu stronach szlachcice szarpali rękami leżące na stole mięso i pchali je sobie do ust. Wroński z przerażeniem stwierdził, że to, co jedzą było nagim ciałem Jezusa. Targany odruchem obrzydzenia cofnął się spadając z siedziska.

Leżąc na podłodze dostrzegł nad sobą uśmiechniętą twarz Pileckiego.

– Cóż to, Jakubie? Za dużo okowity się przez gardło przelalo? – Głos porucznika pelen był drwiny. – Nie zmiarkował waść, ile się w czubie zmieści?

Jakub spróbował wstać. Kiedy gruby szlachcic pochylił się nad nim, Wroński poczuł jego oddech woniejący wilgotną mogiłą.

– A nasza okowita mocna – mówił dalej porucznik. – Wie waść dlaczego? – Bijący od Pileckiego chłód kojarzył się Wrońskiemu z otwartym grobem. Pochylając się jeszcze bardziej, porucznik wysyczał tuż przy jego uchu: – Bo na ludzkich kościach pędzona.

Wroński wyrwał się spod niego i stając na nogi dobył broni.

– A cóż to, panie bracie? Na własnych żołnierzy waść broń wyciąga? – Pilecki ze zdziwieniem przechylił głowę.

– Nie jesteście już moimi żołnierzami i nie mi służycie! – krzyknął Wroński, kierując ostrze w jego stronę.

– Więc komu?

– Bóg was przeklął i diabłuście wasze szable oddali!

– Więc taki waść sąd masz o tych, którzy oddali za ciebie życie? Którzy pod rozkazami twojemi swą duszę na zatracenie powiedli? – Pilecki zaczął powoli iść w jego kierunku. – A co z tobą, rotmistrzu? Czy i ciebie Bóg nie przeklął? Czy ty też nie czujesz tego głodu? Jesteś jednym z nas!

Jakub zaatakował. Wymierzone w lic uderzenie minęło cel o szerokość dłoni. Porucznik uchylił się i ustawił do cięcia. Jednak zanim zdążył wymierzyć, Jakub bił błyskawicznie z nadgarstka. Świst husarskiej szabli zagłuszył szcęk żelaza. Pilecki zbił uderzenie ruchem tak szybkim, że Wrońskiemu wydawało się, że ktoś trzeci włączył się do pojedynku.

Impet ciosu był mocny. Pod jego naporem rotmistrz musiał wycofać się w stronę stołu. Następując na przewrócone krzesło stracił na moment równowagę. Ta chwila wystarczyła, by porucznik pchnął go, przewracając na blat. Zanim Jakub zdążył się podnieść, Pilecki przycisnął go ciężarem swojego ciała.

– Myślisz, że jesteś od nas lepszy? – wycharczał tuż nad jego głową. Z jego ust sączyła się stróżka zatechłej śliny, ściekając Wrońskiemu na szyję. – Dlaczego wypierasz się tego, kim jesteś? Dlaczego nie chcesz z nami zostać?

– Nie jestem jednym z was! – Jakub spróbował się wyrwać, ale Pilecki był silniejszy.

– Nie jesteś, waść? – Porucznik przybrał wyraz teatralnego zdziwienia. – Ale byleś! Byleś, kiedy prowadziłeś nas na potępienie. Byleś, kiedy szliśmy dobywać Moskwy, gotowi oddać życie i tracąc własne dusze!

Jakub spojrział na twarze siedzących przy stole szlachciców. Dostrzegł teraz wrzody pokrywające ich bladą skórę. Nie przestając jeść wpatrywali się w niego zeszkłonymi oczami. Spomiędzy ich sinych warg spływały strużki krwi.

– To przez ciebie staliśmy się tym, kim jesteśmy – krzyknął Pilecki. – To ty nas powiodłeś na Kreml! Pamiętasz Kreml, rotmistrzu? Pamiętasz to miejsce, gdzie ojciec zjadał syna, syn ojca, a za dwie myszy można było kupić ludzką głowę? Mówisz, że nie jesteś jednym z nas. Zapomniałeś już, waść, jak z głodu razem ze mną żeś kremlowskie groby kopał, by żreć martwych moskwiczinów? Jak rozporządzałeś ciałami poległych i straconych mówiąc, który z nas zeżreć może nogę, który rękę, a który wycinki z piersi? – Pilecki chwycił ze stołu kawałek mięsa. – Mówisz, że jesteśmy przekleci. Jesteśmy! Ale z twojej winy i ty jesteś przeklęty razem z nami! – Przykładając mięso do ust Wrońskiego krzyczał: – Jedz! Jesteś jednym z nas! Nie uda ci się uciec przed kłatwą!

Wroński opierając się o blat pchnął nogami Pileckiego. Gdy tamten usiłował odzyskać równowagę, wyprowadził cięcie szerokim wymachem. Jednak jego cios nie doszedł celu. Jakub poczuł przeszywający ból z głębi trzewi. Upuszczając szablę padł na podłogę.

Palące fale, jakie rozchodziły się w jego wnętrzu, sprawiały, że nie mógł się poruszyć. Miał uczucie, jakby ktoś rozrywał go od środka. Łzy sączące się z jego lewego oka ograniczały pole widzenia. Usłyszał nad sobą śmiech porucznika.

Pilecki stał kilka kroków od niego, wpatrując się w jego brzuch. Gdy Wroński przeniósł wzrok w to miejsce, z przerażeniem dostrzegł dwie

dłonie usiłujące przebić się przez materiał żupana. Po chwili pomiędzy nimi pojawił się kontur twarzy.

– Mości Wroński! – Głos był stłumiony i pełen młaśnieć. Dobiegał spod materiału. – Mości Wroński, jakim prawem mnie zjadłeś?! – Spomiędzy rozerwanej szaty wychyliła się pokryta żołądkową treścią głowa. Mrugając posklejanymi powiekami zwróciła się w stronę Jakuba. – Przecież nie byłem z twojej chorągwi! – Jeszcze nim głowa skończyła mówić z jej ust wychyliła się ręka. Grzebiąc przez chwilę w oczodole odsłoniła parę zsiniałych warg.

– Nie masz racji, ojcze! – rozległy się słowa z oczodołu. – Słusznie cię rotmistrz Wroński dla siebie i swojej chorągwi pozyskał, boś wpieryw zjadł mnie, a ja jego żołnierzem byłem. I nie było ci mnie bliżej zjadać, niżli rotmistrzowi, bo przede wszystkim ojczyźnie służymy, a potem rodzinie.

Po chwili, tuż obok pierwszej wychyliła się kolejna głowa przerywając klóącym się.

– Obojeście w błędzie! Ciebie, panie Michale, w całości należało ojcu oddać, gdyż to jego zwierzchność była ważniejsza. Natomiast ojca powinno się do pana Samuela zanieść, gdyż pod jego rozkazy przeszedł po tym, jak jego rota została rozbita. A moje ciało natomiast mojemu bratu było bliżej jeść, gdyż i stopniem i pokrewieństwem nad Wrońskim górował. Widać więc, że rotmistrz Wroński wszystkich nas wbrew prawu spożył.

– Więc jakim prawem? – wykrzyknęła pierwsza głowa. – Jakim prawem mnie zjadłeś?

Wroński zerwał się ze snu. Na swoich plecach przykrytych do tej pory czarną delią poczuł podmuch październikowego wiatru. Drżąc z zimna sięgnął dłonią do swojego lewego oka. Znalazł tam tylko pustą, zabliznioną dziurę. Teraz mógł być pewien, że nie śni.

Ostry ból w płucach zmusił go do kaszlu. Łapiąc oddech splunął krwią i otarł usta wierzchem dłoni.

Przyglądający się mu Lipek wyciągnął w jego stronę antalek z miodem. Jakub chwycił go i upił pospiesznie kilka łyków. Czuł, że słabnie. W oczach Tatara patrzących smutno z pokrytej bliznami twarzy dostrzegł, że i on to zauważa. Lekarstwo, którego szukał, było jego jedynym ratunkiem. Upiory z jego snu miały rację. Wkrótce klątwa dopadnie i jego.

– Siodłaj konie, Kudej. – Wroński wstał i spał zaponę swojej delii. – Musimy ruszać.

II

– Uważaj, bo zleci! – Hrach stapał ostrożnie po wąskich stopniach. Trzymane przez niego ciało wyślizgiwało się z rąk. Zwłoki ważyły więcej, niż im się wydawało. Stawiając z uwagą kolejne kroki zachodzili w głowę, jak taki chudy człowiek może być tak ciężki.

– Nie puszczaj go, nie puszczaj! – Hrach w ostatniej chwili złapał równowagę. Stojąc u szczytu schodów patrzył, jak wątle truchło szlachcica toczy się po nich z loskotem. – By cię Żyd w kołnierzu nosił! – Spojrzał z wyrzutem na brata.

– Bym go nie puścił, to obaj byśmy spadli – bronił się Grinkor.

– Żeby ci leb nie spadł! Kto by pomyślał, że nas jedna matka rodziła! – Hrach ruszył w dół schodów. – Weź pochodnię. Teraz masz już ręce wolne.

Zeszli do piwnicy. Pomieszczenie było brudne, pełne skrzynek i beczek. W jednym kącie, wśród potłuczonych butli, leżała siekiera i kilka narzędzi. Ściany pokrywały ślady wilgoci.

– Dobrze, że w gospodzie nikt dziś nie śpi. Po takim rabaniu pewnie kolejnego gościa byśmy musieli katrupić. – Hrach podszedł do martwego szlachcica. Grinkor stanął za nim oświetlając ciało.

Zwłoki były nagie. Spadając ze schodów ułożyły się w groteskowym, nienaturalnym kształcie. Wykręcona w tył głowa patrzyła tępo szklistymi oczami.

Bracia spojrzeli na siebie. Obaj byli rośli i nabici tłuszczem. Starszy o kilka lat Hrach niższy był od Grinkora prawie o głowę. Po ich pokrytych ciemną brodą gębach można było poznać, że dzierzawa niszczącej karczmy nie była ich głównym źródłem utrzymania.

– Dzisiaj nic już z nim nie zrobimy. Zaraz będzie świtać. – Hrach pochylił się wkładając ręce pod pachy zabitego. – Walniemy go pod te wory. Resztę sprawimy nazajutrz.

Grinkor zawiesił pochodnię na ścianie i podszedł do zwłok. Gdy już miał je złapać, odskoczył z przerażeniem.

– Poruszył się! – wykrzyczał.

– Głupiś! Łapaj go albo ja ci wszystkie kości poruszę!

– Mówię ci, że się poruszył! – Grinkor przylgnął plecami do ściany.

– Popatrz na niego! – Hrach wypuścił ciało. Upadło z głuchym tąpnięciem. – Jest martwy bardziej niżli śmierć w Zaduszki.

– Przecież to czarnoksiężnik! Takiego to nie łatwo ukatrupić.

– Czarnoksiężnik, nie czarnoksiężnik. Jak dobrze przez leb uderzyć, to i samego czarta byś ukatrupił. Łapaj go, mówię, bo i nas tutaj śmierć zastanie!

– Musimy mu wpierv ten leb uciąć. – Grinkor ruszył w stronę siekiery. – Od razu powinniśmy tak zrobić. Już tam, na górze, jak się go otruć nie dało.

– Nic nie będziemy ucinać! Już prawie świta. Złap go mówię... – Hrach urwał. Zdawało mu się, że dostrzegł coś na zakrwawionej twarzy szlachcica. Coś, czego z pewnością nie powinien na niej zobaczyć. Pochylając się nad ciałem słyszał bicie własnego serca. – A bodaj by tobą Żyd brodę czesał! – Hrach odskoczył przewracając się na plecy.

Martwy szlachcic mrugał oczami. Lewa powieka sklejona wyschniętą krwią otwierała się tylko w połowie.

Zafascynowany tym widowiskiem Hrach przez chwilę przestał się bać. Dokładnie do momentu, w którym chłodna dłoń trupa zacisnęła się na jego nodze.

– Grinkor! – Hrach krzyknął w stronę brata. Ten chwycił zabrudzoną siekiere. Wyrzucona w powietrze broń upadła tuż obok szynkarza.

– Czarnoksiężnik, psia jego mać! – Hrach złapał pękate stylisko. – Na następny raz dwa razy się zastanowię, zanim któremuś z nich złoto zechcę odebrać!

Przybrudzone ostrze wbiło się z młaśnięciem w szlachecką głowę.

III

Wroński ostrożnie położył palec wisielca na środku wyrysowanego w ziemi kręgu. Klęcząc nad skomplikowanymi symbolami przykładał wagę do każdego ruchu.

Znajdowali się na rozstaju dróg. Chłopi z okolicznych wiosek nie postawili tutaj kapliczki ani krzyża, przez co w powolnych zawirowaniach powietrza można było wyczuć nieokreśloną obecność czegoś pozaludzkiego. Nawet najmniejszy błąd popełniony w tym miejscu mógł przynieść katastrofalne skutki.

Rozsypując starte liście suszonej jemioly Jakub wypowiedział magiczną formułę.

Kudeja nie zaskakiwały już dziwactwa jego pana. Przez lata służby zdołał do nich przywyknąć. Zresztą sam musiał przyznać, że stracili trop zupełnie. Jeśli to miało pomóc im odnaleźć go znowu, warto było spróbować. Wołał jednak pozostać w pewnej odległości. Cokolwiek miało się wydarzyć, nie zamierzał brać w tym udziału.

Smagający ich do tej pory wiatr zelżał, po czym ustał zupełnie. Trzymane przez Tatarów konie zaczęły niespokojnie bić kopytami po wilgotnym trakcie. Ścisnąc mocniej lejce Kudej czuł, jak powoli udziela mu się bijący od wierzchowców niepokój. Ciszka, jaka rozlegała się dookoła, wzbudziła w nim lęk. Patrząc na posępną, milczącą sylwetkę swojego pana zastanawiał się, jak mógł trafić do takiej służby. Rzadko bał się o swoje życie. Ale jeśli to się zdarzało, to właśnie w takich momentach. Kudej wiedział, że jeśli kiedyś umrze służąc u Wrońskiego, to umrze ze strachu.

Znad lasu wzbil się podmuch wiatru tak silny, że Wroński musiał przytrzymać swój zdobny czaplim piórem kołpak. Zeschły trupi palec zaczął obracać się miarowo. Jego ruch przybierał na sile, a gęstniejące powietrze stawało się niemal widoczne.

Kudej zsunął niżej swoją baranią czapę. Mógłby przysiąc, że w fantazyjnie płaczących się wstęgach wiatru dostrzegł ludzkie twarze.

Narastający szum świdrował ich uszy. Zmieniając wysokość i natężenie niesiony podmuchami dźwięk stopniowo zaczynał przypominać ludzką mowę. W szalejącym wicherze jedno słowo stawało się coraz bardziej wyraźne.

Śmierć.

Wierząc konie o mało nie wyrwały się Kudejowi z rąk. Próbując nad nimi zapanować Lipek walczył jednocześnie z własnym strachem.

Zanim wszystko ucichło uchwycili wśród rozszalałego wiatru wyraźne zdanie – pogoń przyniesie śmierć.

Kiedy Tatar myślał, że to już koniec, usłyszał, że jego pan z kimś rozmawia. Chociaż wzbierała w nim ciekawość, nie odwrócił się w jego stronę.

– To znowu ty? – Głos Wrońskiego był spokojny. Nie było w nim oznak zaskoczenia.

– Tak, to on. – Mały stwór spojrział na wciąż obracający się palec. – Chyba im nie wierzysz? – spytał.

– W co?

– W twoją śmierć.

– Nie, nie wierzę.

– To dobrze. – Pokraczny przybysz zaczął błądzić dłonią po wyrysowanych w ziemi symbolach. Wroński przyjrzał się mu. Do tej pory nie widział go w świetle dnia.

Jego wysokie na nieco ponad łokieć ciało pokrywała pomarszczona, szara skóra. Chude ręce, prawie tej samej co nogi długości, nadawały jego

zgarbionej sylwetce groteskowy wygląd. Z lysej czaszki wyrastała para niewielkich rogów.

Stwór chwycił wirujący palec.

– Nie wskazałby ci drogi – powiedział. – Tylko Kołtun ją zna. – Jego głos był skrzekliwy. Gdy mówił, wciąż pociągał nosem, jakby węsząc.

– Dlaczego miałbym ci uwierzyć?

– Bo nie masz wyboru. – Kołtun obwąchał trupi palec, po czym wbił żółtkle zęby w zeschnięte mięso. Jego pozbawione warg usta zamykały się na nim z obślizgłym mlaskiem. – Nie pytaj zmarłych, gdzie iść. Zmarli boją się wiedzieć. Musisz pytać Kołtuna.

– Przecież służysz Balińskiemu...

– Kołtun nie służy nikomu! – Stwór wyprostował się wypinając zapadłą pierś. – Już nie! – dodał.

Wroński wiedział, że nie może mu ufać. Był pewien, że proponując mu pomoc, stwór chce go oszukać. Jednak ciekawość brała nad nim górę. Nie mógł oprzeć się pokusie, by nie dowiedzieć się, czego to stworzenie od niego chciało.

– Kołtun pomoże Wrońskiemu, bo tylko Wroński może uwolnić Kołtuna – powiedziała istota, jakby czytając jego myśli.

– Uwolnić?

– Tak. Baliński stworzył Kołtuna i Kołtun musi mu służyć. Ale już dosyć!

– Więc dlaczego po prostu nie wrócisz do piekła?

Kołtun spojrzał na Wrońskiego jakby ten mówił w innym języku.

– Do piekła? – zapytał zdziwiony. – Kołtun nigdy nie był w piekle. Kołtun jest wychowawcą Balińskiego. Wroński wie, co to wychowaniec?

– Wiem. – Jakub przyjrzał się pokracznej istocie. – Więc to tak Baliński cię tutaj przywołał? – spytał po chwili.

– Tak. Pan Baliński na wiosnę dziewięć dni jajko pod lewą pachą nosił, żeby po dziewięciu dniach Kołtuna w nim znaleźć. Teraz Kołtun służy Balińskiemu. Musi. Musi aż do jego śmierci. Ale Baliński nie chce umrzeć!

Wrońskiemu nie udało ukryć się zaciekawienia, jakie zarysowało się na jego twarzy. Kołtun dostrzegł to z uśmiechem.

– Tak, tego jesteś szczególnie ciekaw. – Stwór zbliżył do niego swoją głowę. – Kołtun może pomóc Wrońskiemu, bo wie, dlaczego Wroński ściga Balińskiego.

Jakub nic nie powiedział. Wpatrywał się w oczy piekielnej istoty usiłując dociec, na czym polega jej podstęp.

– Wroński chce lekarstwa, które Balińskiemu pozwala już sto lat z okładem przy życiu pozostać. Chce uleczyć nim swą duszę. Myśli, że jest przeklęta. – Kołtun zaśmiał się. – Dlaczego twoja dusza jest przeklęta? Bo czujesz głód, który tylko ludzkim mięsem możesz zaspokoić? Bo gdy ludzkiego mięsa nie jesz, twoje ciało słabnie i obumiera, a śmierć ci po piętach depta, aż w końcu, nie wiedzieć kiedy, złapie za kołnierz i zdejmie z tego świata? – Kołtun patrzył Wrońskiemu w oczy rozkoszując się narastającym w szlachcicu gniewem. – Więc dlaczego ludzkiego mięsa nie jesz? To jest dla ciebie najlepsze lekarstwo!

– Nie tobie się tym turbować – wysyczał Wroński z trudem panując nad sobą. – Mów, co wiesz albo zejź mi z oczu!

– Nie trzeba się niepokoić. – Kołtun zmienił ton. – Lekarstwo Balińskiego pomoże Wrońskiemu. Nie będzie już czuł głodu. Znów będzie miał silne ciało. – Stwór zgarbił się. Przebijając palcami kontynuował: – Kołtun pomoże Wrońskiemu. Wroński musi tylko zabić Balińskiego.

– Dlaczego sam tego nie zrobisz?

– Kołtun nie może! – Stwór oburzył się. – Sam nie da rady. Więc Kołtun czeka. Ale to już ponad sto lat! – Kołtun spuścił z przygnębieniem głowę. Wyraz smutku, jaki zarysował się na jego twarzy, był niepokojąco obcy. Kiedy uniósł na Wrońskiego swoje oczy, wyglądał tak, jakby miał się rozplakać.

– Wroński wie, co może robić wychowaniec, kiedy stanie się wolnym?

Wroński nie odpowiedział.

– Może robić wszystko! – Kołtun znów wyprostował się w postawie pełnej dumy. – I Kołtun już wie, co będzie robił. Zostanie pokusnikiem! Kołtun będzie pokusnikiem i zamieszka w samotnej wierzbie. Ludzie będą mówić – w starej wierzbie Dytko mieszka! Nazwą go wierzbickim, a nie, jak pan Baliński, Kołtunem.

– Dlaczego Baliński cię tak nazywa?

– Bo kołtun, jeśli trzeba, może komu kołtuna zadać. A kiedy się wykluwał, to od razu Balińskiego spytał, czy by sobie tego dla kogo nie życzył. A jak wychowaniec raz imię dostanie, to dopóki swemu panu służy nie może go zmienić, chyba, że pan zechce inaczej. Ale Kołtun już wie, jak się będzie nazywał, kiedy wolnym się stanie.

– Jak? – spytał Wroński przez grzeczność.

Kołtun, opierając pięści na biodrach, stanął na szeroko rozstawionych nogach i zadarł do góry głowę.

– Mefistel! – powiedział.

Przez chwilę napawał się dźwiękiem tego imienia, po czym spojrzal na Wrońskiego.

– Ty jesteś szlachcic polski. Ty rozumiesz, co to wolność. Pomóż Kołtunowi być wolnym, a Kołtun się odwdzięczy – zaproponował.

Jakub milczał. Na jego twarzy nie było znać żadnych emocji. Czuł, że stojąca przy nim istota drży ze zniecierpliwienia.

– Więc gdzie jest Baliński? – zapytał po chwili.

Kołtun uśmiechnął się. Ze wzrokiem wciąż wbitym we Wrońskiego zacierał swoje przydługie dłonie.

IV

– Piach! – Hrach kopnął otwartą skrzynię. Po podłodze rozsypały się drobne, złote ziarna. – Niech mu pies mać chędoży, piach!

Wiedźma wybuchnęła śmiechem. Ślina na jej obnażonych, bezzębnych dziąsłach mieniła się w refleksach słonecznego światła. Wiercąc się na trzeszczącym stolku z zadowoleniem oglądała, jak zrozpaczony Hrach chodzi po pokoju, łapiąc się za głowę.

– To po toś mnie tu wołał? – spytała z chichotem. – Żeby ci z czarodziejskich skrzyń piach wyciągać?

– To było złoto! – Hrach przewrócił ze złością stół. Leżące na blacie papiery zafurkotały w powietrzu. – Sam widziałem! Miał skrzynię pełną złota!

Stara znów się roześmiała. Oberżysta, nie zwracając na nią uwagi, rzucił się do wyspanego słomą posłania.

– Może to nie ta skrzynia? – Jął rozgrzebywać słomę i brudne kocy. – Może trzeba jej poszukać?

Chodząc po izbie zaglądał w każdy zakamarek. Światło rozbite przez mętne błony okien sprawiało, że wytrzeszczał swoje oczy za każdym razem, kiedy musiał zajrzeć w ciemniejsze kąty. Po dwa razy sprawdził pod stołem, pod ławą, pod posłaniem, w rozpadającym się kufrze. W pokoju nie było niczego poza kilkoma, nieuporządkowanymi jeszcze, rzeczami szlachcica.

Stojący przy ścianie Grinkor robił wszystko, by nie zwracać na siebie uwagi brata.

– To właściwa skrzynia. – Wiedźma nie tłumila śmiechu, kiedy zobaczyła wyraz twarzy szynkarza. – Lepiej sprawdź też swoje sakwy, w których masz monety, jakimi ci płacił.

Hrach popatrzył na nią zdziwiony.

– Dlaczego? – zapytał.

– Nie słyszałeś nigdy o czarowskim złocie?

– O czym?

– O tym, że czarownicy mogą sprawić, by piach i także niektóre metale były przez głupców takich jak ty brane za złoto. Nie odróżnisz wtedy jednego od drugiego, chyba, że się sam na czarach znasz. A ty się nie znasz, Hrach, z pewnością się nie znasz.

– O, psie juchy! – Oberżysta kopnął przewrócony stół. – Ale dlaczego teraz znów się to w piach zmieniło?

– Czar trwa tylko, kiedy czarownik jest w pobliżu. Albo dopóki jest żywy.

– By go diabli w piekle szarpali! – zaklął Hrach. – Tyle mojego, żem go przynajmniej ubił.

– Tak, tyle twojego. A teraz powiedz, co dla mnie? – Czarownica wbiła swój wzrok w rosłego szynkarza. Na jej twarzy nie było już uśmiechu.

– Jak to, co dla ciebie? – Hrach był zdumiony. Widząc jej zimne oczy wzdrygnął się na całym ciele.

– Obiecaliście mi nagrodę, kiedy czar z zamka zdejmę. – Ton jej głosu zatrzymał im krew w żyłach. – I musicie wiedzieć, że baba tak leciwa jak ja, nie po to stare kości z domu rusza, żeby ją byle chlystki mogły na siano rozłożyć i wydmuchać! – Wstając podeszła w stronę Hrachy. – Ja się nie dam wydmuchać! Zapłacicie mi albo będziecie jutrzejszy dzień w kozłej skórce witać.

– Ale my nic nie mamy! – Hrach usiłował się bronić.

– Macie, tylko jesteście za głupi, żeby to spostrzec. – Stara schylając się z trudem poczęła zbierać rozsypane pergaminy. – Wezmę te papiery i wszystkie jego księgi – powiedziała, kiedy skończyła. – Wam to potrzebne jak psu szabla, a mnie się przyda.

Hrach odetchnął z ulgą. Spojrzał na brata z zadowoleniem.

– Nie macie się z czego cieszyć – przerwała im chwile radości. – Macie tu większy kłopot niż piach w miejsce złota.

Bracia spojrzeli na nią zdziwieni.

– Co tak oczy wybaluszacie, jakby wam kto w rzyć miechem dmuchał? Napytaliście wy sobie biedy, oj, napytaliście.

– O czym ty mówisz? – Grinkor był cały roztrzęsiony.

– O czarowniku, coście go tu usiekali.

– Nie żyje. Nikt o tym nie wie. Gdzie tu kłopoty? – zapytał Hrach spokojnie.

– Myślicie, że czarownika ubić, to tak przez leb i skończone?

– I czarta można tak ubić.

– Jajca sobie tak ubij. – Stara poczęła się śmiać. – Taki gałgan jak ty może tylko ciało czarownika zabić, nie jego duszę. A dusza takiego zawsze się przy ciele kręci i je przywrócić do życia próbuje.

– Mówilem, że trzeba go pociąć! Pociąć i spalić – wykrzyczał Grinkor histerycznie.

– To nie wystarczy – przerwała mu stara. – Może i na jakiegoś gołowąsa, co się pierwszych czarów przyucza byłoby to dobre, ale nie na niego. – Wiedźma obrzuciła obu braci spojrzeniem. – Wiecie, kogoście tutaj ubili? – spytała po chwili nieznośnego milczenia.

Karczmarze nie odpowiedzieli. Czując, że bledną, starali się odgadnąć, w jak straszną kabałę przyszło im się wplątać tym razem.

– Poznaję te gryzmoły i te pieczęci – pokazała im trzymane w ręce papiery. – To pismo niesławnego Balińskiego, nadwornego lekarza samego króla Aleksandra.

Hrach spojrział na nią z pobłażaniem.

– Naszego czcigodnego króla jako Zygmunta chrzcili – powiedział. – Może i na czarach się nie znamy, ale jako handlarze pewne rzeczy wiedzieć musimy.

– Tak, znasz ty króla Zygmunta, bo ich już nie mniej niż trzech rządziło. Ale Aleksandra nie znasz, a wiesz dlaczego?

Hrach popatrzył pytająco.

– Bo to już ponad sto lat będzie, jak skończył panowanie.

Starszy z braci odzyskał nieco pewności siebie.

– Więc ten, com go usiekał nie mógł być twoim Balińskim – stwierdził. – Tamten szlachcic nie mniej niż czterdzieści wiosen liczył.

– Mógł być i był – powiedziała stara z przekonaniem. – Baliński to czarnoksiężnik i szarlatan i przeróżne rzeczy potrafi robić. Raz się parał alchemią, raz leczeniem. Raz był Polakiem, a raz Grekiem. Ale ludzie musieli mu wierzyć. Inaczej nie kosztowałyby tak dużo jego usługi. A powiadają, że za leczenie nie mniej niż sto czerwońców brał, aż go wszystkie krakowskie cyruliki Setnikiem z zazdrości przewali. – Wiedźma zwilżyła językiem blade wargi. Chodząc po pokoju kontynuowała: – Jego sława do samego królewskiego dworu dotrzeć musiała, bo gdy król zaniemógł, posłano po Balińskiego. Ale Baliński inne plany miał co do króla. Miał go leczyć krew

mu tylko puszczał i kadzić nakazał, aż dobry władca zszedł z tego świata. – obróciła głowę w stronę Hrach. – A wiesz, dlaczego po Balińskim nie znać było wieku?

Hrach pokręcił przecząco głową.

– Bo po to nakazał królowi krew puszczać, by potem móc z tej krwi elyksyr warzyć.

– Jaki elyksyr? – zapytał Grinkor zdziwiony.

– Z królewskiej krwi można napar sporządzić – tłumaczyła stara – który śmierć od zażywającego go odsunąć potrafi. Dziwnym losu zrządzeniem na samych króli on tylko nie działa.

– A skąd ty o tym wiesz? – spytał Hrach napastliwie.

– A coś ty myślał? – oburzyła się czarownica. – Że ja, stara, w lesie tylko siedzę i kozły doję? Że na Łysej Górze więdźmy jedyne co robią, to lojem się smarują i rzyć dla czarta trzymają wypiętą? – Wyprostowała się dumnie. – Bywają na sabatach osobistości, które na tą waszą psią budę nawet splunąć by nie miały ochoty. Możem i ja się nie kształciła w Krakowie, ale Łysa Góra to też uniwersytet i nie wiem czy nie lepszy. Spotkałam ja tam Balińskiego i wiem, że człek to uparty i pewnie się wam jeszcze we znaki da, nawet po śmierci.

– Więc co możemy zrobić? – spytał Hrach mniej pewnie.

– Duszy już mu nie zniszczycie. Musicie tylko sprawić, żeby nie mogła tu wrócić. – Stara sięgnęła za pazuchę wyjmując małą buteleczkę. – Weźcie to, tylko pamiętajcie – ostrożnie się z tym trzeba obchodzić.

Bracia spojrzeli z lękiem na glinianą fiolkę.

– To sroga trucizna, specjalnie na czarowników przygotowana. Z czarnej sierści się ją robi i do węgrzyna leje. W węgrzynie nie sposób jej poznać, bo nadaje ona winu niespotykanej głębi smaku. – Podala buteleczkę Hrachowi. – Dobrzem ja przeczuwała, co się tu u was święci, kiedyście do mnie przyszli. Dlatego zabrałam ją ze sobą.

– I tym będziemy mogli tego Balińskiego dobić?

– Głupiś, Grinkor. Już na to za późno. Ale za Balińskim mogą inni tutaj przyjechać. Wtedy od razu im z węgrzynem to podać i będziecie mieli spokój. A czarownicy lasi na węgrzyna ogromnie.

– Ale co z Balińskim – spytał Grinkor z narastającą desperacją.

– Jego dusza się przy ciele kręci. Musicie więc z ciałem takie rzeczy uczynić, żeby do niego wrócić nie mogła.

– Więc spalić? – Hrach pytająco uniósł brew.

- Nie. To nie wystarczy.
- Więc co jeszcze można zrobić?
- Coś wymyślicie, Hrach, coś wymyślicie.

V

Wroński poczuł zapach pieczonego mięsa. Jego żołądkiem wstrząsnął atak głodu. Nie był to jednak zwykły głód. Wroński znalazł już to uczucie. Znalazł je od czasów oblężenia Kremla.

Woń, jaka dobiegała do jego nozdrzy, miała w sobie jakiś niezrozumiały powab. Coś, co sprawiało, że pragnienie z samego środka jego trzewi domagało się odnaleźć jej źródło.

Kudej spojrzał na swojego pana. Widział, jak ten blednie. Widział, jak z coraz większym trudem łapie oddech.

Wroński zacisnął zęby. Z jego brzucha rozchodziły się fale bólu, które czuł na całym ciele. Powstrzymując drżenie rąk ruszył w kierunku widocznej na horyzoncie gospody.

To miejsce wskazał mu Koltun.

Karczma była rozsypaną się rudera. Po zasypanej słomą podłodze laziły kury i gęsi. Omijając ławy i sypiące się stoły spoglądały dookoła, jakby czegoś szukając. Przy rozpalonym na kominie ogniu siedział wyleniały pies. Liżąc się z zapamiętaniem między tylnymi łapami wydawał ciche jęki i mlaśnięcia.

W niewielkim alkierzu siedziało pięciu szlachciców. Ich zaczerwienione gęby zwieszały się nad kuflami piwa. Trunek wyglądał tak, że ktoś obeznany ze sposobem funkcjonowania nerek mógłby mieć opory przed jego wypiciem. Czyniąc nieprzeciętny rejwach kompania obrzucała wyzwiskami bogato ubranego chłopca, który siedział w głównej izbie.

Stojący za szynkwasem oberżysta spojrzał na wchodzących. Posepny, jednooki szlachcic i towarzyszący mu Lipek z twarzą pokrytą bliznami byli ostatnimi osobami, jakich by sobie tu życzył. Kiedy przybysze zajęli miejsca dwa stoły od chłopca, Hrach ucieszył się, że nie skierowali się do alkierza. Karczemna awantura była najmniej potrzebną mu teraz rzeczą.

– Waszmościowie, ze mnie prosty chłop. Do wszystkiego ciężką pracą doszedłem – próbował bronić się Pęcien.

– Ha! Ciężką pracą! – Gruby szlachcic, grzebiąc palcem w zębie, spojrzał na niego z pogardą. – Praca to twój obowiązek, chamiel! – Nie mogąc znieść bogactwa jego stroju odwrócił wzrok. Z przekleństwem zacisnął rękę na

glinianym kuflu i upił lyk, krzywiąc gębę. Nie można było poznać, czy to na smak piwa, czy przez chłopa. Ubrany w dobry kozuch Pęcien wywoływał w nim napady złości. Kiedy patrzył na jego dumną postawę, miał ochotę plazować jego szeroki grzbiet. Jednak najwięcej nerwów kosztowało go to, że chłop miał na głowie szlachecki kołpak!

– Nie tobie stroić się i błyszczeć! – wykrzyczał w jego stronę. – Ora et labora – to jedyne przykazanie dla ciebie.

Szlachcic znów sięgnął po kufel. Pozostali dzieląc jego oburzenie potakiwali mu skinieniem głowy.

Pęcien jadł pospiesznie, chcąc jak najszybciej stąd pójść. Starał się odzywać jak najmniej, wiedząc, że każde jego słowo tylko pogarsza sytuację.

– Nie z zazdrości cię tutaj pouczam – podjął na powrót gruby szlachcic. – Zajac nie staje się niedźwiedziem, kiedy niedźwiedzie futro założy. Wciąż jest zajacem i wciąż ma zajęcze serce. Jedyne, co mu z tego przychodzi, to to, że się na śmieszność wystawia. Ale ty – wymierzył w niego grubym palcem – ty swoim postępowaniem przeciwko prawu boskiemu występujesz!

– Panie, jakże to? – Pęcien poderwał się z miejsca.

– Tak, chamiel! – odpowiedział mu gruby ucieszony jego popłochem. – Nie po to cię Bóg chłopem stworzył, żebyś szlachcica udawał! Ale naszych oczu nie zmylisz! I my patrzeć na to spokojnie nie będziemy! – Skinął na swoich towarzyszy. – Dawajcie go, do naga i do gnoju! Niech zna swoje miejsce!

Dwóch chudych swawolników wstało i ruszyło w jego stronę. Wyglądali jak obwiązane żyłami tyczki. Ich długie, tłuste wąsy kleiły się do policzków.

Pęcien padł przed nimi na podłogę i jął błagać o litość. Głusi na jego prośby oprawcy chwycili go pod boki i zaczęli podnosić. Chłop wyrwał się im i w akcie desperacji skoczył do stóp Wrońskiego.

– Panie, łaskawco, wyratuj mnie, bezbronego! – Skamłając o pomoc całował jego pokryte błotem, kurdybanowe buty.

Jakub nie zwracał na niego uwagi. Zajadał się przyniesionym przez karczmarza mięsem głuchy na wszystko, co się działo dookoła. Siedzący obok niego Kudej dostrzegł w jego oczach błysk, który zmroził mu serce. Spoglądając na swój talerz z kaszą i na danie swego pana zastanawiał się, co może być takiego wyjątkowego w tej pieczeni, że jego pan oddaje się jej z taką pasją.

Swawolnicy chwycili Pęciena pod pachy i odciągnęli w inną część sali. Spoglądając na Wrońskiego, na jego zasępioną, jednooką twarz, na jego

husarską szablę w czarnej, pozbawionej zdobień pochwie, nie chcieli, by chłop niepokoił go ponownie.

Pęcien, pchnięty w stronę komina, robił wszystko, by nie wpaść do ognia. Kiedy upadł na podłogę rozsypując podane psu kości, zwierzę nawet na niego nie spojrzalo. Z głową wciąż pomiędzy tylnymi łapami oddawało się własnym sprawom.

Kiedy kości znalazły się w obrębie wzroku Wrońskiego, ten zdążył wziąć jeszcze spory kęs zanim kielkująca na ten widok myśl zdążyła ostatecznie wykwitnąć w jego głowie. Przegryzł jeszcze i przelknął, zanim zdał sobie sprawę z tego, co widzi.

Nagle przypomniał sobie skąd zna smak mięsa, które spożywa.

Leżące na podłodze kości były ludzkie.

Hrach przyglądający się awanturze poczuł nagle szarpnięcie. Nim zdążył przeliczyć, na jakie straty może się zaraz narazić, ktoś wcisnął jego głowę w deski szynkwasu.

– To mięso, które mi podałeś – usłyszał ciężkie słowa Wrońskiego – było ludzkie, prawda?

Hrach chciał zaprzeczyć, powiedzieć coś w swojej obronie, jednak ściskające jego głowę dłonie uniemożliwiały mu to. Poczul, jak z rozdartych o zęby warg zaczyna ściekać stróżka krwi.

– Wczoraj gościłeś szlachcica. – Jakub pochylił się nad nim. Cedził teraz swoje słowa prosto do ucha szynkarza. – Był ranny. Wyglądał na uciekiniera. Może pomyślałeś, że to infamis? A może po prostu postanowiłeś się trochę wzbogacić. Dość, że go zabiłeś. A karczma to świetne miejsce, by pozbyć się zwłok, prawda?

Oberżysta spróbował wykręcić głowę spod uścisku Wrońskiego. Bez skutku.

– Zadam ci jedno pytanie i jeśli mi satysfakcjonująco odpowiesz, daruję ci życie.

Hrach popatrzył na niego z nadzieją.

– Gdzie jest moderunek szlachcica? – Wroński poluźnił trochę swój uścisk. Szynkarz poruszył głową i oblizal usta.

– Niczego nie było – powiedział przelęknięty zmieszana z krwią ślinę. – Tylko piach!

– Co?

– Chama skarcić, słuszna rzecz. – Wroński usłyszał za swoimi plecami słowa jednego ze swawolników. – Jednak wpierw do jego pana ze skargą się zwrócić powinno.

Jakub odwrócił się. Jeden z chudych szlachciców stał tuż za nim. Trzymając dłoń na rękojeści szabli obrzucał go wrogim spojrzeniem. Jego towarzysze wstali, najwyraźniej szykując się do walki.

– Imć Atanazy ma rację. – Gruby szlachcic wyszedł z alkierza. – A tak się składa, że jestem tutaj karbowym i to pod moją zwierzchnością są wszystkie chamy z tej wioski. – Biorąc się pod boki, zmierzył Wrońskiego wzrokiem. – I nie myśl – podjął po chwili – że się tutaj twojej czarnej szabli i tego odmieńca lękać będziemy. Zważ, że ja taką samą u mego boku noszę.

Wroński nie popatrzył w jego stronę. Czuł, jak dziwny żar rozplywa się po jego żyłach. Wzbierała w nim energia tak duża, że możliwość stoczenia pojedynku napawała go radością. Starał się przewidzieć, ile czasu zajmie im dobytec broni i doskoczenie do niego.

Zauważył kontem oka jakiś ruch przy drzwiach prowadzących do stanu. Wydawało mu się, że do izby zajrzał ktoś niebywale podobny do oberżysty. Nim zdążył się nad tym zastanowić, do rozmowy włączył się stojący nad obitym chłopem tyczkowany szlachcic.

– Gdybyś znalazł, waść, pana Macieja, naszego karbowego – powiedział chudy – inaczej byś z nami rozmawiał. Ale widzę, żeś nigdy o nim nie słyszał.

Jakub milczał. Nie zważając na jego obojętny wyraz twarzy, swawolnik kontynuował:

– Ale może to przez to, że panów Maciejów zbyt wielu w Rzeczpospolitej. Jednak nasz karbowy pod innym imieniem jest lepiej znany i o tym, waść, musiałeś usłyszeć. – Tyczkowany szlachcic postąpił krok na przód. – Znasz pewnie historię, jak pana starostę Opleckiego referendarskim cięciem wszelkich marzeń o potomstwie pozbawiono? Wiedz, że to imć Maciej to cięcie wyprowadził, na czego pamiątkę wszyscy od tego czasu Referendarzem go przezywają.

Chudy szlachcic chciał się uśmiechnąć. Chciał dodać mocy swojej groźbie. Jednak grymas, jaki pojawił się na jego twarzy wyglądał tak, jakby pozując do portretu przypominał sobie, że nie założył spodni.

Swawolnicy wiedzieli, że Wroński wykonał ruch, ale zupełnie nie mogli odgadnąć kiedy.

Stojący najbliżej Atanazy również nic nie dostrzegł. Jednak do tego, żeby się nad tym zastanowić, nie miał w tej chwili głowy.

Podgolony leb chudego szlachcica potoczył się po podłodze. Ciało stało jeszcze przez chwilę, po czym runęło z łoskotem.

Wroński przypatrywał się zebrany z szablą w dłoni.

– Waść mówił coś o cięciach – zwrócił się do stojącego przy chłopie awanturnika.

Karbowy dobył broni. Reszta swawolników stanęła w gotowości.

– Bigosować psubrata! – rozkazał im, ruszając w stronę Jakuba.

Kudej wyciągnął szablę i zamierzył się na tyczkowego szlachcica. Jednak zanim zdążył wyprowadzić cios, Wroński przeszył chudzielca uderzeniem w pierś, rozcinając cały jego bok.

Lipek odsunął się. Widząc szal, w jaki wpadł jego pan, musiał uważać, by samemu nie zostać uderzonym. Błysk rozświetlający oczy Wrońskiego przeszywał go lękiem. Wiedział, że w przeciągu ostatnich chwil coś stało się z Jakubem, ale nie mógł odgadnąć co.

Dwóch stojących przy stole szlachciców chwyciło rozpadający się mebel i wyszło z nim z alkierza.

Wroński kopnął w ich kierunku drewnianą ławę, jakby zupełnie nic nie ważyła. Pod jej naporem stół pękł na dwie części. Atakujący, nie tracąc równowagi, dalej szli w jego kierunku. Uderzając płazem zdezorientowanego oberżystę, Jakub przygotował się na przyjęcie ataku.

Kudej zauważył, że do padającego bez przytomności szynkarza podbiega ktoś bliźniaczo do niego podobny. Widząc, że postać trzyma w rękach starą siekiere, ruszył w jej stronę. Nie wiedząc, którego z walczących zechce zaatakować, na wszelki wypadek wymierzył jej uderzenie ręką i szablą, skutecznie obezwładniając.

W tym czasie Maciej szerokim wymachem bił w zastawę Wrońskiego. Ten bez większego wysiłku wytrzymał cios i dał szybką odpowiedź, kierując pióro w lic karbowego.

Gruby szlachcic był szybki. Oslonił się przed ciosem, jednak impet uderzenia zachwiał nim. Gdyby nie nadbiegli jego towarzysze, z pewnością straciłby w tej chwili życie.

Wroński kucając, uchylił się przed częściami stołowego blatu. Te zwarły się z trzaskiem tuż nad jego głową. Wpadając na siebie w pełnym biegu, atakujący Jakuba szlachcice zatoczyli się, tracąc równowagę. Gdy jednemu z nich udało się ją odzyskać, padł uderzony głową Atanazego.

Kudej szybkim kopnięciem wybił mu z ręki dopiero co dobytą szablę. Szykując się do zadania ciosu poczuł uderzenie z lewej strony. Drugi ze szlachciców bił w trok, szczęśliwie trafiając płazem. Lipiek zaciskając zęby

spróbował zwiększyć dzielący ich dystans. Nieprzerwanie słyszał szcęk broni dobiegający z głębi sali.

Stojący nieopodal karbowy, zwany Referendarzem, wymierzał cios za ciosem, sapiąc głośno. Z techniki, jakiej używał, można było poznać, że kiedyś był wybornym fechtmistrzem. Jednak najlepsze lata miał już za sobą. Wroński unikał jego cięć, bądź brał je na zastawę, nawet się nie pocąc. Walka bawiła go ogromnie. Czuł, jak jego mięśnie nabierają dawnej sprawności i chciał używać ich jak najwięcej. Wiedział skąd wzięła się ta moc, ale wypierał tę myśl, w głębi duszy pragnąc, by nie okazało się to prawdą.

Kiedy składał się do lekkiej kontry wyprowadzanej z nadgarstka, uczył, że ktoś chwyta go od tyłu. Powalony przed chwilą kopniętą głową szlachcic uwiesił się na jego szyi.

Karbowy, przekonany o własnym zwycięstwie, wyprowadził silne cięcie nżykiem. Jednak zanim cios doszedł celu, szlachcic padł powalony ciężarem swojego towarzysza.

Wroński chwycił atakującego go z tyłu swawolnika i cisnął nim przed siebie z zadziwiającą łatwością. Gdy obaj przeciwnicy leżeli na ziemi, stanął nad nimi na szeroko rozstawionych nogach. Z jego ust ściekała stróżka krwi. W ustach wciąż miał kawałek mięsa, odgryziony ze ściskającej jeszcze przed chwilą jego szyję ręki.

Kudej i walczący z nim szlachcic zamarli w bezruchu. Jakby zapominając o wszystkim, wpatrywali się we Wrońskiego z narastającym lękiem.

Ugryziony warchoł krzyknął, kiedy Jakub ruszył w jego stronę.

Nie krzyczał z bólu.

Jego krzyk był krzykiem strachu.

VI

Ćmina nie potrafił powiedzieć, co skłoniło go, by pójść do karczmy o tak wczesnej porze. Nie wiedział też, dlaczego nie wybrał oberży we wsi. Jednak teraz, kiedy nie mogąc złapać równowagi ślizgał się na umazanych krwią deskach podłogi, gotowy był zrzucić to wszystko na karb jakiś diabelskich podszeptów.

Łapiąc się pokrytego rdzawymi skrzepami błatu, z trudem powstrzymywał wymioty.

W całej sali bezskutecznie można było szukać choćby skrawka nie-umazanej posoką ściany. Krew, zasychając powoli, jaśniała, nabierając pomarańczowych odcieni.

Pod nogami Ćminy chrzęściły deptane kości. W izbie leżało kilka obgryzionych do naga szkieletów w porozrywanych zupanach. Chłop z przerażeniem spostrzegł, że widoczne na nich ślady zębów są ludzkie. Za kontuarem znalazł szczątki dwóch oberżystów.

Był pewien, że nawet Kozacy nie mogli dokonać takiej sieczki. Z pewnością musiała być to robota upirów. Rozglądając się wokoło dostrzegł ciało, które przeraziło go bardziej, niż wszystko, co do tej pory zobaczył.

Pod ścianą leżały zwłoki Lipka. Nie było na nich żadnych okaleczeń. Nie był nawet ranny. Jednak jego pokryta dawnymi bliznami twarz zastygła w grymasie, na którego widok zatrzymało się chłopskie serce Ćminy.

Tatar wyglądał tak, jakby umarł ze strachu.

Ćmina przeżegnał się. Z przerażeniem przypomniał sobie jeźdźca, którego minął na trakcie. Wspomnienie jego jednookiej twarzy wstrząsnęło całym jego ciałem. Chłop był pewien, że to ten posepny szlachcic był sprawcą tego, co tutaj zobaczył.

Ćmina jął dziękować Bogu, że nie trafił w to miejsce wcześniej. Kiedy skończył modlitwy, ponownie uczynił znak krzyża i rzucił się na podłogę, by przejrzeć zawartość szlacheckich trzosów.

Baliński jechał stępa na koniu Wrońskiego. Daleko za nim majaczyły znikające kontury rozpadającej się karczmy. Chroniąc się przed wiatrem w sobolach delii oglądał swoje dłonie, jakby widział je po raz pierwszy.

– I jak ci się podoba moje nowe ciało, Koltun? – zapytał z zadowoleniem.

– Wspaniale. – Koltun siedząc za pazuchą Balińskiego przyglądał się jego pozbawionej lewego oka twarzy. Zastanawiał się przy tym, gdzie jest Wroński. Nie wiedział, czy jego dusza wciąż została w tym ciele, czy może, mocą Balińskiego, została z niego wypchnięta. Czy mogłaby do niego wrócić? I jeśli tak, to w jaki sposób?

– To nawet zabawne – podjął po chwili Baliński przerywając rozmyślenia Koltuna. – Ten, przez którego musiałem się ukrywać, przez którego musiałem przemieszkować w najpodlejszych gospodach, przez którego o mało nie straciłem w jednej z nich życia, ostatecznie okazał się moim wybawieniem.

Dla Koltuna było fascynujące to, że przez twarz tego pochmurnego szlachcica przemawiał teraz jego pan. Wpatrywał się w niego olśniony, nie zwracając uwagi na sens słów, jakie wypowiadał.

– Cóż za wspaniała ironia losu! – Baliński rozkoszował się zmienionym brzmieniem własnego głosu. – Kiedy ten człowiek ruszył naszym tropem, myślałem, że przyjdzie mi się z nim niemało natrudzić, że uprzykrzy nam życie. Jednak ten szlachcic spadł mi jak z nieba. Gdyby nie on, wiele musiałbym się natrudzić, by na powrót połączyć moje przetrawione szczątki.

Kołtun patrzył, jak obca twarz jego pana milknie zamyślona. Przez chwilę miał ochotę jej dotknąć, by przekonać się, czy jest prawdziwa.

– Wroński był głupcem – podjął po chwili Baliński. – Stracił lata, żeby mnie odnaleźć. Chciał leczyć się królewską krwią. A wystarczyło tylko jeść ludzkie mięso. – Szlachcic zaśmiał się. – Minęło prawie półtorej wieku, odkąd zagarnąłem trochę aleksandrowej krwi. Jak mógł myśleć, że mogło jej starczyć aż do teraz?

Kołtun przyzwyczał się do monologów swojego pana. Podczas ich trwania nie zabierał głosu. Wiedział, że Baliński nie wypowiada ich dla niego. Dumny szlachcic musiał słyszeć swoje słowa, by czuć w pełni płynącą z własnych przemyśleń satysfakcję.

– Dokonałem wielkiego odkrycia, Kołtun. – Baliński spojrzał na niego z góry. – Nauczyłem się nowego sposobu, by żyć jeszcze dłużej.

– To wspaniale, panie. – Słuchacz tak wprawiony jak Kołtun doskonale orientował się, w których chwilach powinien wyrazić uznanie.

– Jesteś go ciekaw?

Stwór spojrzał na Balińskiego pytająco. Szlachcic przybierając mędrczy wyraz twarzy rozpoczął tyradę:

– Znany jest fakt, że jedząc czyjeś ciało możemy przejąć moc tego, do kogo ono należało. Jednak ja posunąłem się krok dalej! – Baliński zadarł dumnie głowę. – Pozwalając się zjeść, zapanowałem nad zjadającym! Oczywiście muszą zajść określone okoliczności... – Jego głos stał się mniej zdecydowany. – Potrzeba lepiej opracować pewne zaklęcia. I prawdopodobnie, gdyby nie klątwa tego lisowczyka, nic by z tego nie wyszło. Jednak mam już podstawy do badań i zamierzam ich wynik opublikować!

– To wspaniale, panie.

– Oczywiście, że wspaniale! Już nawet znam tytuł swojego dzieła – Corpus Nobile, albo jak szlacheckie ciało osiąść.

– Bardzo dobry – pochwalił go Kołtun – ale czy nie sądzisz, panie, że może on sugerować inne treści?

– I świetnie! – Baliński począł się śmiać. – W kręgach hermetycznych takie rzeczy cieszą się wielkim zainteresowaniem!

Ze wzrokiem wbitym w horyzont szlachcic zatopił się w marzeniach. Kiedy wjechali między drzewa, spojrzal na Koltuna.

– A powiedz mi jedną rzecz – zaczął pytać swojego chowańca. – Czy kiedyś miał Wrońskiego mówiąc mu, że już dłużej u mnie służby znieść nie możesz, to czy nie było w tym trochę prawdy?

– Panie, skądże! – obruszył się Koltun. – Koltun jest wierny i swojego pana nie odstąpi, póki po tego śmierć nie przyjdzie.

– To dobrze, Koltun – odrzekł Baliński. – Ale musisz wiedzieć, że ja zamierzam żyć długo.

– Koltun wie i cieszy go to niezmiernie.

– W takim razie skończmy już tę rozmowę. Gardło mam na wiór wyschnięte. Popasamy teraz.

Chowaniec zaczął się wiercić. Po chwili powiedział:

– Koltun ma na taką okoliczność niespodziankę. – Stwór wyjął z jedynie sobie wiadomego miejsca sporą butlę. – To z karczmy. Najlepszy węgrzyn, jaki tam mieli. Podobno jego smak posiada niespotykaną głębię.

– Świetnie, Koltun. – Baliński wziął od niego antalek. – Wiesz jak uwielbiam węgrzyna.

Koltun nie patrzył na niego. Z rozmarzeniem spoglądał na samotną wierzbę, której kontur rysował się na horyzoncie.

– Koltun wie – powiedział nie odwracając wzroku od drzewa. – Koltun wie – powtórzył.

Antoni
Nowakowski
(Roger Redeye, Fort Apache)

Prawnik i politolog, miłośnik i admirator papierosów, cygar, kawy rozpuszczalnej, brandy, whisky i koniaku – w ilościach nieograniczonych. W chwilach wolnych od oddawania się swojej pasji konsumpcyjnej czyta opowiadania Raymonda Chandlera, niekiedy powieści marynistyczne, a także dzieła już przestudiowane, ale rozpoczynane ciągle od nowa – „Wojnę i pokój” Lwa Tolstoja i wszystkie książki Fiodora Dostojewskiego. Ogląda też filmy z Clintem Eastwoodem i „Dylizans” Johna Forda – no i coś próbuje samemu napisać, zwykle z bardzo miernym skutkiem. Łdźarza się, że tworzy miersze. Całe szczęście, że powstały tylko cztery.

Brama – opowieść o Aaronie Wintersie

Płomień trzaskał, ogarniając coraz to nowe szczapki chrustu, a niewielkie ognisko wydzielalo mało dymu, dając za to dużo ciepła.

Aaron Winters starannie smarował pajdę chleba smalcem. Miał całkiem sporo stopionego, świńskiego tłuszczu w glinianej fasce, i to dobrego, z grubymi skwarkami, plastrami cebuli i posiekanymi ząbkami czosnku, a drugiej w ogóle jeszcze nie naruszył. Sprawdził zapasy, szykując wieczerze: zostało też prawie trzy czwarte plata wędzonki i dwa podłużne bochny chleba, w tym jeden dopiero teraz napoczęty. Nie musiał martwić się o spyzę – w worku spoczywało jeszcze sporo jabłek, manierka do połowy wypełniona winem, duży, cynowy pojemnik pelen wody, kapciuch wypchany grubo siekanym tytoniem i nieco soli w lnianym woreczku. Dobrze wyrośnięte główki cebuli, poupychane po bokach, stanowiły uzupełnienie obfitych, zdaniem Wintersa, podróźnych wiktualów.

Jabłonie znalazł przy wąskim, zarośniętym wybujałą trawą trakcie prowadzącym przez puszcze. Rosły wśród kępy wielkich dębów szeroko rozpościerających sękatę konary.

Aaron sądził, że pewnie kiedyś jakiś wędrowiec, przemierzający podłą drogę przez rozległą knieję, odrzucił w bok niedojedzony ogryzek, a potem z ciemnych pestek wyrosły dorodne drzewa, obwieszone teraz smaczными owocami. Winters starannie zebrał z gałęzi najdorodniejsze, niespodziewanie soczyste i słodkie, napełniając do pełna worek i dodatkowo parcianą sakwę, do niedawne służącą do noszenia kul i prochowych ładunków. Okazało się, że doskonale się do tego nadaje.

Winters nie zapomniał też w krótkiej, lecz żarliwej modlitwie podziękować Bogu za nieoczekiwany dar.

Aaron nie miał zbyt dużo do niesienia – zapasy zapakował do prostokątnego plecaka z szelkami, a z wierzchu przytroczył zszyte baranie skóry, służące w nocy za posłanie. Posiadał teraz aż dwie takie derki – tyle przypadło dla niego wtedy, kiedy dzielono wspólny dobytek wolnej rotы muszkieterskiej, dawnego oddziału Aarona Wintersa. Otrzymał też nowe buty, róg z prochem, skalkowy pistolet i właśnie tę porządną derkę. Dostał też nieco pieniędzy – kilkanaście monet z brązu albo miedzi – i kilka

srebrnych, ukrytych teraz na piersi, w wewnętrznej kieszeni skórzanego koletu, noszonego przez Wintersa od wielu już lat.

Musiał oddać muszkiet, prochownicę i forkiet.

Broń sprzedano – za niską cenę. Wszyscy teraz chcieli mieć te nowe strzelby skalkowe. I mitraliezy – dziwne maszyny, wypływające nieprzerwanie dziesiątki kul, kładących ludzi pokotem. Roty muszkieterów traciły zajęcie i żaden z wolnych strzelców nie mógł nic na to poradzić.

Aaron wszystko już przygotował. Znalazł dobre miejsce paręnaście kroków od traktu, w dość rozległym zagłębieniu gruntu porośniętym mchem. Nie musiał wycinać trawy kordelasem, a sucha warstwa zielonych porostów obiecywała dobry sen. Kotlinkę porastały sosny i buki, a szpaler pnących się do góry w poszukiwaniu światła jałowców otaczał ją ze wszystkich stron. Na ziemi leżało też nieco zwalonych, przegniłych starych drzew. Jeden z odziomków potężnej niegdyś olchy, oczyszczony z narostów, służył teraz Wintersowi za wygodne siedzisko. Plecy opierał o gładki, miły w dotyku bukowy pień.

Skóry leżały między nim a szparko palącym się ogniem, tak aby żar w nocy ogrzewał stopy. Nowa derka służyła Cukierkowi – takie imię nosił wielki brytan Wintersa – za posłanie, a pies lubił z niej korzystać.

Cukierek dostał już swoją porcję w metalowej misce i zjadł ją zachłannie. W drugim naczyniu miał wodę – nieco zbyt mało, bo pies po dniu drogi chleptał łapczywie, lecz Aaron dobrze pamiętał, że trzeba będzie przed snem jeszcze jej dolać.

Winters starannie żuł twardawy już mięksisz i wypieczoną skórkę. Zamierzał zjeść jeszcze jedną pajdę, potem ze dwa jabłka, wypić kilka łyków wina i położyć się spać. Niewiele czynności pozostawało do zrobienia – zdjąć pas i pendent, ułożyć kord z prawej strony skórzanego łoża, a kordelas i pistolet z lewej, tak aby mógł w razie potrzeby bez ochyby chwycić broń. Rozpiąć pod szyją długi aż do kostek płaszcz, strzepnąć go i starannie się nim przykryć, a wcześniej powiesić na jakimś sęku kapelusze.

I pozostawało jeszcze jedno do wykonania, o czym Winters nigdy nie zapominał – podziękować Bogu za to, że przeżył kolejny dzień. Pokornie poprosić, aby zbudził się rano. Błagać o wybaczenie za popełnione grzechy, za zabicie tak wielu ludzi, zastrzelonych, kiedy jego rota muszkieterska oddawała salwę za salwą albo po prostu zarżniętych w walce wręcz, za ciepłą jeszcze krew ofiar nieraz spływającą mu po palcach – i nieśmiało przypomnieć Panu o obietnicy sprawiedliwego sądu w dniu śmierci.

Po raz kolejny gorąco podziękować za dziwny dar, otrzymany, w co Winters głęboko wierzył, od Stwórcy, umożliwiający przetrwanie wielu ciężkich starć i wyjście cało z różnorodnych opresji. Dar, ciągle zadziwiający Aarona swoją mocą – umiejętność, jakiej nigdy nie spostrzegł u innego człowieka.

A potem od razu zasnąć, zapaść się w niebyt głębokim snem, polegając na czujności Cukierka. Potężny brytan też posłusznie ukladał się na spoczynek, natychmiast zasypiając, lecz nawet wtedy wielki czarny nos i spiczaste, zarośnięte długim włosem uszy poruszały się czujnie, rejestrując najmniejszy nawet zapach lub szmer, a w razie niebezpieczeństwa głębokie, dudniące warczenie przywoływało Wintersa do świata jawy.

Pies zaskomlał prosząco, śmiesznie brzmiącym piskiem, tak jak mały szczeniak, domagający się kolejnego przysmaku.

Aaron lubił ten głos – przypominał mu dzieciństwo i nieistniejącą już, spaloną zagrodę rodziców. Oderwał duży kawałek chleba i rzucił w powietrze, Cukierek, jak zwykle, odbił się od ziemi niczym zwolniona od nacisku sprężyna, nieomylnie go chwytając wysoko w powietrzu, kiedy ułomek pieczywa zaczął spadać ku ziemi.

Winters uważał, że to dobra metoda ciągłego ćwiczenia wielkiego mastifa. Cukierek, mimo swego wzrostu i wagi, wcale nie zachowywał się ociężale – poruszał się szybko, zwinnie, skakał wysoko, a długie łapy potrafiły pokonać bez wysiłku sporo mil. Wędrując przez puszcze, Aaron często rzucał przed siebie grube, twarde kawałki uschniętych gałęzi, leżących na piaszczystym trakcie, patrząc potem z zadowoleniem, jak potężne szczęki Cukierka i wielkie zębiska prawie natychmiast miażdżą je na dziesiątki małych kawałków.

Winters dawno temu zrozumiał, że zawsze powinien być gotów stanąć do walki, a pies musi posiadać tę samą umiejętność.

Kawałek chleba poleciał stromym łukiem w górę, lecz brytan nie zwrócił na niego uwagi.

Warczał przenikliwym, nisko brzmiącym charkotem. Długi pysk, zwrócony w stronę kępy wyrosniętych jałowców, wskazywał miejsce niepokojące psa.

Aaron chrząknął, a potem wsadził do ust resztę kromki.

Przez chwilę rozważał, jak ma teraz postąpić.

Za ścianą jałowców krył się człowiek, może nawet kilku. To nie mogło być duże, pewne siebie zwierzę – szukający nocnego legowiska samotny odyniec albo ciekawski wilk – gdyż Cukierek rzuciłby się natychmiast

w jego stronę. Jeśli ktoś chciał zabić wędrowca, sposobiącego się do snu, już dawno mógł to uczynić. Rzadko używano teraz oszczepów lub włóczni, sposobnych do rzucania, lecz nadal w wielu obejściach ludzie trzymali, oprócz muszkietów, luki i kusze.

Dawny muszkieter wiedział, że dla wprawnego strzelca nieruchoma postać, oświetlona płomieniem ogniska, stanowiła dogodny i łatwy cel.

Winters nie miał ze sobą wielu rzeczy mogących budzić lupieskie instynkty. Jednak ludzi zabijano z bardziej błahych powodów – nawet i dlatego, że ktoś posiadał dobry rapier, sute, ciepłe okrycie albo ładny kapelusz i wygodne rękawice z dobrze wyprawionej kozłej skóry.

Aaron nadgryzł jabłko wyciągnięte z worka. Nie zamierzał się ruszać, przynajmniej nie teraz. Gruby pień chronił plecy, a siedząc zmniejszał szanse trafienia. Jeszcze miał czas, aby zerwać się z miejsca i w pędzie, sadząc długimi susami, natrzeć na nieznanego przybysza, może przybyszów.

– Kimkolwiek jesteś albo jesteście, wychodź! – wrzasnął. – Inaczej udam się do was, a wtedy nie będzie zmiłowania! Spotkacie się z Panem i zobaczycie jego oblicze – oby okazało się miłosierne!

Trzymał już pistolet w prawej dłoni. Nowa broń strzelała dobrze i Winters przyznawał, że nieźle się sprawuje. Całkiem niedawno, nim zabrał się do przygotowywania posiłku, podsypał prochu na panewkę.

Podciągnął nogi. Należało zerwać się z miejsca i biec, przykurczony do ziemi, najszybciej jak potrafił, a potem strzelić komuś w brzuch i zakończyć wszystko ciosami kordu i kordelasa – jeżeli tylko wcześniej nie zostanie ranny – albo też zabity. Zawsze należało się z tym liczyć.

Cukierek dziwnie szczechnął, niepewnie, z wahaniem, jakby chciał powiadomić, że nie wie, jak ma się zachować. Winters dawno nauczył się rozróżniać najrozmaitsze odcienie warczenia, szczekania i ujadania wielkiego psa.

Nie dziwił się dezorientacji mastifa. Dwie dziecięce postacie, powoli zmierzające ku ognisku, wcale nie wyglądały groźnie. Chłopiec, ubrany w zniszczoną sukmanę, przepasaną lnianym paskiem z krajki, wytarte i zabrudzone spodnie z grubego płótna, w podniszczonych chodakach z cholewkami do kostki i chuda dziewczynina w zbyt dużej sukience z bufiastymi rękawami, cienkim rzemyczkiem opasującym talię, sznurkiem koralików na wątlej szyi i kilkoma pojedynczymi liśćmi wplątanymi we włosy.

Trzymali się za ręce. Aaron widział, jak palce dzieciaków mocno spletają się ze sobą, jakby w ten sposób zamierzali dodać sobie otuchy.

Aaron patrzył na nich w milczeniu, badawczo, taksując, czy gdzieś jednak nie czai się niebezpieczeństwo.

Pies ziewnął szeroko, a potem, wodząc nosem po mchu i zawzięcie machając ogonem, rozpoczął poszukiwania niedawno rzuconego przez Aarona kawaleczka chleba.

Wrócił po chwili.

Przesuwając nosem po okryciach dzieciaków, obwąchiwał je starannie, od palców nóg po torsy. Winters spoglądał na niego w milczeniu. Wiedział, czemu mastif się tak zachowuje – pies napotkał nieznaną mu do tej pory zapach i starał się go rozpoznać i zapamiętać.

Aaron, zniecierpliwiony przedłużającym się badaniem, machnął dłonią.

Kręcąc ogonem brytan powrócił do poszukiwania ułamka nadjedzonej pajdy.

– Mógłby nam pan, wielmożny panie, dać coś do jedzenia?

W głosie chłopca zabrzmiała niepewność, ale i zdecydowanie, tak jakby raz przelamawszy strach przed nieznanym mężczyzną, pragnął uzyskać to, o co prosił.

– Od dwóch dni jemy tylko jeżyny – ciągnął już śmielej. – Znaleźliśmy też trochę malin, ale malutko. Jesteśmy bardzo głodni.

– Maliny są słodkie, dojrzałe jeżyny też. – Dziewczynka uśmiechnęła się niepewnie. Mówiła o owocach leśnego runa tak, jak oznajmiał coś bardzo ważnego. – Dobrze. Trochę się nasyciliśmy, ale na krótko. I nie napotkaliśmy więcej krzaków. Jestem Jennifer, a to mój brat, Jonathan.

Przesunęła placami po włosach, pewnie chcąc zrzucić liście na ziemię, lecz druga dłoń nadal mocno ścisnęła rękę towarzysza.

– Nie tytułujcie mnie wielmożnym panem. – Winters chrząknął. Delikatnie spuścił kurek pistoletu. Dobrze naoliwiony zamek nawet nie szcęknął. – Jestem Aaron Winters, dawny muszkieter, prosty człowiek. Wolny strzelec – podkreślił z naciskiem. – Moja rota, tak jak inne, nikomu nie podlegała, żadnemu wielkiemu farmerowi, hersztowi czy baronowi. To ich nazywają „wielmożnymi panami”, i tak oni nakazują się tytułować, ale to nie dotyczy nas. Sami sobie wybieraliśmy przywódców – ciągnął – zajęcie i wielkość zapłaty. Powinniście coś o tym słyszeć, mimo tego że jesteście niedorostkami.

Chłopiec kiwnął głową. Głośno przelknął ślinę. Dziewczynka zagryzła wargi. Oboje ciągle trzymali się za dłonie.

– Pan mówił, że głodnego należy nakarmić, a spragnionego napić. – Winters ponownie wyciągnął schowany już i otulony szmatką bochenek chleba, poleć wędzonki i gliniany dzbanek. – Tak powiada Pismo.

Pismo – niezbyt grubą książeczkę w oprawie z twardej skóry, ze wytłoczonym znakiem krzyża na okładce – Winters nosił w wewnętrznej kieszeni wytartego koletu, owijając w kawałek płótna, żeby się nie zniszczyła. Pilnie baczył, aby cienki skrawek tkaniny, służący do ochrony woluminu, pozostawał zawsze czysty – i często go prał. Nikt nie wiedział, jak określić zbiór wielu kartek z grubego papieru, zadrukowanych drobnymi literami, więc wszyscy po prostu nazywali go Pismem.

Aaron często czytał Pismo. Dobrze wiedział, że inni muszkietrzy tego nie czynią, a niektórzy je lekceważą, a wielu ludzi nie słyszało o Piśmie – ale nie on. Winters czytał Pismo, zastanawiając się nad każdym rozdziałem, przypowieścią, analizując poszczególne strony, zdania, nieomal wyrazy. Kiedyś zerwał z dębu mocno wyrośnięty liść i dla wygody włożył pomiędzy dwie kartki, szczególnie zajmujące, żeby łatwo na nie natrafić. Liść zżółkł i stracił wiotkość, stwardniał, lecz trwał, dobrze wypełniając rolę zakładki. Czasami Winters na koniec dnia przekładał go w inne miejsce, bez zastanowienia, nie spoglądając do wnętrza książeczki, ciekaw, na co natrafi w Piśmie następnego ranka.

Długim kordelasem Winters ponownie rozsmarowywał świński tłuszcz. Płomień ogniska buchnął w górę, ogarniając niezajętą jeszcze ogniem szczapę.

Ostrze błysnęło oświetlone blaskiem ognia.

– Pięknie lśni, jak biała smuga. – Oczy chłopca nie wpatrywały się w chleb i faskę, tylko w szeroką, dwusieczną klingę z wąską strudziwą pośrodku.

Dzieciak przelknął ślinę. Jego oczy też zalśniły, może poczuciem ciekawości, a może chęcią posiadania pięknie wyglądającego oręża.

– Z tego powodu nazywam go Małym Smugaczem. – Aaron wręczył Jonathanowi pajdę chleba, drugą podał Jennifer. Ukroił dwie następne. – Jest wykuty z bardzo dobrej stali, tak samo jak mój kord. Jego nazywam Smugaczem, bo też odbija promienie słońca. Kupiłem tę broń dawno, kiedy jeszcze stanowiła rzadkość, a prawie wszyscy nosili o boku ostrza z żelaza. Sporo zapłaciłem, lecz nie żałuję. – Muszkietier pokiwał głową. – Są moimi przyjaciółmi – ciągnął – i nigdy mnie nie zawiedli.

Ostrożnie nalewał teraz wodę z pojemnika do metalowego kubka. Dziewczynka położyła chleb na mchu i wyciągnęła obie ręce.

– Cóż właściwe robicie w lesie? Czemu nie jesteście w domu? – zapytał z ciekawością.

Nieczęsto spotykał dzieci i prawie nigdy z nimi nie rozmawiał. Widywano je rzadko, bo niewiele się ich rodziło, a jeżeli już przychodziły na świat,

rodzice otaczali pociechy troskliwą opieką. Winters nigdy nie dociekał, dlaczego w wioskach, siolach i pojedynczych zagrodach, a nawet w Mieście, jest tak niewiele dziecięcych twarzyczek. Czasami tylko sięgał pamięcią wstecz i stwierdzał, że zawsze napotykał dorosłych ludzi. Tak został urządzony otaczający go świat i wszyscy to akceptowali.

Tak jak nikt nie wiedział, jaką nazwę naprawdę nosi Pismo, tak nikt nie znał miana sporego skupiska domów, ulic, placów i warsztatów, dość często odwiedzanego przez muszkietierów. Książkę zawierającą przypowieści o Bogu i jego dziełach nazywano Pismem, a to miejsce po prostu Miastem, dziwny zaś, niezamieszkały budynek pośrodku płataniny budowli, zniszczony, ze zwalonymi stropami i ułomkami murów, porośnięty krzewami i drzewami – Ruinami. Aaron słyszał parę razy, że Miast jest kilka, ale znał tylko jedno.

Nie mógł pojąć, czemu dwoje dzieciaków schroniło się w rozległej, gęstej puszczy i, jak przypuszczał, błąkało się bez celu.

– Uciekliśmy z takiej dziwnej karczmy – wypowiedane przez dziewczynkę słowa przerywały chwile milczenia, kiedy piła łączywe. Podala kubek bratu. – Porwali nas jacyś ludzie, związali i zaprowadzili tam. Zabili ojca i mamusię, bo nie chcieli nas oddać. Wiem, co to jest karczma – dodała z dumą. – Mama mi opowiadała.

Ponownie napełniając wodą naczynie, Winters zastanowił się przez chwilę nad tym, co powiedziała Jennifer. Przed wyruszeniem w drogę wypytał kilku kolonistów, co i kogo może napotkać podczas wędrówki do Miasta. Żaden z nich nie wspominał o istnieniu oberży czy też może zajazdu – a powinni o nim wiedzieć. Lichej i wąskiej drogi przez knieję nie przemierzało zbyt wiele wozów i ludzi, tak samo zresztą jak i pozostałych gościńców. Karczmy stanowiły rzadkość. Budowali je najczęściej wielcy farmerzy na skrzyżowaniach kilku traktów, puszczały warendę, czerpiąc potem pokaźne profity. Roty muszkieterskie często odwiedzały te miejsca, nieraz znajdując tam zajęcie, i to suto płatne, przy pilnowaniu budynków, odpieraniu ataków band – i niszczeniu innych zajazdów.

Winters osądził, że ktoś powinien słyszeć o tej gospodzie. Nie pojmował, czemu ta wieść nie przeniknęła do innych ludzkich siedliszcz.

– Niedawno ją wzniesiono. – Jonathan otarł dłonią usta. Bezwiednie uprzedził niezadane przez Wintersa pytanie. – Ojciec się z tego radował. Mówił, że pewnie każdego roku kupią część naszych plonów. Mieliliśmy dobre zbiory – dodał z dumą. – W stajni stał na początku jeden wół, ale tata niedawno nabył drugiego.

– I dobrą krowę. – Jennifer uśmiechnęła się. – Uczylałam się doić. Mama dawała nam do picia codziennie gorące mleko, żebyśmy stali się silni. Dobrego ma pan psa – dodała, zerkając na leżącego obok Wintersa mastifa. – Jak ma na imię?

– Zwie się Cukierek – machinalnie odpowiedział Winters. Myślał o czymś innym – o opowieści dzieciaków. Brzmiała dziwnie, a jednocześnie jednak znajomo.

Dawny muszkieter nie lubił opowiadać o brytanii. Mastif trzymał się tylko jego, nie spoufalając się z innymi ludźmi, a nawet od nich stroniąc. Winters uważał, że tak jest najlepiej. Lecz teraz rozmawiał z dziećmi, więc nie widział powodów do milczenia.

– Znalazłem go przy drodze, w spalonej wiosce. Chyba dopiero przejrzał na oczy. – Pies na dźwięk swojego imienia podniósł łeb. – Strasznie piszczał, więc go zabrałem. Nosilem Cukierka w torbie na ładunki, zanim dorósł. Jeżeli przychodziło do walki, kładłem szczeniaka na ziemi. – Winters poklepał sakwę, wypełnioną teraz jabłkami. – Kiedyś – wtedy jeszcze sypiał w sakwie – otrzymaliśmy część lafy w żywności, między innymi woreczek cukierków.

Winters zachichotał.

– Rzuciłem jeden mojemu psu i bardzo mu smakował. Prosił o więcej. Dziwne. Wtedy nazwałem go Cukierkiem.

Ziewnął. Usłyszał opowieść, często powtarzaną i dobrze mu znaną. Sam nieraz palił chaty i wypędzał kolonistów, buntujących się przeciwko płaceni czynszów, zwykle wtedy, kiedy zastęp muszkieterów najmował bogaty farmer. Sam, jeszcze będąc młodzieniaszkiem, musiał uciekać, kiedy zagroda rodziców stanęła w płomieniach.

Patrząc teraz na dzieciaki, łapczywie dojadające chleb z wędzonką, widział to dokładnie. Przypominał sobie też małego psa, piszczącego i biegnącego za nim. Nie chciał go zabrać – stanowiłby obciążenie. Kopnął go, tak mocno, że szczeniak zawył z bólu i zawrócił. Stał pośrodku ścieżki, bojąc się iść dalej, lecz nadal rozpaczliwie czekał. Kiedy Winters w spalonej wsi spotkał Cukierka, wszystko jeszcze dobrze pamiętał – i bez namysłu zaopiekował się równie żałośnie skomlałym zwierzątkiem.

– Pewnie nie płaciliście danin? – zapytał, znowu ziewając. Czuł w kościach zmęczenie długą drogą. – Są wysokie, wiem, a farmerzy gnębią kolonistów.

Właściciele wielkich połaci ziemi zwano „farmerami”. Najmowali parobków i dziewczki, licho im płacąc albo tylko żywiąc. Rota Wintersa

niejednokrotnie uderzała na nędzne, parobczańskie sadyby, wymuszając posłuch. Tak samo często atakowała zagrody i siola kolonistów, samodzielnie uprawiających rolę, niezamierzających poddać się woli posiadaczy wielu włók gruntów, żądających haraczu. Czasami chroniła też kolonistów, jeżeli starczało im miedzi, brązu i srebra na zapłatę.

Winters zadał pytanie od niechcienia, spodziewając się tylko jednej, potwierdzającej odpowiedzi.

– Nie. – Jennifer pokręciła głową. – Oni chcieli nas zabrać do miejsca zwanego Bramą. Tak o niej mówili i tak ją wszyscy w naszych stronach nazywają. Niekiedy ludzie mówią, że jest to Przejście.

– Brama? – powtórzył z namysłem Winters.

Pismo nic nie wspominało o Bramie albo o Przejściu. Mówiło o Mieście, wzniesionym przez ludzi z boskiej inspiracji. O Ruinach, części Miasta zburzonej przez ludzi odrzucających wiarę i oddających cześć tylko życiu doczesnemu.

Ale nie nadmieniało o Bramie. Pierwszy raz w życiu słyszał, że coś takiego istnieje.

– Tak powiadali – potwierdził chłopiec. – Twierdzili, że to dla nas będzie dobre. Ale ojciec nie chciał nas oddać. Porwał siekiere, bo akurat stała w rogu sieni, i natarł na nich. Wpadł w gniew. Chcieli coś powiedzieć, ale ich nie słuchał. Mama chwyciła za oszczep. Zdążyła jeno rzucić mi ten pasek, a ojciec krzyknął, żebyśmy uciekali. – Chłopiec położył dłoń na lnianej krajce, wyszywanej w proste wzory, przepasującej sukmanę. – A potem jeden z tych ludzi, człowiek o siwych włosach, strzelił ojcu w twarz.

Głos chłopca się załamał.

– Matkę też zabili, bo jednego z nich raniła, i nie chciała rzucić dzidy. Nas ogłuszyli pałkami i związali. Wrzucili na dziwny wóz bez kół. Tam znajdowało się więcej dzieci – dodał. – Też wziętych w pęta. Ale my uciekliśmy, bo słabo zacisnęli więzy.

Nagle Jonathan zaczął płakać – rozpaczliwie lkać, nieomal bezgłośnie, lecz spazmatycznie. Odłożył niedojedzoną skibkę chleba i zakrył dłońmi twarz.

– Podala ci ten pasek? Po co? – zdziwił się Winters. – Nie rozumiem tego.

Nie zamierzał zbytnio dociekać, dlaczego licha przepaska na sukmanę miała jakieś znaczenie. Wypełnił obowiązek, nakazany przez Pismo. Pozostawało tylko następnego dnia odprowadzić dzieciaki do najbliższego siola, omijając karczmę. Potem może wrócić do zajazdu, bo pewnie mógłby tam znaleźć zajęcie.

Jakaś stercząca w górę, ogarnięta ogniem gałąź przelamała się wpół, podsycając płomień. Niewysoki snop iskier buchnął w górę. Oświetlił dziwnie wyglądającą twarz Jennifer – wyjadła sporo miększu kromki, pozostawiając z boków grube skórki. Kiedy odsunęła pajdę od lakomych ust, pewnie zamierzając coś powiedzieć, kromka wyglądała niczym dziwaczne rogi, zachodzące na policzki. Winters osądził, że spieczona powierzchnia chleba, zbita i twarda, nie poddawała się łatwo naciskowi drobnych ząbków.

– Nie ruszaj się teraz i zewrzyj nogi – powiedział łagodnym tonem. – Nie obawiaj się, nic się nie stanie.

Lewa ręka Wintersa z trzymanym w dłoni Małym Smugaczem wysunęła się do przodu, jednocześnie wykonując krótki zamach. Pierwszy cios przeciął skórki tuz przy wargach. Następne uderzenia poszatkowały resztkę chleba na drobne kawałeczki, zanim cienkie już części skórek zdążyły upaść na kolana dziewczynki.

Wtedy, kiedy Winters przesuwiał długie ostrze kordelasa w górę i w dół, tak szybko, że wzrok nie nadążał za ruchami dłoni, poblask ogniska rozświetlił głównie czerwonym blaskiem. Ostrze wyglądało przez chwilę jak smuga krwi, przecinająca powietrze.

Jennifer otworzyła usta, zamierzając coś powiedzieć. Nie zdążyła – uprzedził ją Jonathan.

– Mógłby pan ich wszystkich zabić? Tych sześciu napastników? – Po twarzy chłopca nie spływały łzy. Wierchem dłoni otarł powieki. – Zapłacimy panu. Damy to, co zbierali dla nas rodzice.

Głos Jonathana brzmiał prosząco, a jednocześnie natarczywie.

Jennifer od razu wpakowała sobie do ust kilka najmniejszych kawałków skórki.

– Zabić? – powtórzył z namysłem Winters. – Przypomnij mi – iluż ludzi napadło waszą zagrodę?

– Sześciu, policzyłam. – Jennifer zbierała resztę okrawków z podolka sukienki. – Umieję już rachować do dziesięciu – dodała z dumą. – A monety mamy w pasie brata. – Wskazała dłonią lnianą krawkę, przepasującą sukmanę Jonathana. – Rodzice zebrali już sporo grosiwa i mama postanowiła je schować. Zaszyła wszystko w tym pasku. Ja jej pomagałam.

– Niech pan je weźmie. – Jonathan odsupłał węzeł przepaski i podał Wintersowi. – Niech pan to za nas wykona. My jesteśmy za mali.

– Nie lękasz się, że teraz was zabiję? – Winters zważył płat tkaniny w dłoni. Nie ciążył zbyttnio, lecz muszkietier palcami wyczuł wiele stykających się ze sobą krążków metalu.

– Dawno mógł pan to uczynić, a dał chleb i mięsiwo – poważnym, wcale nie dziecięcym tonem odpowiedziała Jennifer. – A Cukierek jest bardzo dobry. Przyjacielski. – Dziewczynka uśmiechnęła się. – Podoba mi się.

Pieszczotliwie poklepała psa po grzbiecie.

– Tutaj ma niezwykle twardą skórę – zauważyła ze zdumieniem. – Jest bardzo mocna.

– To mieszaniec – ze zniecierpliwieniem odpowiedział Winters. – Odziedziczył po przodkach grzbiet i boki tak spoiste, że szablą ciężko je przebić. Wielu chciało go usiec i nie dało rady. Te dziwne psy, niekiedy spotykane – dodał, myśląc o czymś innym – o skórze jak z żelaza, mogą się łączyć ze zwykłymi. On pochodzi, myślę, z takiego miotu.

Niespodziewanie Cukierek przewrócił się na grzbiet, odsłaniając brzuch. Jennifer delikatnie pogłaskała zmierzwione futro.

– A tutaj jest mięciutki i ciepły! – obwieściła, prawie się uśmiechając.

Winters nie zwracał na nią uwagi, zastanawiając się nad tym, co powiedział Jonathan.

Wcale go nie zdziwiły słowa chłopca. Czasami, mając chwilę odpoczynku, wytchnienia od powszednich zajęć, sięgał pamięcią wstecz i zawsze widział obrazy walk, mordów, natarć i odwrotów, krwi, zamieszania i trupów. Zabijali już mali chłopcy. Aaron dziwił się, że żyje tak długo. Obliczał, choć nie mógł tego powiedzieć na pewno, że w tym roku ukończy już trzydzieści lat. Może, myślał niekiedy Winters, jest to znak, dany od Pana, chcącego powierzyć mu jakąś misję. Nigdy jednak w jego życiu nie wydarzyło się nic takiego, co mógłby poczytać za wskazówkę Stwórcy. Czekał na nią, choć wiedział, że może jej nie otrzymać.

Teraz, kiedy nagle prawie wszędzie pojawiły się nowe strzelby skalkowe i nieliczne mitraliezy, wzajemne walki jeszcze się wzmogły.

Winters przypuszczał, że nową broń wytwarzają warsztaty w mieście, domena wielkich fabrykantów. Sądził, że to niebawem sprawdzi, starając się, w przypadku braku innych perspektyw, znaleźć tam jakieś zajęcie w grupach strażników.

– Sześciu... – powtórzył wąpiącym tonem. – Za dużo. Nie stanę do walki z nimi samojeden. Zginę. – Winters potrząsnął głową. – Schowaj pasek. Przyda wam się, jeżeli tylko ktoś go nie zabierze.

– Nie zdecyduje się pan? – zawiedzionym tonem zapytała Jennifer. Ciągle gładziła chudy brzuch Cukierka. Mastif fukał przeciągle. – Może to za mało, ale nie mamy nic więcej.

Brwi Wintersa uniosły się, lecz nie protestował. Wielki brytan, mogący bez wysiłku przegryźć ludzką rękę, zachowywał się jak zadowolony z siebie szczeniak, czekający na pieszczotę opiekuna. Aaron nie spodziewał się, że kiedykolwiek ujrzy taki widok.

– Nie podejmę się – odpowiedział zdecydowanym tonem. – Posiadam dziwny dar, myślę, że dany przez Pana. – Muszkieter przeżegnał się, starannie wykonując ten gest. Wtedy, kiedy poznał, co potrafią uczynić jego ramiona, zaczął niekiedy myśleć o tym z lękiem. – Moje ręce działają niezależnie od siebie. Mogę pisać zarówno lewą, jak i prawą dłońią, jednakowo szybko i sprawnie. Umieję walczyć i zadawać ciosy obydwoma dłońmi, nie patrząc i nie myśląc nawet, co czyni jedna, a co druga, tak szybko, że wzrok tego nie dostrzega. Ale sześciu to zbyt wielu. – Winters potrzasnął głową. – Czterech, tak. Może i pięciu. Ale nie sześciu. Zawsze jeden zdąży zająć mnie od tyłu i wbić ostrze w plecy. Chociaż...

Zamilkł.

– Chociaż... – powtórzył wolno.

Podniósł głowę. Uśmiechnął się – nikłym, nieco tęsknym i niepewnym uśmiechem człowieka, czekającego na coś całe życie – i nagle zdającego sobie sprawę, że oczekiwanie niepodziewanie się kończy – uśmiechem dziwnie nie pasującym do surowej twarzy, przeciętej na lewym policzku długą, cienką blizną.

– Może to być znak dany mnie, grzesznikowi, przez Pana.

Uśmiech Wintersa się pogłębił.

– Może Pan chce mnie wypróbować – ciągnął. – Zjawiliście się nocą, niespodziewanie, prosząc o sprawiedliwą pomstę. Staliście się wygnańcami, rodzice zaś żyli sprawiedliwie. I jesteście dziećmi.

Cukierek gibko przekręcił się na ziemi i stanął na czterech łapach. Schylił leb, wpatrując się w twarz muszkietera. Winters odruchowo podrapał go za uchem.

– Stwórca może chce wiedzieć, czy sprostim temu wyzwaniu, a jeżeli tak, poprowadzi mnie dalej. – Aaron wyciągnął dłoń. – Podejmę się przejść przez tę próbę. Zabiję ich. Wszystkich. Daj pasek, Jonathanie.

– Pewnie to jest niewielka lafa za tę pracę. – Chłopiec zmarszczył nos.
– Rodzice mówili czasem, że ciężko jest coś zebrać.

Jonathan przetarł dłonią twarz. Chlipnął.

– Niewielka? – Winters złożył krawkę na kilka części, a potem wsunął do wewnętrznej kieszeni koletu, tam gdzie zwykle nosił Pismo. – Daliście mi wszystko, co macie. Dorobek życia zmarłych.

Wolno pokiwał głową w kapeluszu z wysoką główką.

- To nie jest mało. To bardzo wiele, może nawet zbyt wiele – kontynuował.
- Godziwa zapłata za trudne zadanie. Może i jest to kolejny znak.

Dłoń Wintersa zsunęła się do wnętrza sakwy. Wyjęta oselka miała wydłużony, owalny kształt. Nawet nie patrząc na to, co czyni, Winters zaczął ostrzyć głownię Smugacza – miarowymi, pewnymi ruchami ręki wiele razy już przygotowanej narzędzie do wykonania oczekującej je niebawem pracy.

- Wrzuc do ognia bukowe szyszki – Winters wskazał głową zebrany wcześniej stosik. – Długo się palą i dają dużo ciepła.

Blisko, może o parędziesiąt kroków, odezwała się sowa, głębokim, poważnie brzmiącym pohukiwaniem.

Winters podniósł głowę.

- Nocny wojownik daje znać, żebyśmy udali się na spoczynek. – Krytycznie przyjrzał się klindze kordu. Kamień znowu zaczął się poruszać.
- Jutro czeka mnie dzień próby.

Sowa znowu zahuczwała, teraz już wyraźnie niedaleko, jakby ostrzegęła przed trojgiem ludzi, biwakujących w ciemnościach potężnego lasu.

- Dziwny ma pan kapelusz – zauważyła Jennifer, drapiąc psa za uchem.
- Taki... strasznie wysoki. Trochę śmiesznie wygląda.

Winters zdjął nakrycie głowy i obejrzał je dokładnie. Pierwszy raz w życiu usłyszał, że wygląda dziwacznie. Nie czuł gniewu – powiedziała to dziewczynka i w jej oczach tak mógł się prezentować.

- Ma wysoką główkę, bo w środku przechowuję lont, czasami zapalony, jeżeli podczas starcia pada deszcz. – Winters wsadził dłoń do środka. Cienki, ciasno zwinięty sznur znajdował się na swoim miejscu. – Filc nasączamy olejem lnianym, aby chronił przed wilgocią. Może i śmiesznie wygląda, ale dobrze mi służy.

Dziwnie oczywista myśl przyszła mu do głowy. Mógł wykorzystać ten zwój linki, teraz, po rozwiązaniu roty, już niepotrzebny.

Oselka znowu zaczęła się rytmicznie poruszać.

- Zmówmy wspólnie „Ojcze nasz”, a potem położmy się spać. – Winters przyjrzał się rodzeństwu. Nadal ostrzył głownię Smugacza. – Przecież odmawiacie modlitwy, prawda?

Pragnął się upewnić. Wcale nie tak wielu ludzi wierzyło w Pismo. Niektórzy go nie cenili i często wyszydzali. Inni nawet się nad nim nie zastanawiali.

- „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Maryjo” – uzupełniła Jennifer. Ziewając, przecierała palcami powieki. Zdawała się zasypiać na siedząco. – Mama nauczyła nas tych modlitw. Odmawialiśmy je przed snem, a czasami rano w niedzielę.
-

– Katolicy... – zauważył Aaron. Przyjrzał się klindze i przeciągnął lekko kciukiem po brzuścu ostrza, a potem wytarł głownię połą płaszcz. Uznał, że nie musi już więcej się trudzić. Kika kropelek krwi natychmiast pojawiło się na zrogowaciałej skórze palce. – Katolicy... – powtórzył z namysłem.

– To źle? – zapytała niepewnie Jennifer.

– Dobrze. – Aaron chrząknął. Ssał kciuk i ślina, pomieszana z krwią, na chwilę zatamowała mu oddech. – Bardzo dobrze. Mnie i innych nazywają protestantami, nie wiem dlaczego. Uznajemy tylko świętość Pana, a nie jego matki. Jednakże – ciągnął z ożywieniem – jest tak wielu w nic nie wierzących, nie zdających sobie sprawy, że żyją w grzechu, nie bojących się dnia sądu, wyszydzających Pismo, że nawet inaczej wierzący zasługują na wielki szacunek. Pewnie też zaznają łaski. Pismo nie mówi o tym dokładnie – kontynuował – więc zmówię z wami „Ojcze nas”, a potem w milczeniu i z pokorą wysłucham drugiej modlitwy. Módlcie się, aby Pan mnie jutro wspomógł.

Sowa znowu zahuczała przeciągle trzy razy, całkiem już blisko.

Gdyby szary ptak o wielkich źrenicach zwrócił uwagę na polankę w ciemnej głuszy, na niewielki skrawek ziemi pośród potężnych, wysoko wyrosniętych drzew, z gęstwą listowia, tłumiącą nikle światło gwiazd i sierpa księżyca, gdyby zaciekawil go nieznaczny płomień ogniska, ledwie rozświetlający mrok nocy, zobaczyłby klęczące postacie z dłońmi złożonymi na piersiach. Dziewczynkę i chłopca, poruszających wargami – i wysokiego mężczyznę z pochyloną głową, klęczącego w milczeniu. Usłyszalby piskliwe głosy dzieciaków, przechodzące w dyskant, z przejściem powtarzające słowa modlitwy.

Zobaczyłby też ciemną sylwetkę wielkiego brytana o wysokich, sterczących uszach, leżącego na ziemi, też zdającego się z uwagą przysłuchiwać wypowiedanym słowom – jakby starał się je pojąć i zapamiętać.

– Jonathanie, kiedy ruszę, zapalisz lont. – Winters poprawił ułożenie płaszcz. – Wybuch nic złego nie uczyni ludziom w karczmie, ale odwróci ich uwagę. Na pewno go usłyszą, choć róg z prochem jest niewielki. Wtedy uderzę.

Chłopiec w jednej ręce ścisnął cynowe pudelko z hubką, w drugiej krzemień i krzesiwo. Rankiem Winters dobrze naostrzył metalowy grot, żeby obficie wzniecał iskry – tak samo dokładnie, jak wieczorem minionego dnia klingi Smugacza i Małego Smugacza.

Aaron zdjął już szczelną pokrywkę pojemnika z hubką. Katem oka zobaczył, jak dłoń chłopca mocno zaciska się na szorstkich, metalowych ściankach, a palce wbijają się w wypelnione szarym proszkiem wnętrze.

– Trzymaj luźno dłoń, bo wszystko zamoczysz własnym potem i nic z tego nie wyjdzie. – W głosie Wintersa zabrzmiał niesmak. – Eksplozja wiele nie da, ale z pewnością pomoże. Pamiętaj o tym.

Jennifer zagryzła wargi. Wielkie oczy dziewczynki z natężeniem wpatrywały się w surową twarz Wintersa. Może właśnie ten przenikliwy wzrok zwrócił uwagę Aarona.

– Cóż chcesz? – Aaron odwrócił głowę. – Pomóż bratu dmuchać, kiedy w pudelku zatli się żar.

– Niech pana Bóg błogosławi – niepewnie wydusiła z siebie Jennifer.

– Błogosławieństwo Boże będzie mi potrzebne – poważnie odpowiedział Winters. Pokiwał głową w kapeluszu o wysokiej główce. – Gdybym nie wrócił – ciągnął – udajcie się do jakiejś wioski. Znajdziecie tam zajęcie. Musicie przecież wiedzieć, gdzie jest najbliższe sioło.

– Rodzice mówili nam o sadybach ludzi. – Jennifer głośno przełknęła ślinę. – Trafimy tam.

– Gdybym nie wyszedł... – Aaron zawahał się. Nagle zastanowił się nad czymś, co dopiero teraz narodziło się w jego umyśle. – Pewnie mnie pochowają, kimkolwiek są ci ludzie. Nie wrzucą do głębokiego kloaczego dołu, na pewno jednak zakopią mnie płytko. Możecie nocą otworzyć grób i zabrać pasek z monetami. Przyda się wam.

Złożony na kilka części pas spoczywał w wewnętrznej kieszeni koletu Wintersa, prawie dokładnie na wysokości serca, tam gdzie muszkieter przechowywał Pismo. Nieco ciążył, ale nie utrudniał ruchów. Winters sądził, że daje jakąś osłonę przed ciosem albo pistoletową kulą.

Jennifer pociągnęła nosem, a Jonathan zacisnął usta.

– Ciało jest tylko formą, duch człowieka wszystkim – rzucił Aaron, wyciągając Małego Smugacza z pochwy. Uważnie obejrzał długi kordelas, zdjął rękawice, wkładając je za pas, a potem zważył nóż w dłoni, jakby chciał sobie coś przypomnieć. – Nic złego nie uczynicie martwej cielesnej powłoce, a Bóg może łaskawym okiem spojrzeć na moją duszę, wiedząc, że nawet po śmierci spełniłem dobry uczynek. To może przeważać szalę w chwili sądu.

Cukierek podniósł leb i zwrócił w stronę Wintersa. Zdawał się dawać do zrozumienia, że czas ruszyć.

Aaron prawą ręką mocniej osadził kapelusz na głowie.

– Ach!

Zdawało się, że ruch nieosłoniętą dłonią przywiódł do jego umysłu nową myśl.

– Weź rękawiczki, teraz nie są mi potrzebne. – Winters podał chłopcu długie, pięciopalczaste okrycia dłoni. – Lecz jeżeli wyjdę z powrotem, zwrócisz mi je. Są cenne. Dobrze wyprawione, cienkie i mocne.

Chłopiec w milczeniu pokiwał głową.

– Nie niecierpliw się, już ruszamy. – Winters zaśmiał się, jakby zachowanie Cukierka sprawiło mu radość. – Zapalaj lont! – rzucił przez ramię, odwracając się ku karczmie.

Jonathan otworzył usta, może chcąc jeszcze coś powiedzieć, lecz Aaron nie słuchał. Spokojnym krokiem zmierzał w stronę wąskich i wysokich drzwi, wiodących do wnętrza zajazdu.

Zawiasy skrzypnęły przeraźliwie, kiedy uchylał skrzydło mocnych podwoi, zbitych z grubych, dębowych desek. Winters zdziwił się, ale zaraz zrozumiał, dlaczego poskąpiono kilku kropli oliwy na nasmarowanie masywnych, żelaznych uchwytyów. Świdrujące uszy skrzypienie ostrzegało przed wchodzącym do środka.

Nie przejął się tym.

Siedzący w środku ludzie na pewno widywali już muszkietarów, choć wolne roty nie liczyły wielu strzelców. Jego przybycie nie powinno nikogo zdziwić.

Pociągnął mocniej za klamkę, żeby zrobić przejście Cukierkowi. Pies trzymał się blisko prawej nogi swojego pana, tak jak zwykle, kiedy przebywali w ludzkich siedzibach.

Winters na chwilę musiał zmrużyć oczy, przyzwyczać wzrok, tak silnym blaskiem emanowały dwie mleczne kule, zawieszzone pod niezwykle wysoką powalą.

Niespotykanie i zaskakująco mocny. Winters jeszcze nigdy nie spotkał się z czymś takim. Płaskie sklepienie rozległej izby niczym się nie wyróżniało – grube belki i szerniałe, pokryte pajęczynami deski. Szynekwy wyglądał podobnie do innych, wcześniej oglądanych przez Aarona, kiedy rota hulaszczko świętowała dzień zapłaty za swoje trudy.

Lampy świeciły tak intensywnie, że Aaron wyraźnie dostrzegał spaczenie podłogi, ciemne plamy, warstewki brudu w szparach pomiędzy niestarannie połączonymi jodłowymi tarcicami.

Omiótł sałę wzrokiem. Sprawiała na nim wrażenie czegoś obcego, dziwnego, jakby przeniesionego z nieznanego jeszcze Aaronowi polaci jego świata. Ten świat stale się zmieniał i Winters o tym wiedział, lecz to

przeistoczenie następowało powoli. Każdy mógł je poznać, usłyszeć o nim wcześniej – i się przyzwyczać.

Sześciu ludzi siedziało przy dwóch małych stolikach – mężczyzn, tak samo dziwnie ubranych, jak odmiennie od zwykłego urządzenia oberż wyglądały zajmowane przez nich miejsca.

Winters spodziewał się ujrzeć lawy pod ścianami, zydle, długasne, ciężkie stoły, poplamione piwem, winem, sosami i wylaną zupą, a także rzygowinami – zwykły widok wnętrza zajazdu. Tutaj, oprócz szynkwasu i przysadzystego kominka z szerokim okapem, nic nie wyglądało tak, jak powinno wyglądać.

Koniuszek nosa Cukierka poruszał się intensywnie. Pies węszył uporczywie, kierując pysk w różne strony. Łowił zapach, tak samo jak wtedy, kiedy Jennifer i Jonathan podeszli do ogniska.

Wielki leb odwrócił się powoli w stronę Wintersa, jakby mastif pragnął dać jakiś znak.

Aaron już wiedział. Miał pewność. Brytan rozpoznał woń, inną niż zwykle, niespotykaną. Tę zapamiętaną z sukieneczyny Jennifer i sukmany Jonathana. Poznał zabójców.

Winters w milczeniu przyglądał się sali – i sześciu ludziom, też patrzącym na niego bez słowa powitania.

Mieli na sobie obcisłe stroje – zwierzchnie okrycia nieprzypominające kaftanów, bez wyłogów i guzów, z niewielkimi, stojącymi kołnierzymi, gładkie, o różnorodnych, jaskrawo lśniących barwach, spływające na luźne spodnie. Silny blask lamp spowodował refleks świetlny na rękawie niewidzianej jeszcze przez Aarona kurtki, kiedy jeden z mężczyzn się poruszył. Przy najbliższym, dziwnie małym, kwadratowym stoliku siedziało dwóch ludzi, pozostali nieco dalej. Sporo butelek i szklanic stało przed nimi – i okrągłe przedmioty z uchylonymi do góry denkami.

Jeden z mężczyzn grzebał we wnętrzu nieznanego Wintersowi naczynia długim widelcem. Aaron uznał, że spożywają posiłek, pewnie popijany solidnymi łykami okowity.

– Jedno z tych śmierdzących własnym moczem indywiduów, zaludniających ten świat. – Mężczyzna siedzący najbliżej beknął głośno. Światło lampy odbijało się na jego prawie całkowicie lysej głowie. – Zabawny jegomość, nieprawdaż, Chris? Oczywiście, nie zdaje sobie z tego sprawy.

– Możliwe. – Mężczyzna, nazwany Chrisem, wpatrywał się uważnie w Wintersa, skupionym, badawczym wzrokiem. Miał gęste, mocno siwiejące

włosy. – Wygląda śmiesznie, ale to nie znaczy, że nie jest niebezpieczny. Żle się stało, że nie rozwinęliśmy systemu strażniczego.

Ręka człowieka o szpakowatej czuprynie przesunęła się na środek gładkiego blatu, w stronę czarnego, okrągłego przedmiotu zakończonego dziwną, prostokątną nasadką. Obok leżała duża, błyszcząca karta pokryta znakami.

– Mamy zwracać na siebie jak najmniej uwagi. – Człowiek z widelcem czknął. Nalewał przezroczysty płyn do wysokich czarek. – Sam wydałeś takie zalecenie.

Winters osądził, że rozpostarty na stole arkusz jest mapą, a ciemny walec z częścią przypominającą pudełko to broń. Jego rota często korzystała w wyznaczaniu dalekich marszrut ze szkiców i planów terenu, a ta karta, przypominająca gładki pergamin, wyglądała podobnie. Wydawało się jednak, że emanuje nikłą, lecz wyrazistą poświatą.

Przeniósł wzrok na człowieka imieniem Chris.

Rzadko widywał dzieci – i równie nieczęsto spotykał ludzi starszych. Przyjrzał się zmarszczkom na twarzy mężczyzny siedzącego naprzeciwko, mocno obwisłym faldom podbródka, krzaczastym brwiom, dłoni z sygnetem na palcu, pocierającej z namysłem wargi.

Pismo nakazywało szacunek dla osób starszych, lecz Winters widział tylko oblicze wroga – nic więcej. Należało go zabić, może w pierwszej kolejności, bo zdawał się przewodzić pozostałym.

Na twarzy Chrisa rysowało się zmęczenie, lecz ciemne oczy bystro i uważnie wpatrywały się w Wintersa, jakby go oceniał.

– Przybywam w pokoju. – Winters nieznacznie sklonił głowę w geście powitania. Nie zamierzał nic i nikogo tracić z pola widzenia. – Pragnę nabyć zapasy na drogę. Może znaleźć tutaj jakieś zajęcie. Jeżeli nie, opuszczę gospodę i wyruszę dalej.

Wypowiedział kłamstwo, popełniając niewielki grzech, niemający znaczenia, bo uważał, że Pan go mu odpuści.

– Wypierdek niechcianej ewolucji. – Człowiek grzebiący widelcem w naczyniu zaczął się śmiać. – Oczywiście, śmierdzi okropnie, jak wszystko tutaj. W dodatku przyszedł z psem, zapchlonym i pewnie pożeranym od wewnątrz przez robaki. Sklasyfikujmy go tak: święty Franciszek, opiekun zwierząt, potomek ludzi wyrzuconych na śmietnik.

Chichot nagle przeszedł w kaszel. Mężczyzna przetarł zalzawione oczy. Wyglądał na prawie całkowicie pijanego.

Cukierek warknął.

– Uważaj, czlecze, co mówisz – wolno powiedział Winters. – Pozbawiłem kiedyś kogoś dłoni, bo chciał obciąć mojemu psu ogon, tak dla zabawy. Możesz stać się następnym jednoręcznym. Powiedźcie lepiej, czemu zabiliście rodziców dwójki dzieci o imionach Jennifer i Jonathan?

Dłoń mężczyzny o siwych włosach zacisnęła się na prostokątnym uchwycie okrągłego przedmiotu. – Wcale nie jest tak, jak myślisz. – Chris potrząsnął głową. Długa grzywka niesforne ułożyła mu się na czole. Mężczyzna poprawił ją niecierpliwym gestem wolnej dłoni. – Przychodzimy im z pomocą, choć pewnie tego nie pojmiesz. Uwierz mi, proszę. Porozmawiamy. – Z tego powodu pewnie ktoś z tu siedzących strzelił ojcu tych dzieciaków prosto w twarz – odpowiedział Aaron, wyraźnie artykułując zgłoski. – Potem zasiekliście matkę. Nie odgadnę, czego chcecie, może zbieracie dzieciaki do pracy w kopalniach. Ale wiem, co was czeka – spotkanie z Panem. Lepiej się na nie przygotujcie.

– Chris, uważajmy na tę skamienielinę dawnych czasów. – W ręce człowieka z wyraźną lysiną pojawił się nagle przedmiot, podobny do leżącego na stole, tylko mniejszy. – Niektórzy z nich są bardzo niebezpieczni, wiesz o tym.

– Ręce swobodnie zwisają mu wzdłuż ciała, a w dłoniach nie trzyma żadnej broni. – Człowiek o siwych włosach uśmiechnął się skąpo. – Spróbuję mu coś wytłumaczyć, może to zrozumie. Zawsze zdążymy go zabić – w razie takiej potrzeby.

Łysiejący mężczyzna skierował wzrok na Wintersa – podobnie uważny i badawczy, jak spojrzenie Chrisa. W jego oczach Winters odczytał wyraz zdumienia, zaskoczenia – i strachu. Stawały się coraz bardziej okrągłe, zdziwione, pewnie z tego powodu, że w końcu spostrzegł, że u pasa przybysza wisi pusta pochwa kordelasu.

Nie stało mu już czasu na zrozumienie, co to oznacza.

Wybuch rogu z prochem pod oknem przypominał strzał z hakownicy, stłumiony przez grube ściany. Kwadratowe płyty szyb w oknie zaczęły świergotliwie brzęczeć, poruszone podmuchem. Jedna z nich pękła. Wszyscy odwrócili głowy – wszyscy, z wyjątkiem Wintersa i łysiejącego mężczyzny, nadal nic niepojmującym wzrokiem wpatrującego się w pustą pochwę puginału.

Aaron cały czas trzymał Małego Smugacza w lewej dłoni, ukrytego za

nadgarstkiem i kciącą ręki. Szybkim wymachem ręki rzucił kordelas, celując w gardło towarzysza Chrisa.

Długi nóż świsnął.

W oczach lysiejącego mężczyzny pozostał już wyraz zdziwienia. Zdażył jeszcze uchwycić dłońmi za rękojeść sztyletu, tkwiącego głęboko w tchawicy, może chcąc wyrwać ostrze, ale już nie miał na to siły. Zwalił się na ziemię jak pień, przecięty nagłym uderzeniem topora, kopnął kilka razy nogami i zastygł w kałuży cieknącej z szyi krwi.

Kiedy kordelas leciał jeszcze w powietrzu, Winters wyciągnął kord, a drugą ręką króciąc, kciukiem odwodząc kurek.

Kątem oka dostrzegł ciemny, kudłaty kształt Cukierka, ze zduszonym charkotem skaczącego w stronę następnego stolika i zaciskającego paszczękę na nadgarstku człowieka z widelcem, próbującego osłonić twarz. Kości chrupnęły, miażdżone naciskiem potężnych kłów.

Okragły przedmiot w ręku Chrisa zwrócił się w stronę Aarona. Ciemny wylot metalowego walca, przypominającego lufę kołysał się w górę i w dół, coraz wolniej i ciaśniej, jakby przejęty strachem siwowłosy mężczyzna rozpaczliwie próbował uspokoić rozedrganie mięśni.

Nie zdażył. Dwa długie kroki Wintersa do przodu wystarczyły, aby mógł zadać cios. Głownia Smugacza chlasnęła w rękę trzymającą broń, przerażając ją prawie na pół. Ramię dzierżące kord cofnęło się i natychmiast wyprostowało gwałtownie, zadając pchnięcie w dół ciała.

Kiedy sztych Smugacza rozdzierał skórę brzucha i wdzierał się wewnątrz, coś mlasnęło, jak bulgocze zatechły szlam rozwierający się po upadku kamienia.

Chris jęknął – płaczkliwie i cienko, jak dziecko nagle przeszyte targającym trzewia bólem. Z wysiłkiem oparł ręce na ramionach Wintersa, może chcąc się o nie wesprzeć.

Winters strzelił, kładąc pistolet na ramieniu mężczyzny, a potem głowicą kolby zdzielił człowieka o siwej czuprynie w skroń.

Jeden z mężczyzn przy drugim stoliku, trafiony kulą, upadł do tyłu, na wznak, nie mając prawie połowy twarzy.

Coś uderzyło w czoło Wintersa, prawie go oślepiając. Podmuchał, huk, błysk, rażący źrenice plamą czerwonego światła. Potrząsnął głową. Już wiedział – nietrafiony strzał, pocisk przelatujący obok ucha. Usłyszał następny wystrzał, łomot z tyłu, za plecami, jakby coś zawałilo się na ziemię.

I przeraźliwie cienki ludzki głos, przypominający kwik prowadzonego na ubój prosiaka, przeczuwającego już, co go czeka.

Dał dwa dalsze kroki naprzód. Smugacz uderzył, prawie bez wiedzy Aarona, jakby dłoń sama wiedziała, co ma robić – płasko, na odlew, odrabując komuś szczękę.

Oczy Wintersa dostrzegły człowieka siedzącego na podłodze i tulącego do piersi rękę z bezwładnie zwisającą dłonią, niemal do szczętu odgryzioną, trzymającą się na kilku włóknach skóry. W kałuży krwi pomiędzy stopami mężczyzny leżał porzucony widelec. I Cukierka, wgryzionego w twarz kogoś opartego o ścianę, z pobielalymi z trwogi źrenicami bez wyrazu, wydającego z siebie ten jęczący, świński jazgot.

Cios kordu przeciął gardło mężczyźnie patrzącemu w otępieniu na niedawno jeszcze sprawną dłoń, przypominającą teraz kawalek nie do końca przerąbanej bydlęcej kości, a następny rozwalil czerep mężczyzny, nieporadnie próbującego rozewrzeć szczęki mastifa.

Brytan odskoczył.

Człowiek przy ścianie – bez nosa, bez jednego oka, prawie bez policzków, z zalepionymi krwią włosami – wolno osunął na podłogę, już w milczeniu.

Winters przetarł twarz.

Brytan zniżył leb i wyciągnął pysk w stronę niezakrzepłej kałuży obok przewróconego stolika. – Nie chłęcz krwi. – Winters wyciągnął płasko rękę, dając znak, żeby Cukierek usiadał. Pies niechętnie posłuchał. – Nie pij – powtórzył głucho. – To nie szlachtowanie świń na zimę. To ludzie.

Poprawił przekrzywiony kapelusz.

Dziwnym trafem stolik niedawno zajmowany przez Chrisa i lysiejącego mężczyznę nadal stał, z rozłożoną plachtą, przypominającą mapę. Winters spojrzal na nią z góry, na szereg znaków, rysunczków, barwnych plam, pulsujących linii, cyfr. Nie potrafił nic odczytać. Zdawało mu się, że niektóre znaki są mu znane, lecz zaraz znikaly. Przez chwilę widzial trzy większe, czarne rysunki, przypominające ceglane wieże, istniejące w Mieście. Dotknął dłonią gładkiego arkusza, ale wtedy obraz ściemniał. Zniknął.

Pewnymi uderzeniami kordu Winters posiekał rozłożoną, dziwną kartę na strzępy, ze zdziwieniem obserwując przeskakowanie szybko gasnących, niebieskawych iskier między coraz to mniejszymi kawalkami. – Załóż mi opatrunek... Proszę, załóż opatrunek. Połknąłem kapsułkę regeneracyjną, ale miałem tylko jedną.

Muszkietier ledwo słyszał głos mężczyzny o siwych włosach, leżącego na podłodze. Jeszcze żył. Sprawną ręką dociskał kurtkę do brzucha, chcąc zatamować upływ krwi. Drugie ramię leżało bezwładnie na podłodze, z odgiętą w bok siłą, ściśniętą w pięść dłońią. Głęboka rana na nadgarstku wyglądała na zasklepioną.

Aaron wziął jedno z krzesel i postawił obok. Usiadł, opierając dłonie o gardę kordu. – To nic nie da. – Winters potrząsnął głową. – Dziwne, że jeszcze żyjesz. Musisz umrzeć i dobrze o tym wiesz. Lepiej przygotuj się na spotkanie ze Stwórcą.– Załóż mi opatrunek, jeżeli masz – powtórzył Chris. – Proszę, załóż. – Jeżeli tego pragniesz przed śmiercią... – Aaron włożył dłoń za pazuchę. Nosił tam dwa bandaże z szarpi i gorczycowy kataplazm. Sprawnie rozciął kordem kurtkę, przyłożył kataplazm, a potem nałożył szarpie. Ułożył z powrotem w tym miejscu dłoń Chrisa. – To cię nie uratuje, tylko przedłuży agonię.

Patrzył w milczeniu na bladą twarz umierającego. Skóra powoli przybierała już trupi odcień. – Powiedz lepiej, czym jest Brama? – Winters oblizwał wargi. Miał chęć czegoś się napić, ale nie chciało mu się wstać. Krzesło okazało się niespodziewanie bardzo wygodne i Aaron z rozkoszą wyciągnął nogi. – Dlaczego porywaliście dzieci?

– Są trzy Bramy. Każda z nich to przejście do innego świata. – Chris bez zmrużenia powiek wpatrywał się w twarz Wintersa. Mówił z wysiłkiem. – Początki przesmyków czasoprzestrzeni wiodących do naszego macierzystego globu. Dawno temu twoi i moi przodkowie przenieśli tu życie. Ludzi. Wcale nie porywaliśmy tych dzieciaków, tylko pragnęliśmy je ocalić. Rozumiesz, co mówię? – Pojmuję – wolno odpowiedział Winters – choć niektóre słowa są mi nieznanne. Lecz mylisz się, może już majaczysz. Życie tutaj stworzył Bóg. Niekiedy nazywamy go po prostu Panem – albo Stwórcą. Ulepił mężczyznę i kobietę z gliny i tchnął w nich życie, obdarzając zarazem duszami. Tak samo postąpił z wami, jeżeli to, co twierdzisz, jest prawdą. – Chciałem ci wszystko wytłumaczyć, lecz nie dałeś mi żadnej szansy. – Chris oddychał z wysiłkiem. Winters dłońią przetarł mu czoło mokre od potu. – Wasz świat to zapomniana kolonia karna. Dawno temu zsyłaliśmy tu morderców, gwałcicieli i psychopatów. Szaleńców. Osobników będących wytworem nieudanych eksperymentów genetycznych. Prawdopodobnie jesteś – ciągnął z widocznym trudem – potomkiem kogoś o źle udoskonalonej cielesności. Ty i twoje mordercze psisko, bo przysyłaliśmy tu też zwierzęta.

Zamilkł. Jęknął głośno. Dłoń Chrisa przycisnęła mocniej do ciała wybrzuszoną fałdę kurtki, zakrywającą kataplazm i opatrunek.

– Straciliśmy nad wami kontrolę – podjął po chwili. – Wyzwoliliście się. To, co nazywacie ruinami, to pozostałości dawnych więzień. Zakładów psychiatrycznych, nie wiadomo już nawet do końca czego. Chcieliśmy uratować dzieci, bo one mają jeszcze szansę na zmianę. Wyrwać je stąd.

– A reszta? – Winters spojrzał uważnie na blednącą twarz. Nie chciał wierzyć w to, o czym mówił Chris. Nie chciał, ale dobrze wiedział, że umierający człowiek nie kłamie. Znal to. Wielokrotnie już słuchał urywanych zdań konających. – Cóż się miało stać z nami?

– Nie mogliśmy was wszystkich zabrać, więc mieliście się wzajemnie wybić – z trudem odpowiedział Chris. – Dostarczaliśmy wam przez Bramy nową broń.

– Jesteśmy przecież ludźmi, tak jak wy. – Winters nagle poczuł zmęczenie. – Mamy Pismo, wierzymy w Boga. Jesteśmy ludźmi.

– Pismo... – powtórzył Chris.

Wydawało się, że próbuje się uśmiechnąć.

– Pismo – ciągnął z cieniem szyderczego uśmiechu w kąciuku bezkrwistych warg – a tak, zostało przez nas stworzone. Ktoś wpadł na pomysł, aby spróbować ucywilizować ten świat. Dać wam jakiś wzorzec postępowania. Więc stworzono Pismo, zbiorek przeróżnych opowieści z najrozmaitszych religii, dość przy tym prosty, żebyście nie męczyci się przy czytaniu.

Palce Aarona Wintersa zacisnęły się na rękojeści Smugacza.

– Pismo... – powtórzył człowiek, leżący na podłodze. – Naprawdę w nie wierzycie?

– Łżesz, mówiąc o Piśmie. Po prostu kłamiesz, nawet w chwili śmierci. Może nie znasz prawdy. Nie wiesz, czym jest prawda. Błuźnisz.

Głos Wintersa przepelniał gniew. Wstając, kopnięciem przewrócił krzesło na podłogę.

W niekontrolowanym porywie furii zadał cios. Splótł dłonie, wznosił kord i uderzył z całej siły, przebijając ciało na wylot.

W spazmatycznym odruchu lędźwie mężczyzny niespodziewanie poderwały się do góry, a potem zsunęły po ostrzu w dół. Chris jeszcze coś szeptał, nieoczekiwanie wyraźnie. Aaron nachylił się, aby lepiej słyszeć.

– Nawet, jeżeli nie pojmowałem znaczenia Pisma, to teraz je w końcu zrozumiałem...

Oczy mężczyzny o siwych włosach stały się szkliste. Na ustach zastygł lekki, dziwnie szczęśliwy uśmiech.

Nieoczekiwanie czułym i delikatnym gestem Aaron Winters zamknął powieki niewidzących już źrenic.

Drzwi ponownie skrzypnęły, kiedy muszkieter wychodził na podworec.

Dwie dziecięce sylwetki, siedzące pod szopą, zerwały się z miejsca. Zaczęły biec.

– Oddaj rękawice – Aaron wyciągnął rękę do chłopca. – Nie będą ci potrzebne, a mnie się jeszcze na pewno przydadzą.

Trupy pochowali wspólnie.

Aaron wykopał głęboki grób pod jedną z szop, Jonathan nazbierał sporo kamieni, a Jennifer wyszukała dwa mocne, suche konary różnej długości i związała je starannie długim rzemieniem, tworząc krzyż. Wcześniej Aaron wyciosał dwa wgłębienia, aby złączenie stało się spoiste. Dziewczynka uważała, że ma za mało pracy, więc, oblizując wargi, usunęła jeszcze Małym Smugaczem korę i nierówności drewna, starając się, aby powierzchnia stała się możliwie jak najbardziej gładka. Potem ponownie zaciągnęła supel spajający zwykle kawałki drewna w jedność, tak zdecydowanie, że skórzany sznurek wpil się w jej drobne dłonie.

Jonathan dziwił się, po co Wintersowi potrzebne są polne otoczaki i ułamki skał, tkwiące w ziemi. Aaron wytłumaczył mu, że idzie o dzikie zwierzęta.

– Nie wyciągną ciał na powierzchnię i nie rozszarpią ich na strzępy – stwierdził, kiwając głową. – Zabiłem morderców, takich jak ja, ale zmarłym należy się szacunek. Pamiętaj o tym.

Wspólnie z Jonathanem ułożyli zwłoki w dole. Nie rzucali – ułożyli. Jennifer nakryła je grubymi płaszczami z kapturami, uszytymi z tej gładkiej i śliskiej tkaniny, znalezionymi w małej izbie z tyłu głównego budynku.

Winters zasypał mogiłę i ubił rydlem ziemię, chłopiec osadził krzyż, a dziewczynka odmówiła modlitwy – „Ojcze nasz” i „Zdrowaś Maryjo”. Jeszcze wcześniej, zaraz po tym jak Jennifer przyniosła te dwa związane ze sobą konary, Winters czubkiem głowni Małego Smugacza wyrzezał na poziomej części krzyża po lewej stronie imię „Chris”, a po prawej pięć małych krzyżyków. Uczynił to starannie, najlepiej jak umiał, tak jak starał się

czynić wszystko w swoim życiu. Literki wyszły nieco koślawo, lecz dało się je bez kłopotu odczytać.

Potem umyli ręce i twarze. Winters dał dzieciakom po jabłku – dużo jeszcze miał ich w sakwie.

Przysiedli na kilku grubych balach leżących pod ścianą jednego z budynków. Wtedy Aaron opowiedział wszystko to, co przekazał mu człowiek o siwych włosach.

Nie opisywał walki – jeszcze wczoraj tak by uczynił, aby nauczyć Jonathana, jak ma postępować. Może nawet pozwoliłby mu wykonać kilka prostych cięć Smugaczem. I jakieś pchnięcie, na całą długość ramienia, z nachyleniem torsu do przodu.

Ale już nie teraz – nie teraz, kiedy dowiedział się, jaki naprawdę jest otaczający go świat.

– Powinniście przejść przez Bramę – zakończył. – Porzucić to miejsce. – Ręka Wintersa wykonała szeroki gest, obejmujący karczmę, stodołę, dwie przysadziste szopy i niepokazny grób z spacerującymi obok gołębiami. Kilka z nich gruchało głośno, może dlatego, że znalazły pożywienie, a może bez powodu, po prostu ciesząc się ciepłotą ładnego dnia. – Traficie do innego świata, sądzę, że lepszego. Prędko zapomnicie o tym, co was kiedyś otaczało. Chris w tym miał rację, jesteście jeszcze dziećmi.

Usta Jonathana zacisnęły się w wąską szparę. Jego siostra w milczeniu grzebała chodakiem w ziemi.

– Oni zabili naszych rodziców – zauważył chłopiec, wypluwając skórkę soczystego owocu na ziemię.

Jeden z gołębi podreptał w stronę dzieci. Cukierek leniwie podniósł łeb. Pies wyglądał tak, jakby miał zamiar ułożyć się do drzemki.

– Niczym się od nas nie różnią – kontynuował Jonathan. – Dobrze o tym wiesz, Aaronie. Miejsce za Bramą może być takie samo.

– Zostali za to ukarani, tak jak pragnęliście. – Winters zmarszczył brwi. – Otrzymali sprawiedliwa odplątę. Postępowali niegodziwie, lecz ich zamiary w stosunku do małych dzieci nie stanowiły grzechu. Pragnęli odpokutować za spowodowane zło. Chcieli uczynić dobrze, tylko nie potrafili powiedzieć, dlaczego tak postępują. I ich pokuta miała lichą, niepełną miarę. Znowu osądzali, kto jest sprawiedliwy, a kto nie. Nie posiadali takiego prawa.

Cukierek wyciągnął się wygodnie, podkułił przednie łapy pod brzuch i ziewnął. Zaczął chrapać.

– Nie posiadali - powtórzył Winters. – Żyli w pysze – ciągnął – i to ich zgubiło. Natomiast...

Twarz Wintersa steżała w grymasie gniewu.

– Natomiast – ciągnął – Bóg nie przebaczy im tego, co zamierzali uczynić z pozostałymi: wzniesienia wzajemnej rzezi. Nienawiści. Starając się zadośćuczynić za zło, godzili się z tym, że popelnia następne. Nie znali też prawdy o istocie ludzkiej. Sądzi, że my tutaj, dorastając, stajemy się bydlętami.

Gniewny głos muszkietera obudził brytana. Podniósł się, wpatrując się uważnie w swojego pana.

Milczeli przez chwilę. Jennifer ssła palec, Jonathan rzucił przed siebie drobnymi kamyczkami. Aaron wskazał dłonią na Cukierka, siedzącego obok niego.

– Nie znali nawet prawdy o zwierzętach – zakończył, spluwając na ziemię. – Ten oto pies, istota bez duszy, więcej wie i rozumie, niż oni pojmowali. Ale tam, za Bramą, będzie wam lepiej. Pozbywali się naszych przodków, bo chcieli mieć świat bez grzechu. Więc, tam taki pewnie jest. Wierzę w to.

Kilka długich, wąskich obciosów pni leżało obok stóp Jennifer. Machinalnie wzięła jeden do ręki.

Cukierek zerwał się miejsca. Dziewczynka zamachnęła się i rzuciła kawałek drewna – najdalej, jak tylko umiała. Pies, podskakując, pobiegł za nim, złapał w wielkie zęby i, kręcąc łbem, wrócił z powrotem. Ułożył szczapę przed Jennifer, jakby czekał na ponowny machnięcie dziecięcej ręki i okazję do zabawy.

Zaniepokojone gołębie zerwały się miejsca i odfrunęły. Zatoczyły kolo w powietrzu, a potem wróciły i przysiadły na grobie. Dwa największe wybrały sobie miejsce na poprzeczce krzyża.

– Lękaś się odejścia stąd. Powiem jedno. – Winters uważnie przyglądał się wielkiemu mastifowi. Brytan do tej pory nigdy tak się nie zachowywał. Wyciągnął palec w kierunku Jennifer. – Ciebie niebawem zgwałcą. Zostaniesz dziewczką u jednego z farmerów i będziesz tyrać u niego od świtu do nocy. Umrzesz młodo, tak jak większość z nas, tak jak skona twój brat.

Palec powędrował w stronę Jonathana.

– Ciebie zatłuką w jakieś bójce albo ktoś cię zarżnie, bo polakomi się na nowy kaftan, będący łaskawą zapłatą za pracę, przedmiot twojej dumy. Wiedz o tym.

Winters zaśmiał się.

– Wypierze go – ciągnął z namysłem – i będzie w nim paradował do czasu, aż komuś następnemu się nie spodoba. Tak tutaj toczy się życie. Ale to się zmieni.

Kawałek drewna znowu śmignął w powietrzu. Pies pobiegł za nim pędem, tym razem nieco podskakując.

Aaron Winters nie powiedział dzieciakom jednego – nie sądził, aby należało to uczynić. Myślał o tym, kiedy znosił zwłoki na podwórzec, kiedy kopał grób i potem, gdy dziewczynka z przejęciem odmawiała modlitwy czystym, jasno brzmiącym głosem.

Wtedy się zdecydował. Nie uważał jednak, że Jennifer i Jonathan powinni coś wiedzieć. Coś, co mogło jednak, mimo wszystko, skalać ich dusze. Uczynić ich zabójcami.

– Rodzice starali się, jak mogli, abyśmy żyli inaczej jak oni. – Jennifer grzebała chodakiem w ziemi. Zdążyła już wyryć niewielką dziurkę. Cukierek zaczął ją obwąchiwać, pewnie zaciekawiony tym, czego szuka dziewczynka. – Czasami mama mi o tym mówiła. Bardzo nas kochali, wiemy o tym.

Opuściła wiotką dłoń z niedojedzonym jabłkiem. Niespodziewanie Cukierek zamasyżuje polizał jej palce. Raz, a potem drugi. Zdążył już wrócić i ponownie ułożyć w tym samym miejscu trzymany w pysku odłamek drewnianego kloca.

– Mówiłem już: tamci ludzie w karczmie chcieli postąpić dobrze, lecz źle to wykonali, bo ich umysły opanowała pycha. – Winters przeciągnął dłonią po wąsach. – Moi rodzice też pragnęli żyć w pokoju. Myśleli, że stanę się ich podporą na starość. Nie pojmowali tylko, że stali się ludzką mierzwą. Nie wiedzieli o tym, lecz stanowili po prostu mierzwę. Za Bramą możecie tego uniknąć.

W głosie Aarona, wspominającego młodość, zabrzmiała gorycz.

– Tam – mówiąc to, Winters wskazał dłonią wąski trakt – przestaniecie być ludzkim gnojem.

Aaron miał pewność, że ten szlak prowadzi do przejścia wiodącego do innego świata. Drogę wykonano niedawno. Nie nosiła żadnych śladów i szybko kryła się w kniei. Tam, gdzie się nieco obniżała i w czasie deszczów mogły tworzyć się rozlewiska wody, wzmocniono ją starannie ułożonymi, płaskimi kamieniami.

– Aaronie, naradzimy się – Jonathan wstał. – Może i masz rację.

Odeszli kilkanaście kroków. Cukierek pobiegł za nimi, kręcąc ogonem, z kawałkiem drewna w pysku.

Winters patrzył na nich uważnie. Nie słyszał słów – widział tylko ruchy rąk, kiwanie albo kręcenie głowami, wiercenie przez Jennifer chodakiem w ziemi, machnięcia reki dziewczynki, a potem chłopca, kiedy rzucali patyki Cukierkowi. Pies się o to dopominał, coraz częściej donośnie szczekając.

Potem to ustало. Wracali powoli, Jennifer płakała.

Aaron znalazł już postanowienie podjęte przez rodzeństwo.

Tak jak przypuszczał, dziewczynka kiwnęła głową.

– Idźcie już do Bramy. – Winters ręką pokazał kierunek. – Na pewno jest blisko. Miejsce na karcznię wybrali świadomie. Nie może znajdować się w wielkim oddaleniu od Przejścia. Znajdziesz Bramę bez trudności, Jonathanie.

Sakwę chłopca – mały worek z doszytym pośpiesznie przez Jennifer sznurem – wypełniały chleb, sporo wędzonki i kilkanaście tych dziwnych, okrągłych puszek, zawierających jedzenie. Aaron dał mu jeszcze nóż znaleziony przy jednym z trupów i całkiem dobre krzesiwo, krzemień i hubkę, po prostu leżące na okapie kominka. Chłopak przeszukał też oboje, zabierając znaleziony w szopie toporek i stary koc, walający się na zatecznym sianie w stodole.

Winters sądził, że mocno już dziurawa tkanina służyła kiedyś spętany dzieciakom za przykrycie w nocy, a potem ktoś cisnął ją w róg sąsiedku. Miała ją nieść Jennifer. Aaron podarował rodzeństwu nową, skórzaną derkę, uznając, że Cukierek może się bez niej obejść. Zrolowana i związana rzemieniami, leżała na ramieniu Jonathanana.

Skończyli przygotowania i teraz dzieciakom, gotowym do drogi, pozostawało tylko jedno – odejść, tak samo jak Wintersowi, także gotowemu udać się w przeciwną stronę.

Patrzyli na siebie w milczeniu.

Jennifer i Jonathan z zadartymi głowami przyglądali się górującej nad nimi wysokiej postaci o długich nogach i rękach, w sutym, faldzistym płaszczu do kostek, wytartym kolecie i przewieszonym przez ramię znoszonym pendencie, podtrzymującym pochwę Smugacza. Patrzyli na szerokie, silne dłonie o długich palcach, wsparte o rękojeść kordu. Na śmieszny, wysoki kapelusz z małym rondem, surową twarz z orlim nosem, krzaczastymi brwiami, rudawymi węsami i policzkiem przeciętym prawie zarośniętą już blizną.

Winters przypatrywał się twarzom dwóch małych postaci stojących pośrodku gościńca, zaczerwienionym i zapuchniętym oczom dziewczynki, niepewnej minie Jonathana, pociągającego nosem, jakby chciał je dobrze zapamiętać.

– Ruszajcie. – Winters machnął dłonią. – Idźcie.

Dzieci odwróciły się i poszły. Cukierek pobiegł za nimi, żwawo, podskakując i kręcąc łbem. Szczekał.

Dwoje dzieci zmierzało przed siebie, a pies im towarzyszył, teraz wolnym, miarowym truchtem. Raz tylko Jennifer odwróciła się i pomachała ręką.

Winters stał w milczeniu, z zaciśniętymi ustami. Patrzył na zmniejszające się sylwetki, na mastifa, idącego już z przodu, tak jak zwykle podczas marszu.

Ręka muszkietera kurczowo zaciśnęła się na gardzie Smugacza.

Nagle Cukierek stanął. Odwrócił się i pędem puścił w stronę Wintersa, tak szybko, jak tylko potrafił.

Zziajany dobiegł do muszkietera i usiadł przy nodze.

Dłoń Aarona rozprostowała się i zsunęła na pas.

– Dobry z ciebie pies – powiedział chrypliwym, nisko brzmiącym głosem. – Prawdziwy przyjaciel, a mam cię dzięki łasce Pana.

Wilgotny koniuszek nosa mastifa drgał, chłonąc jeszcze zapach oddalających się figurek, jakby chciał je dobrze zapamiętać.

Brytan pisnął. Dwie małe sylwetki zbliżały się już do zakrętu drogi pomiędzy niewielkim wzgórkami. Trwało jeszcze chwilę, zanim człowiek i pies stracili je z oczu.

– Już ich nie spotkamy. – Winters obrócił się na pięcie. – Mamy, Cukierku, pracę do wykonania, a ty mi w niej pomożesz. Lecz najpierw coś ci wyznam. Coś, o czym nigdy nie mówiłem. W głębi mojej grzesznej duszy – ciągnął – modłę się po cichu każdego wieczoru, aby wtedy, kiedy zginiesz, tak jak i ja zginę, Bóg dał ci duszę. Wiem, że może tak uczynić.

W głosie Wintersa zabrzmiała niezachwiana wiara.

– To wielka prośba, może nawet i bluźniercza. Lecz Pan może ją spełnić, jeżeli wykonam powierzone zadanie – z uniesieniem ciągnął Winters. – Wtedy, kiedy po śmierci odpokutuję winy, będziemy się mogli znowu spotkać – i wspólnie strzec Pana przed jego nieprzyjaciółmi.

Mastif przekrzywił łeb. Może ten niski i poważny ton głosu Wintersa, pelen tłumionej namiętności, zwrócił jego uwagę.

Aaron odwrócił się. Ruszył przed siebie, długim, miarowym krokiem dawnego muszkietera, potrafiącego maszerować bez zmęczenia przez cały dzień.

Droga przez szachownicę łąk i pól sprawiała wrażenie bardziej uczęszczanej – piach i żwir ubiły kopyta koni i wołów, a w paru miejscach Winters dojrzał wąskie wgłębienia, pozostawione przez metalowe obręcze drewnianych kół chłopskich wozów. Sądził, że trakt szybko zaprowadzi go do jakiejś wsi, może i niewielkiej osady.

Wielka knieja ciemniała na widnokręgu, coraz bardziej się oddalając.

Winters nie powiedział psu jednego. Uważał, że wierny brytan może tego nie zrozumieć. Mogłoby być to dla niego zbyt trudne.

Zamierzał odnaleźć i wysadzić w powietrze wszystkie trzy Bramy, a potem uczynić otaczający go świat sprawiedliwym, tak jak nauczało Pismo. Wiedział, że będzie musiał zabić wielu ludzi – miał tego świadomość i czuł się na to gotowy.

Nie uważał, żeby wyszukanie i zniszczenie Przejść okazało się szczególnie trudne. Proch dużo kosztował, lecz kilka rot na pewno dysponowało jeszcze sporymi jego zapasami. Zwerbujecie jedną z nich. W pobliżu Bram musiały znajdować się magazyny ze strzelbami skalkowymi i tymi nowymi machinami – mitraliezami. Ich sprzedaż okaże się wielce zyskowna, przyniesie nowe środki. Opłaci towarzyszy – i wtedy powie im, co zamierza później uczynić.

Daleko, na linii lizjery lasu, dostrzegł kilkanaście postaci. Wytężył wzrok.

Aaron doskonale widział. Nikomu o tym nie wspominał, lecz potrafił – tak mu się wydawało – dostosować patrzenie źrenic do odległości. Spotkał już kilku takich ludzi. Inni równie dobrze słyszeli z daleka, tak jak on dostrzegł z oddali wiele drobnych szczegółów.

Spoglądał na niewielkie figurki ludzi, zmierzające w jego kierunku, wędrowców w długich płaszczach i wysokich kapeluszach. Policzył je – dwanaście postaci, idących różnym krokiem.

Pewnie – pomyślał – to jakaś część dawnego wolnego zastępu, poszukująca nowego zajęcia. Bóg ich sprowadził w to miejsce. Łącznie z Cukierkiem będą miał trzynastu towarzyszy.

Poczuł radość. Uniesienie, czyniące go dziwnie lekkim, a to, co zamierzał uczynić, oczywistym i prostym.

Człowiek o imieniu Chris nie znalazł prawdy, mówiąc, że Pismo jest zbiorem historii, skleconych naprędce dla garstki morderców, gwałcicieli i ludzi obłąkanych, rozpaczliwie szukających znaku ocalenia duszy. Chris nie kłamał, wypowiadając te dziwne słowa parę chwil przed śmiercią. Po prostu nie znalazł prawdy.

Winters przyspieszył kroku.

Wierzył, że Bóg, sprowadzając w poblizę karczmy – i Bramy – strzelców z podobnej rotacji daje kolejny znak. Sygnał, że chce, aby Winters zrealizował swój zamiar – pragnienie, aby tacy ludzie, jak rodzice Jennifer i Jonathana, a także jego bliscy, koloniści i wszyscy pozostali przestali być zwykłą, ludzką mierzwą, a otaczający go świat stał się sprawiedliwy, zgodnie z naukami Pisma.

W umyśle człowieka w skórzanym kolecie i długim płaszczu, w wysokim kapeluszu na głowie, nieśmiało kołatało się pytanie, czy Pan nie wybrał go jednym z proroków. Nie śmiał tego rozważać, bo byłoby to bluźnierstwem, a miał pewność, że, jeżeli tak jest, Stwórca jakoś mu to przekaże. Może nawet zezwoli na napisanie kolejnej przypowieści i dołączenie jej do Pisma.

Winters nie chciał głębiej rozważyć tej myśli. Pomyślał, że wcale nie musi się spieszyć. Pan da mu znak.

Miał teraz chwilę czasu na zerknięcie w karty Pisma, a dawno już tego nie czynił.

Przystanął.

Starannie rozwiązał węzeł na splachciu białej tkaniny, chroniącej wolumen. Poszukał dębowego listka.

Zwykle Winters czytał pierwsze wersy stronnicy z lewej strony, zawsze ciekaw, czego doświadczy, wnikając w treść przypowieści.

Wolno, wyraźnie akcentując zgłoski, tak jak wtedy, kiedy zwracał się do mężczyzny grzebiącego widelcem w dziwnym naczyniu, teraz już martwego, przeczytał na głos pierwsze dwie linijki tekstu:

„Chociażbym chodził ciemną doliną, zła się nie ulękne, bo Ty jesteś ze mną. Twój kij i Twoja laska są tym, co mnie pociesza.”

Mastif spoglądał na niego uważnie. Na ciemnym pysku uwydatniały się liczne, rdzawe plamki – zaschnięte krople ludzkiej krwi.

10 grudnia 2012 r.

White Creek

– Nazywam się Hawkes. Długo będzie pan gościł u nas?

Miejscowy kowal podrapał się po nosie. Duża tablica na ścianie kuźni obwieszczala, że w jego stajni można zostawiać konie i muły.

– Jestem John Stuart. Wyjadę jutro, może pojutrze – ze znużeniem odpowiedział Stuart.

Stuart czuł zmęczenie wszystkich mięśni. Ocierając pot z czoła, zdał sobie sprawę, jak bardzo jest utrudzony długą drogą, codziennym wyskrobywaniem z patelni fasoli z boczkiem i spaniem z głową na siodle. Może najbardziej męczył go kurz, od świtu do wieczora wciskający się na szlaku do gardła. I upał powodujący ucisk w skroniach. Od wczoraj zaczęła go boleć lewa noga, przypominając, że rok temu oberwał w nią kilkunastoma grubymi śrucinami.

– Właściwie za dwa dni – zdecydował Stuart. – Muszę się porządnie wymyć, wyspać i uczciwie najeść.

Do tej pory nigdy nie zatrzymywał się w White Creek. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek przejeżdżał przez tę miejscinę. White Creek wyglądało na spokojne i senne miasteczko, mogące zapewnić wszystko, czego potrzebował. Na pewno mieszkańcy mieli hotel, saloon i jadłodajnię. W garkuchni w końcu zjadłby coś innego niż strawę cierpliwie żutą przez ostatni tydzień.

Stuart sądził, że nawet najpodlejsze danie z kuchennego pieca będzie o niebo smaczniejsze od ciągle odgrzewanej słoniny i stęchłego chleba, popijanych mdlą, coraz bardziej lurowatą kawą.

Musieli dysponować też miejscem, w którym mógłby się porządnie wyszorować.

– Dwadzieścia pięć centów za dzień pobytu w stajni, obojętnie, czy to koń, czy mul. – Hawkes głośno chrząknął. – W tej cenie dobry obrok, szczotkowanie zwierząt i sprawdzenie, czy nie wymagają podkucia. Za pańskiego konia i muła razem będzie jeden dolar.

Powietrze drgało nagrzane upałem, ale mimo to z kuźni wyraźnie emanował żar. Hawkes odkuwał podkowy. Wysoki, rudy wyrostek długim drągiem poruszał skrzypiący miech, ciągle podsycając ogień w palenisku.

Kowal miał na sobie tylko cajągowe spodnie i skórzany fartuch. Co parę minut długimi szczypcami wyciągał kolejną sztabkę rozgrzanego do czerwoności żelaza, po czym uderzeniami młota spłaszczal i formował podkowę. Obrobiony metal wrzucał do wiadra z wodą.

W przerwach pomiędzy wykuciem następnej sztuki rozmawiał ze Stuartem.

– Dobrze. – Stuart pokiywał głową. – Niech pan je też od razu napoi.

Cena przedstawiała się zachęcająco, a stajnia wyglądała wyjątkowo porządnie.

Zsiadł z konia. Wyciągnął rękę i podał srebrną monetę Hawkesowi.

– Przerwa, Joshua! – krzyknął kowal. – Zmień wodę w cebrzyku!

Dopiero teraz Stuart zdał sobie sprawę, jak wysokim i potężnym mężczyzną jest Hawkes.

Patrząc na Stuarta, nikt nie powiedziałby, że jest ułomkiem. Miał nieco ponad sześć stóp i cztery cale wzrostu, mocne barki i silne ramiona. Ale właściciel stajni przerastał go więcej niż o głowę. Długie ręce kowala z potężnymi bicepsami, wypukły, masywny tors, unoszący do góry skórzany kitel znamionowały niepospolitą siłę.

Słońce prażyło, ale na opalonej twarzy Hawkesa nie lśniła nawet kropla potu. Czoło i policzki znaczyła spora ilość większych i mniejszych ciemnych wgłębień, nieprzypominających jednak śladów po ospie.

W tej kuźni wyparowało z niego wszystko oprócz krwi – pomyślał z niechęcią Stuart, czując, że strużka potu ścieka mu po karku. – *Opilki żelaza naznaczyły jego twarz, pewnie już na zawsze.*

Zauważył coś dziwnie niepokojącego w widoku wielkiej jak łopata dłoni Hawkesa, odbierającej należność. Miała sześć palców.

Stuart kaszlnął. Pierwszy raz w życiu widział człowieka o sześciu palcach dłoni. W głębi ducha musiał przyznać, że widok dwóch palców wskazujących u jednej ręki sprawiał nieco dziwne wrażenie.

Wiedział, że nie jest to jego sprawa, ale nie zastanawiał się, czy dobrze postępuje, pytając kowala o nienaturalny wygląd dłoni.

– Jak to się stało?

Wskazał ręką na palce kowala, obracające srebrną monetę.

Zaraz po tym, jak zadał to pytanie, pożałował, że tak uczynił. Pomyślał, że brzmi ono tak, jakby zagadnął garbatego, dlaczego jego plecy nie są proste. Poczul, że przenika go uczucie wstydu.

Hawkes nie obraził się.

– Po prostu taki się urodziłem, panie Stuart...

Kowal uśmiechnął się lekko.

– Ta moja dziwna ręka często się przydaje – kontynuował z tym samym, może pogardliwym skrzywieniem warg, jakby wyjaśniał najoczywistszą w świecie sprawę. – Sześć palców to nie to samo, co pięć.

– Pewnie tak – bąknął pod nosem Stuart, chcąc zakończyć rozmowę. – Pan to wie lepiej, Hawkes.

Chłopak obsługujący miech wolnym krokiem odprowadził konia i muła do stajni. Też imponował wzrostem, jak na swój wiek.

– Wybudowaliście tutaj hotel?

Stuart pragnął upewnić się, czy nie popełnia pomyłki, planując dwudniowy postój.

– Mamy hotel, a niedaleko stoi piękny dom pani Wilkes, prowadzącej w nim bar. – Hawkes zaśmiał się. – Dobre u niej jedzenie. Pieczone ziemniaki z mięsem, jajecznica, pyszne ciasto. Łaźnia jest w hotelu, saloon na parterze, w tym samym budynku.

– Spokojne miejsce, więc będzie pan zadowolony, Stuart – dodał kowal, uprzedzając następne pytanie.

– To dobrze. – Przybysz pokiwał głową. – Odpocznę dzionek i pojedę dalej, nad Rio Pecos.

– Niech mi pan jedno jeszcze powie, Hawkes – dodał Stuart, chcąc wyjaśnić niezrozumiałą i dziwną dla niego sprawę. – Dlaczego wasze miasteczko nazywaliście White Creek? Nie widzę tu nawet kawałka rzeczki.

– Z drugiej strony płynie potok, a jego dno wypełniają białe kamienie. – Hawkes znowu uśmiechnął się. – Dużo ich leży też na brzegu. Domyśla się pan, że strumień nosi nazwę White Creek. Pewnie stąd wzięła się nazwa naszej osady.

– To wszystko wyjaśnia – potwierdził Stuart. – Ładna nazwa.

Musiał jeszcze zrobić coś, o czym zapomniał. U lęku siodła konia wisiała skórzana sakwa. Przechowywał w niej przybory do golenia, lusterko, dwie koszule na zmianę, woreczek z monetami, a także akt kupna farmy nad Rio Pecos. Podręczne rzeczy nie miały wielkiej wartości, ale nie należało zostawiać w stajni pieniędzy i papierów potwierdzających własność ziemi.

– Joshua, podaj mi torbę, przywieszoną do siodła! – krzyknął w kierunku stajni.

– Robi się. Zaraz.

Głos chłopaka z wnętrza stajni stłumiły grube ściany.

Tyczkowaty wyrostek pojawił się w drzwiach szopy, trzymając widły w jednej ręce. *Pewnie od razu nałożył siana do żłobu* – z zadowoleniem pomyślał Stuart.

W drugiej pomocnik kowala dzierzył skórzaną torbę. Wyciągnął rękę w stronę gościa.

Na twarzy młodzieniaszka, niedawno obsługującego miech pobudzający żar palących się szczap drewna, nie widniał nawet ślad potu.

Wyjmując podręczny sakwożaż z dłoni chłopaka John Stuart spostrzegł, że też ma sześć palców u dłoni. Na gołej skórze przedramienia widniały liczne, ciemne punkty, przypominające zabliznione już rany, spowodowane zetknięciem się z rozpalonym drutem.

Stuart pokiwał głową. Ten gest wyrażał podziękowanie, ale i milczące zdziwienie wyglądem niedorostka, nieśmiało uśmiechającego się do niego.

Musiał jeszcze o coś spytać. Pragnął wiedzieć, z jakimi ludźmi będzie się spotykał.

– Myślę, że w czasie wojny mieszkańcy White Creek opowiedzieli się po stronie Unii?

Spodziewał się tylko jednej, potwierdzającej odpowiedzi.

– Właściwie to nie opowiedzieliśmy się po żadnej stronie. – Wargi kowala drgnęły, jakby siłą woli tłumil mimowolnie rodzący się uśmiech. – Może z wyjątkiem własnej. Prawdę rzekłszy, staraliśmy się pozostać na uboczu. Nie zajmujemy się takimi sprawami.

Pierwszy raz w życiu Stuartowi ktoś otwarcie powiedział, że wojna spowodowana secesją stanów jego ojczystego Południa nie wywołała żadnego odzewu. Nigdy się z tym nie spotkał. Nie mógł zrozumieć, dlaczego Hawkes mówi o kilkuletnich walkach tak obojętnie. Nawet jakby lekceważąco, jak o sprawie zupełnie nieistotnej.

– W sumie, pewnie wybraliście najrozsądniejsze stanowisko – zauważył sucho. – Wielu ludziom uratowało życie.

– O to nam właśnie chodziło – potwierdził Hawkes, wkładając monetę do kieszeni spodni.

Stuart uznał, że nie warto już zadawać pytań. Nie chciał być wścibski.

Uchylił stary, konfederacki kapelusz i wolnym krokiem poszedł w stronę nieodległych, pierwszych domów White Creek.

Stuart uważnie przyglądał się wysokiej, szczupłej kobiecie w szarej sukni, obsługującej nielicznych gości. Wczesnym popołudniem w saloonie nie zobaczył ich wielu.

Stwierdził, że pięknie się uśmiecha.

Może jest to uśmiech przeznaczony dla wszystkich, ale i tak jest śliczny – skonstatował, sadowiąc się przy kontuarze.

Wysokie krzesło z oparciem dla rąk i wyścielanym siedziskiem okazało się rozkosznie wygodne. Rozsiadł się, czując, jak z ciała coraz szybciej spływa znużenie. Whisky w szklaneczce miała świetny smak. Kobieta, krzątająca się przy wielkim kredensie pełnym karafek i butelek, była bardzo ładna. Nieśpieszna z nią rozmowa o White Creek, przerywana układaniem przetartych kieliszków na szklanych tacach, przyjemna i niezobowiązująca, czasami akcentowana tym łagodnym, tajemniczym wygięciem pełnych warg.

Teraz jednak w skupieniu rozważał wypowiedziane przed chwilą słowa barmanki.

– Nigdy nie mieliście kłopotów z Apaczami?

Nie mógł w to uwierzyć. Wołał się upewnić.

Kobieta za lśniąca jak lustro ładą pokręciła głową.

– Mówiłam już – odpowiedziała spokojnie. – Jakoś nas omijali, nie wiadomo, dlaczego.

Miała duże, szare oczy i koronkowy, biały szal, okrywający kształtne ramiona. Nieruchoma, szczupła twarz przybierała często nieobecny wyraz zamyślenia.

Stuart zastanawiał się, czy nie skusić się na trzecią szklaneczkę whisky.

Barmanka wybrała dla niego bardzo dobrą whisky, dla specjalnych gości. Tak ją określiła, sięgając do szafy pełnej butelek różnych kształtów. Złocisty trunek okazał się jednak wyjątkowo drogi, a John Stuart nie chciał wydawać za dużo. I tak postój w White Creek sporo go kosztował.

Jeszcze raz rozejrział się po prawie pustym salonie. Pomyślał, że wszystko tutaj wygląda niezwykle okazale. Po chwili stwierdził, że nie znalazł dobrego określenia. Właściwe, uznał, panuje tu przepych.

Na ścianach wisiały wielkie lustra w grubych, srebrnych ramach. Za plecami kobiety w szarej sukni dwa kolejne zwierciadła odbijały jej szczupłą sylwetkę. Trzy wielkie, złożone żyrandole z wieloma obsadami dla świec zwisały z sufitu.

Bar lśnił czerwonym polyskiem mahoniu, ozdób z mosiądzu i wieloelementowej intarsji. Wszystkie stoliki i krzesła wykonano z tego samego drewna, co kontuar, o który opierał łokcie. Pod jedną ze ścian stały dwa stoły do ruletki.

Stuart nie za bardzo rozumiał, dlaczego obok pianina ustawiono fortepian. Przewiezienie instrumentu musiało kosztować sporo pieniędzy.

Piękna, wyrośnięta palma w wielkiej, drewnianej skrzyni zajmowała środek pomieszczenia. Zobaczywszy ją, Stuart zaczął się zastanawiać, ile zapłacono za jej sprowadzenie. Spore podium z boku wskazywało, że właściciel pewnie zatrudnia tancerki.

Ponownie rzucił okiem na stół w kącie zajmowany przez pięciu mężczyzn grających w pokera. Wyglądali na zwykłych farmerów. Jeden z nich właśnie zagarniał spory stosik pieniędzy. Pozostali, śmiejąc się dobrodusznie, wyjmowali z portfeli kolejne banknoty.

– Wejście do gry po pięć dolarów – usłyszał głos jednego z graczy.

Stuart pomyślał, że nigdy nie zdecydowałby się zagrać o tak wysokie stawki.

– Nalać jeszcze jedną, panie Stuart?

Kobieta za barem zachęcająco wyjęła korek z butelki.

– Proszę – zdecydował się Stuart.

Oplacił już pobyt w hotelu. W małym pomieszczeniu z tyłu budynku dokładnie wymyśl się w drewnianej balii, ogolił, a potem zmienił koszulę. Woda w dzbanie, dolewana podczas zmywania brudów drogi, okazała się nieco za zimna, ale Stuartowi to nie przeszkadzało – uważał ją za znacznie cieplejszą od nurtu wielu potoków, zwykłych miejsc kąpielii.

Czuł się o wiele lepiej niż przed południem, kiedy wjeżdżał do White Creek. Przestała go nawet boleć noga poharatana śrutem. Za pół godzinki zamierzał iść do tej pani Wilkes na pieczone ziemniaki z mięsem, wieczorem zjeść jajecznicę z boczkiem, posmakować świeżych bułek, wypić może jeszcze ze dwie szklaneczki i położyć się spać w wygodnym łóżku. Umieszczając w pokoju podręczną torbę, sprawdził, że łożo naprawdę jest miękkie i obiecuje rajski sen.

– Bardzo bogato tu u was – zauważył Stuart.

– Nie narzekamy. – Barmanka uśmiechnęła się. – Zaraz pan zobaczy i usłyszysz przyczynę naszego dostatku.

Stuart, siadając przy barze, uprzejmie się przedstawił. Ciągle przestrzegal obyczajów wpojonych mu w dzieciństwie w rodzinnej plantacji na Południu. Nie dosłyszał nazwiska kobiety w szarej sukni. Głos zagłuszyły wtedy podniecone okrzyki pokerzystów po zakończeniu kolejnego rozdania.

Nie zamierzał zachowywać się jak natręt i niczym prostak ponownie pytać o jej imię i nazwisko.

– Czemuż zaproponowała mi pani whisky dla specjalnych gości? – zainteresował się Stuart, wolno dopijając płyn o miodowej barwie. – Nigdy tu nie gościłem, a ubieram się jak wszyscy.

– Wygląda pan na bylego szeryfa, a zatem dysponuje pieniędzmi – odpowiedziała barmanka, znowu przecierając ściereczką kieliszki. – To widać. Zamówił pan pokój na dwa dni. Nie pyta o jakieś zajęcie. Każdemu wyróżniającemu się przybyszowi proponuję taką whisky. To zwiększa zyski.

– Nie pomyślałem o tym. – Stuart zaśmiał się. – Chociaż rzeczywiście dwa razy nosiłem już srebrną gwiazdę stróża prawa. Zatrudniałem się też u wielkich ranczerów i w agencji Pinkertona. Wiele się tam nauczyłem... Teraz jednak pracuję sam dla siebie.

Ulicą ospale przechodziło stado ryczących krów. Stuart odwrócił głowę. Przez duże okno widział wyrosnięte, dorodne bydło o długich rogach.

Zaskakująco dorodne. Stuart nigdy jeszcze nie oglądał tylu tak dużych i tak dobrze odżywionych sztuk. Właściciel stada po ich sprzedaniu zostawał bogaczem.

– Mówiąc o przyczynach dostatku, myślała pani o tych wspaniałych okazach rogacizny – zauważył Stuart. – Rzeczywiście, muszę przyznać, że wyglądają imponująco.

Widok za oknem przypomniał mu, że będzie musiał kupić sporo zwierząt na założenie hodowli. Wybudować dom i korral. Zdecydowanie odrzucił od siebie myśl wypicia jeszcze jednej szklaneczki. Powinien oszczędzać każdego centa.

– Wszyscy mówią, że to przez wodę w naszym potoku. – Kobieta w koronkowym szalu znowu uśmiechnęła się lekko. – Twierdzą, że jest taka, jakby to określić, po prostu pożywna. Dzięki niej wspaniale rośnie też trawa.

Stuart zastanowił się przez chwilę. Nie rozumiał, w jaki sposób woda mogła tak znacząco wpływać na wzrost i wagę krów i byków. Stado należało regularnie poić, i to wszystko. Uznał, że mógł to być dowcip, z całą powagą opowiadany przez ranczerów, chcących ukryć prawdziwe przyczyny znakomych wyników hodowli.

Szczupła kobieta o szarych oczach i nieco nieobecnym uśmiechu po prostu powtarzała zasłyszaną historyjkę, wierząc w jej prawdziwość.

– Zaczyna się przegon krów do stacji kolejowej – dodała barmanka, opierając łokcie o lśniący kontuar. Patrzyła wprost w twarz Stuarta, nie mrużąc oczu. – Daleka droga przed nimi. Przez jakieś dwa dni kolejne stada przemierzają ulicę.

Stuart pomyślał, że kobieta w szarej sukni ma oczy równie piękne jak uśmiech. Nie wypadalo jej o tym mówić.

– Woda to bardzo ważna sprawa na ranczo. – Stuart pokiwał głową z namysłem. – Pójdę już na obiad. Ślinka mi leci na samą myśl o pieczonych ziemniakach z mięsem i kruchym cieście na deser.

Odsunął krzesło i wstał. Wiedział, że wypadło się pożegnać. Nie chciał tak po prostu odwrócić się na pięcie i wyjść.

Może nawet – pomyślał – chcę jeszcze raz spojrzeć jej w oczy.

– Niech pan tu wejdzie, wracając. – Kobieta w szarej sukni splotła dłonie. Nadal uważnie przyglądała się Stuartowi. Nikły uśmiech niespodziewanie rozświetlił pociągłą twarz. – Postawię panu jeden albo i dwa kieliszeczki. Nikt o tym się nie dowie. Dobrze się z panem rozmawia. Możemy jeszcze potem chwilę pogawędzić.

Odłożyła ściereczkę za kontuar. Kiedy ręcznikiem wycierała do sucha dłoń, Stuart zauważył na jej skórze czarne ślady. Małe punkty, podobne pacnięciom czarnej farby, nie dających się jednak zmyć. Albo podobne pozostałościom uderzeń rozgrzanych do czerwoności cząsteczek żelaza.

Przedstawiały się tak samo jak szramy, szpecące ramiona i twarze kowala Hawkes i jego pomocnika Joshui.

Wyglądały tylko na znacznie mniejsze.

Jeszcze jeden obiecany napitek, a potem poobiednia drzemka – pomyślał Stuart, nieśpiesznie zmierzając w stronę hotelu. – *Przedtem miła rozmowa. Wspaniale.*

Obiad bardzo mu smakował. Pani Wilkes, starsza, milcząca kobieta, dysponowała nawet przyprawami w kryształowych flakonikach ze srebrnymi nakrętkami.

Stuart przed rozpoczęciem posiłku w zamyśleniu obracał między palcami jeden z nich. Przypominały mu nieistniejący już rodzinny dom na Południu.

Widział już wiele jadalni, ale napotkał pierwszą, w której oprócz soli gość mógł skorzystać z pieprzu, imbiru, curry, cynamonu i wielu innych ingrediencji. Ich nazw nawet nie znał.

Stoły i krzesła wykonano z hebanu. Stanowiły komplet, a nie zbiór przypadkowych mebli kupionych okazjonalnie. Srebrne sztuce byłyby ozdobą każdego stołu na Południu.

Stuart pomyślał, że to wszystko jest nieco dziwne. Mieszkańcy White Creek pysznili się niezwykłą zamożnością: to rzucało się w oczy. Przyczyna ich bogactwa nie stanowiła dla Stuarta tajemnicy. Portfele farmerów puchły

z każdą sprzedaną sztuką bydła. Nie rozumiał tylko, dlaczego właśnie tutaj, w White Creek, tak znakomicie udaje się hodowla krów i byków.

Wzruszył ramionami. Doszedł do wniosku, że nie powinien się tym interesować. Pojutrze rano wyruszy w dalszą drogę nad Rio Pecos, a wspomnienia z White Creek szybko zblakną w jego pamięci.

Kolejne stado długorogich zwierząt przemierzało ulicę. Wielkie krowy ryczały przeraźliwie, jakby przeczuwały czekającą je długą drogę i nieuchronny kres żywota w rzeźni.

Człowiek stojący teraz za barem saloonu, miał lysą głowę i sumiaste, rudawe wąsy. Równie wysoki jak kowal Hawkes, imponował jeszcze mocniejszą budową ciała.

Stuart z niechęcią pomyślał, że chyba wszyscy mieszkańcy White Creek są wielkoludami. Z rozbawieniem stwierdził, że pewnie jest to uczucie zdziwienia rosłego mężczyzny, ciągle napotykanego ludzi wyższych od siebie.

Większość stolików zajęli nowi goście. Zaczynał się poobiedni ruch.

– Nie ma już kobiety obsługującej saloon do południa? – zapytał.

Poczuł zawód. Oczekiwał rozmowy. Ta poprzednia podobała mu się.

– Panna Kate Hawkes rzeczywiście pracuje od rana. – Człowiek za kontuarem podrapał się po nosie. – Zmieniam ją, chociaż zwykle nieco później. Wezwał ją pan Masterson, właściciel.

– Panna Hawkes? – Stuart zdziwił się. Ucieszył się, że w końcu poznał nazwisko kobiety w szarej sukni. – Córka kowala?

– Nie. – Barman potrząsnął głową. – To tylko zbieżność nazwisk. W White Creek jest sporo Hawkesów.

Uśmiechnął się skąpo. Ten uśmiech nie podobał się dawnemu szeryfowi. Dobrze go znał i wiele razy widział już taki zimny, twardy grymas warg człowieka, zamierzającego za chwilę wyciągnąć rewolwer i strzelić komuś w plecy.

– Bardzo pana zaciekawiła panna Hawkes – dodał z wyraźnym naciskiem barman. – Wystarczy, że pan Masterson się nią zainteresował i dał jej pracę. Rozumie pan?

Stuart poczuł, że opuszcza go dobry humor. Wąsacz przemawiał zimnym, napastliwym głosem. Może chciał go sprowokować.

Nie zamierzał wszczynać awantury. Tego całego Mastersona nawet nie widział na oczy. Właściciel hotelu po prostu okazał się zazdrosny o miłą pogawędkę przy kilku szklaneczkach whisky. Ktoś pewnie mu o niej doniósł.

– Dobrze – odpowiedział ze znużeniem. – Pojutrze wyjeżdżam. Nie interesuje mnie panna Hawkes.

Wziął z tablicy klucz do pokoju. Czekala go drzemka. Pomyślał, że to będzie znacznie lepsze od myślenia o szczupłej i zamyślanej kobiecie w szarej sukni i koronkowym szalu, tak ładnie się uśmiechającej.

Schody na piętro zaczynały się przy końcu korytarza wiodącego na podwórko. Obok pierwszych stopni umiejscowiono duże, dwuskrzydłowe drzwi. W zamku tkwił klucz.

Krzyk bólu z podwórka brzmiał przeraźliwie cienko, wibrując w uszach. Potem coś trzasnęło. Były szeryf znalazł ten dźwięk. Powietrze przeszył zawadiacki trzask bata. Jakiś niewidoczny mężczyzna sprawnie wywijał nim w powietrzu.

Stuart ostrożnie uchylił drzwi.

Kate Hawkes klęczała na ziemi, przywiązana za ręce do słupa wbitego w rogu ogrodzenia. Koronkowy szal leżał na ziemi. Tył sukni ktoś rozdarł aż do pasa. Trzech mężczyzn stało w rogu niewielkiego dziedzińca. Jeden z nich trzymał w ręku długi pejcz.

– Daj jeszcze tej suce, Masterson, zobaczymy, ile wytrzyma.

Szczupły człowiek wypowiadający te słowa wolno oblizal wargi.

Pejcz świsnął.

Kate Hawkes spazmatycznie wrzasnęła z bólu.

– Ta pinda ma plecy jak z żelaza. – Chudzielec stojący obok Mastersona ponownie przeciągnął językiem po wargach. – Chłop już by dawno zemdlął albo wyzionął ducha, a ta kobitka tylko lekko krwawi.

Stuart kopnięciem otworzył drzwi na oścież.

– Rzuć bicz, Masterson i rozwiąż pannę Hawkes, bo rozwalę ci leb! – wrzasnął.

Celował z rewolweru w brzuch właściciela hotelu. Wiedział, że celny strzał byłby wtedy pewniejszy, jeżeli musiałby pociągnąć za spust.

Wyjście na podwórko skrywał cień daszka u góry. Stuart osądził, że półmrok korytarza daje mu pewną przewagę.

Masterson schylił się i położył pejcz na ziemi.

– Człowieku, to nie twoja sprawa! – krzyknął ochryple. – Odejdź i zapomnij o tym, co widziałeś!

– Nikt nie będzie smagał batogiem kobiety w mojej obecności.

Głos Stuarta brzmiał głucho. Uchwycił drugą ręką nadgarstek dłoni trzymającej broń. Wiedział, że z tej odległości i w tej pozycji nie chybi.

– Uwolnij ją, parszywe ścierwo! – wrzasnął.

Nie potrafił pojąć

i zrozumieć tego, co widział. Czuł tylko, że ogarnia go coraz większa, nienawistna wściekłość.

Masterson wolno rozplątywał sznur zawiązany na nadgarstkach Kate Hawkes. Nie miał przy sobie broni, podobnie jak człowiek nadal nerwowo oblizujący usta.

Dłoń trzeciego z mężczyzn zaczęła wolno zsuwać się kierunku brzucha. Być może, pomyślał Stuart, ma tam rewolwer wetknięty za pas.

Wymierzył starannie i strzelił. Kula trafiła w nogę. Mężczyzna zawył z bólu. Siedział teraz na ziemi, w osłupieniu przyglądając się czerwieniejącej od krwi nogawce spodni.

Kate Hawkes wolno wstała. Niepewnym ruchem założyła na ramiona przybrudzony szal.

– Uciekaj, Kate! – krzyknął Stuart. – Szybciej!

Przez jego umysł przeleciała myśl, że barmanka rzeczywiście jest niezwykle wytrzymała. Każda kobieta uderzona kilka, a może kilkanaście razy bykowcem, powinna stracić przytomność. Kate Hawkes szła. Nieporadnie stawiała stopy, płątały się jej nogi, ale kroczyła naprzód.

Zacząła nawet biec.

Stuart strzelił nad głową Mastersona.

– Niech nikt z was nie waży się mnie gonić! – wrzasnął dziko. – Zabiję jak psa każdego, kto pójdzie za mną!

Barmanka weszła już do korytarza. Stuart zatrzaskał drzwi i przekręcił klucz. Kilka twarzy ostrożnie wysunęło się w prześwicie przejścia do saloonu. Jedną z nich zdobyły wiechcie długich wąsów.

Wyglądający jak kolos barman trzymał w ręku dubeltówkę o krótkich lufach. W jego dłoni wyglądała jak dziecinna zabawka.

Stuart podniósł broń. Twarze zniknęły za framugą. Miał wolne przejście.

– Uciekaj! – krzyknął, popychając Kate Hawkes w stronę saloonu. – Czekać na ulicy. Muszę zabrać bagaż z pokoju.

Mimowolnie rzucił okiem na nagie plecy kobiety. Rany już nie krwawiły. Zaczynały się nawet zablizniać.

Stuart z niedowierzaniem pokręcił głową. Nie miał czasu się na tym zastanawiać.

Przeskakując po dwa stopnie schodów wpadł na górę. Zarzucił torbę na ramię. Wiedział, że nie może wrócić tą samą drogą. Na dole pewnie oczekiwał komitet powitalny. Nie miał wyjścia – musiał wyskoczyć przez okno.

Ulicę przemierzał kolejny tabun smętnie porykujących krów. To zwiększało ochronę przed kulami, i to znacznie.

Podniesienie do góry szyby poszło gładko. Stuart przecisnął się przez wąski otwór, uchwycił torbę zębami, zawisł na rękach, a potem skoczył w dół.

Kate Hawkes stała przed wejściem do budynku, odwrócona tyłem, rozglądając się niepewnie. Stuartowi wydawało się, że coś mówi do ukrytej za drzwiami osoby.

Nie miało to teraz znaczenia. Złapał barmankę za rękę.

– Przechodzimy na drugą stronę, a potem ile sił w nogach pędzimy do kowala! – zakomenderował. – Kobieto, pośpiesz się!

Odetchnął głęboko.

Wszystko nie wyglądało aż tak bardzo źle. Cały i zdrowy wydostał się z budynku. Trzymał w dłoni pakunek. Na ulicy mieli znacznie większe szanse przeżycia.

Uciekali szybko. Stuartowi wydawało się, że z każdym podniesieniem kolan do góry Kate Hawkes odzyskuje siły. Parę osób przyglądających się przemarszowi bydła odwróciło głowy. Ich twarze miały wyraz zdziwienia. Dwaj kowboje eskortujący krowy po tej stronie ulicy ściągnęli cugle i przypatrywali się kobiecie i mężczyźnie biegnącym ile tchu w piersiach.

Stuart nie zwracał na nich uwagi. Co kilka minut oglądał się do tyłu, sprawdzając, czy nie goni ich Masterson wraz ze swoimi ludźmi.

Ze zdziwieniem spostrzegł, że nie widzi nikogo, kto podjąłby pościg.

– Hawkes, niech chłopak natychmiast osiodła konia i przywiąże mulara do kulbaki – z trudem wydyszał Stuart. – Za trzy minuty musimy wyjechać.

Czuł, jak łomocze mu serce. Bieg mocno go wyczerpał. Ręce nadal się trzęsły, ale zdołał załadować dwa naboje do bębena rewolweru.

W olstrze przy siodle tkwił kawalerski karabin Spencera. To znowu zwiększało szansę pomyślnej ucieczki.

Doszedł do wniosku, że naprawdę nie jest najgorzej. Jeżeli szybko odjedzie, powinien wykaraskać się z kłopotów. Nikt jeszcze nie zginął, więc może nawet nie będzie uporczywego i długiego pościgu.

Kowal przypatrywał mu się uważnie. Wypucowana do połysku kolba strzelby, trzymanej w dłoniach właściciela kuźni, lśniła w blasku słońca. Kate Hawkes gorączkowo coś mu opowiadała.

Stuart nie słyszał, o czym rozmawiają. Nie miało to teraz znaczenia. Liczyło się coś innego: nie sądził, żeby Hawkes nagle strzelił bez uprzedzenia.

– Pojedziesz na mule. – Odwrócił głowę w stronę barmanki. – Mogę cię zabrać na moje ranczo albo zostawić w najbliższej osadzie. Wybór należy do ciebie.

Joshua wyprowadził ze stajni deresza. Muł podązał z tyłu, prowadzony na długiej linie. Pomocnik kowala sprawnie przywiązywał sznur do łąku kulbaki. Na siodle jucznym leżały dwa grubo wypchane, nowe worki.

– Zostanę tutaj. – Kate Hawkes pokręciła głową. — Muszę zostać. Jedź sam, John. To, co widziałeś na podwórku, już się nie powtórzy.

Stuart kilka razy odetchnął głęboko. Otarł ręką pot z czoła. Serce w końcu zaczęło bić normalnie.

– Podkulem konia. – Hawkes oparł fuzję o ścianę kuźni. – Karma w workach jest świeża. Lepiej niech pan już rusza.

– Panna Hawkes nie odjedzie – dodał z naciskiem w głosie. – Nic pan nie płaci, Stuart, za podkucie mustanga i za obrok. Kate powiedziała mi, co pan zrobił i jesteśmy wdzięczni. Ale niech pan już rusza.

Stuart wiedział, że kowal ma rację. Masterson mógł już skrzyknąć większą ilość ludzi. W starciu z nimi nie miałby szans.

Kate Hawkes uważnie przypatrywała się Stuartowi. W jej oczach lśniło coś, co Stuart odczytywał jako wahanie.

Dosiadł konia.

– Czemu zostajesz? – Pochylił się w stronę kobiety. – Naprawdę mogę cię zabrać na farmę. Jasne, że się z tobą ożenię. Mogłaś źle odczytać moje intencje.

– Nie zrozumiesz tego, Johnie Stuarcie – miękko odpowiedziała Kate.

Uśmiechnęła się powściągliwie, jakby słowa Stuarta sprawiły jej radość.

– Może kiedyś opuszczę White Creek i wyruszę nad Rio Pecos, ale nie teraz – dodała po chwili. – Nie mogę powiedzieć, dlaczego.

Potok skrzył się białymi refleksami kamieni leżących na dnie. Stuart przyznał w duchu, że rzeczywiście wygląda pięknie.

Wcale nie musiał się spieszyć.

Objechał łukiem miasteczko, żeby wydostać się na szlak prowadzący nad Rio Pecos. Początkowo jechał szybkim klusem, oglądając się za siebie. Potem zwolnił. Nie chciał niepotrzebnie męczyć muła.

Nikt go nie ścigał.

Stuart mocno się zdziwił. Masterson nie wyglądał na człowieka puszczającego płazem zranienie jednego ze swoich ludzi. Może sąsiada, może kuzyna, ale na pewno kogoś, kto razem z nim zabawiał się chłostaniem kobiet. Nie wybaczyłby też przybyszowi bez wahania strzelającemu tuż nad jego głową. Poza tym powinien przecież dbać o reputację i nie wystawiać jej na szwank.

Stuart porzucił te rozważania. Po prostu Masterson z niezrozumiałych przyczyn nie podjął pościgu, a on sam spokojnie i bez pośpiechu jechał dalej. Tylko to miało znaczenie.

Koń zanurzył łeb w nurcie potoku. Chleptał łapczywie. Po chwili w jego ślady poszedł muł.

To ta dobra, pożywna woda. Pojone nią bydło rośnie jak na drożdżach – pomyślał Stuart.

Dał zwierzętom napić się do syta.

Na brzegu leżało sporo białych kamieni. Zadzźwięczały metalicznie pod końskimi kopytami, kiedy wierzchowiec Stuarta ruszył do przodu. Jeszcze mocniej twardy, przenikliwy ton powtórzyły uderzenia nóg muła, obciążonego wieloma pakunkami.

Stuart zatrzymał deresza. Spojrzał w dół. Kamienie lśniły w mocnych promienia słońca. Zmusił konia do cofnięcia się w tył.

Znowu usłyszał ostry, wyrazisty dźwięk uderzenia podków o inny metal.

Przypominał dźwięk dzwonu. Wyraźny, silny odgłos zetknięcia się gruszkowatego bijaka z otwartą od dołu metaliczną obudowę.

Zsiadł z konia.

Kilkakrotne uderzenie białym kamieniem w świeżo podkute końskie kopyto przyniosło ten sam efekt.

Stuart obejrzał nieco przybrudzoną, gładką powierzchnię znaleziska. Opuszkami palców wyczuł jej nieznaczną porowatość. Prawie niczym nie różniła się od odłamka skały. Nie potrafił jednak podać jej nazwy. Mógł powiedzieć tyle, że jest białego koloru i mimo warstewki kurzu, pięknie błyszczą. Nieco przypominała płaski, gruby kawałek rozbitego dzbana.

– Strumień niosący w swym nurcie bardzo pożywną wodę – zamruczał pod nosem, sadowiąc się z powrotem w siodle.

Stuart często mówił sam do siebie. Czasami podczas wędrówki szlakiem przemawiał do wierzchowca. Czyniło tak wielu, próbując przełamać doskwierające poczucie samotności. Były szeryf nie widział nic dziwnego w takim postępowaniu.

– Kobieta tak wytrzymała, że nie rzucają jej na ziemię uderzenia bykowca – ciągnął, kierując wierzchowca w dół potoku. – Smagana pejcem piękna panna Hawkes z ranami zablizniającymi się po kilkunastu minutach. Ludzie z sześcioma palcami u dłoni, wielcy jak repliki kolosa rodyjskiego, niewydzielający kropli potu. Strzelam do człowieka, ranię go, walę drugim u peacemakera nad czaszką i nikt mnie nie ściga. Białe kamienie wykonane z metalu. Jest trochę spraw do wyjaśnienia.

Przejechał pół mili wzdłuż brzegu leniwie płynącej, przezroczystej jak kryształ wody. Początkowo często dostrzegał błyski białych kamieni, leżących na brzegu lub w korycie White Creek. Potem napotykał ich coraz mniej, aż w końcu oglądał tylko falującą zieleń wyrosniętej, soczystej trawy.

Zawrócił deresza.

Stał w strzemionach, chcąc ogarnąć okiem większy obszar. W odległości kilkuset jardów coś rysowało się na horyzoncie. Coś wysokiego. Coś tak normalnego, że początkowo nie zwrócił uwagi na samotny, stromy pagór ziemi, sterczący na równej przestrzeni.

Dotarł do niego szybko.

Dopiero teraz spostrzegł, że wzgórek jest naprawdę wysoki. Miał strome zbocza. Stuartowi przypominał metalową, spiczastą nasadkę na ołówek, nakładaną po to, aby uchronić rysik przed złamaniem. Stuart czasami widywał tak zabezpieczone ołówki w bankach i na stacjach telegrafu.

Zadarł głowę. Nie spodziewał się, że pagór będzie tak górował nad okolicą. Teraz zorientował się, że po prostu zajmuje środek sporego, spadzistego wgłębienia w gruncie.

Koń i muł pasły się kilka stóp dalej, przywiązane do palików, wyjętych z juków i wbitych w ziemię.

Wysokie trawy szumiały w lekkim podmuchu wiatru – jedyny odgłos, dobiegający do jego uszu. Nie cykały nawet świerszcze. Nigdzie nie mógł dostrzec nor piesków preriowych i nie widział ptaków.

– Jeżeli w White Creek napotkałem jakąś tajemnicę, to jej wyjaśnienie kryje się w środku tego kopca ziemi prażącego się w słońcu – wypowiedział głośno myśl, zrodzoną w mózgu.

Dobrze wiedział, że nie jest do końca przekonany, czy ma rację, ale po prostu chciał to sprawdzić.

W jukach woził przydatny przy urządzeniu obozowiska rydel z krótką rękojeścią. Wyjął go i metodycznie zaczął odwalać skiby darniny na bok.

Wyciął w stoku wzgórza prostokątny otwór wielkości drzwi. Pewnymi ruchami wydobywał kolejne kęsy ziemi i odrzucał na bok.

Otwór się pogłębiał.

W chwili, kiedy ocierał pot z czoła, Stuart pojął, że znowu coś umknęło jego uwadze. Ziemia powinna się obsypywać. Wydrążył już spore wgłębienie, co jakiś czas sprawdzając, czy wykop biegnie poziomo. Wiszący nad jego głową ziemny strop nie kruszył się, zachowując swoją zwięzłość. Wydawał się być mocny, jednocześnie łatwo ustępując pchnięciom łopaty.

– Jest jak wykrajany miękisz chleba. Nóż robi w nim dziurę na wylot, reszta pozostaje nienaruszona – ze zdziwieniem głośno stwierdził Stuart. – Jakby jakaś siła trzymała to wszystko w kupie.

Zawzięcie rył dalej. Teraz za każdym razem, chcąc wyrzucić odkopaną ziemię, musiał cofać się o kilka kroków.

Ostrze szpadla zadźwięczało, kiedy napotkało silny opór. Stuart uderzył kilka razy w ścianę ziemi. Nieodkopana jeszcze warstwa gruntu osunęła się w dół, odsłaniając spękaną tafłę metalu.

Wyniesienie resztek urobku zajęło Stuartowi nieco czasu.

Silne uderzenie rydła odlupało spory kawałek z tego, co zagradzało przejście. Dalej ziała pusta, ciemna przestrzeń.

Stuart wyniósł zdobycz na zewnątrz. Zmęczył się. Chciał nieco odpocząć. Palila go też ciekawość, czym jest to, co oderwał od przegrody tarasującej niewielki tunel.

Przetarł znaleźisko rękawem kurtki.

Wyglądało zupełnie tak samo, jak metaliczne kamienie obmywane czystym nurtem White Creek. Mocno przybrudzone, nie przyciągało tylko wzroku skrzającym się polyskiem bieli.

Stuart westchnął. Zdał sobie sprawę, że podświadomie spodziewał się, że tak będzie.

Cisnął niepotrzebny już odłamek w darń. Rozejrzał się.

Koń i muł spokojnie się pasły. Nie widział w pobliżu nikogo. Nurt White Creek błyskał refleksami białych kamieni, leżących na dnie. Mustang Stuarta dwa razy potrząsnął lbem, chcąc odgonić napastujące go muchy.

Wrócił do pracy. Silne uderzenia rydła w szpary skruszyły napotkaną przeszkodę.

Przez wykop wpadało niewiele światła, ale wystarczająco dużo, żeby Stuart, zapalwszy zapalkę, mógł zobaczyć, co znajduje się w środku.

Cofnął się o pół kroku.

W półmroku widział trzy szkielety, siedzące na czymś, co nadal przypominało wysokie fotele. Czwarty kościotrup klęczał na kolanach z wyciągniętymi do przodu szarymi kłściami rąk. Zaciskał kości nieistniejących już palców na niewielkich dźwigniach.

Stuart patrzył na końcową część długiej ręki jednego z kościotrupów, trzymanej na czymś, co przypominało wielki pulpit. Z nieistniejących już palców dłoni pozostały tylko gołe kości, nadal kurczowo zaciskające się na trudnym do określenia przez Stuarta przedmiocie, wystającym z rozległej, tonącej w kurzu płaszczyzny pulpitu.

Długa ręka miała sześć palców.

Stuart uważnie przyglądał się pozostałościom istot, nadal siedzących na swoich nienaruszonych zębem czasu fotelach. Nie czuł obrzydzenia i wstrętu, bo w swoim życiu oglądał już wiele trupów.

Nie ukończył jeszcze siedemnastu lat, kiedy, ukrywszy prawdziwy wiek, ochotniczo zaciągnął się do armii konfederatów. Widział ludzi rozrywanych na kawałki uderzeniami odłamków szrapneli. Przyglądał się trumnom i szkieletom, wyrwanym z ziemi wybuchami armatnich pocisków. Czasami wraz z towarzyszami musiał powtórnie je grzebać.

Siarkowa zapalka zgasła, parząc palce. Stuart potarł następną o rant wylomu Zapaliła się natychmiast.

Szkielety istot, nadal zajmujące miejsca na siedziskach z wysokimi oparciami, uznał za podobne do ludzkich, ale spostrzegł też wiele różnic. Żebra tworzyły jednolitą płaszczyznę, podobną do pancerza. Czaszki odznaczały się sporą wielkością i innym ukształtowaniem, z rzucającą się w oczy wysoką i zaokrągloną kością czołową.

Stuart przykucnął. Żółty płomyk oświetlił teraz coś, co kiedyś mogło być podłogą. Miał wrażenie, że jest wykonana z takiego samego surowca jak niedawno rozkruszona ściana. Wyteżył wzrok, dostrzegając w płaskiej powierzchni wiele dziur. Miał zbyt mało światła, żeby dojrzeć więcej szczegółów pomieszczenia, rozciągającego się przed nim. Wziął do ręki większy odłamek i cisnął o środka jednego z rozległych otworów.

Nie usłyszał odgłosu upadku.

Musiał wracać. Wiedział, że właściwie nic już nie może zrobić. Nie rozumiał, z czym się zetknął i za bardzo nie chciał się nad tym zastanawiać.

Zapalił jeszcze jedną zapalkę i rzucił okiem do wnętrza. Niejasne poczucie, niezbyt jeszcze oczywiste spostrzeżenie, ukształtowane wcześniej,

teraz skryształizowało się i pogłębiło. Ułożenia dłoni, zaciśnięcie kości palców, nachylenie kręgow i żeber tułowia sprawiały wrażenie, że istoty siedzące wewnątrz dziwnej komory desperacko, do końca, z czymś się zmagają. Walczyły z czymś, a być może o coś. Stuart kilka razy widział takie sytuacje i sam w nich uczestniczył. Dobrze pamiętał napięcie mięśni, pochylenie ciał i głów, twarde aż do bólu zaciśnięcie knykci na łożu karabinu, kiedy w zwartej linii żołnierzy maszerował wprost na stanowiska dział, w złudnej nadziei, że wszyscy razem zdążą dojść, zanim kartacze poszarpią ich ciała na strzepy.

Westchnął i wyszedł na zewnątrz.

Zasypanie otworu, a potem ubicie ziemi zajęło trochę czasu. Stuart starannie wyrównał rydlem pozostałości swojej pracy. Ułożył platy darni.

Przyjrzał się wzgórz. Trawa powinna szybko pokryć długimi źdźbłami stromy stok. Za jakieś dwa tygodnie nikt nie spostrzeże, że ktoś niedawno drążył w ziemi spory wykop.

Otrzeпаł rękawice i kurtkę. Koń, leniwie machając ogonem, odwrócił łeb i przypatrywał się swojemu panu. Zdawał się dawać do zrozumienia, że pora ruszać.

Stuart czuł, że jeszcze powinien coś uczynić. Ciągłe przed jego oczyma tkwił obraz składających się z samych kości sylwetek, pochyłonych do przodu, zastygłych w pozach nadal pokazujących przedśmiertny, rozpaczliwy wysilek.

Zdjął kapelusz. Wtedy, kiedy przypominał sobie okres wojny secesyjnej, dla niego walki o wolność, dobrze pamiętał słowa modlitwy, odmawianej, jeżeli czas na to pozwalał, nad grobami poległych towarzyszy. Mógł je powtórzyć jota w jote. Teraz nagle wszystkie uleciały mu z pamięci.

Pamiętał tylko ostatnie zdanie. Wypowiedział je wolno, wyraźnie akcentując słowa:

– Niech spoczywają w spokoju wiecznym. Amen.

– Twoje nakrycie głowy wpędzi cię kiedyś w kłopoty.

Kate Holmes z dezaprobatą pokręciła głową.

Stuart na jej widok uprzejmie uchylił ozdobiony galonem konfederacki kapelusz z szerokim rondem.

– Kilku ludzi próbowało go już zdjąć. – Stuart zaśmiał się. – Pewnie nadal tego żalują.

Barmanka siedziała na koźle malej bryczki zaprzężonej w dwa konie. Głowę i ramiona okryła koronkowym szalem, tym razem czarnym. Ciemna suknia jeszcze bardziej wyszczuplała jej sylwetkę.

Stuart pomyślał, że jak na kobietę niedawno chłostaną bykowcem, wygląda bardzo dobrze.

– Skąd wiedziałas, że tu jestem? – zapytał, starannie otrzepując nakrycie głowy.

Dopiero teraz zauważył, jak bardzo jest zapiaszczone.

– Widziałam ślady. – Kate uśmiechnęła się lekko. – Spostrzegłam, że pojechałeś w dół White Creek. Potem zawróciłeś. Domyśliłam się, że zainteresuje cię nasze wzgórze. Po prostu czekałem na szlaku, aż zaspokoisz ciekawość.

Szare oczy kobiety uważnie wpatrywały się w twarz Johna Stuarta. Szczupła dłoń bezwiednie poprawiła ułożenie szala na włosach.

– Dobra.

Głos Stuarta przypominał warknięcie psa.

– Kim właściwie jesteście?

Natychmiast poczuł przepelniającą umysł złość. Zadał pytanie tak, jakby nadal nosił na kurtce gwiazdę szeryfa i przesłuchiwał Kate Hawkes. Indagował obcesowo kobietę o szarych oczach, pięknym uśmiechu, niedawno wybawioną przez niego z ciężkiej opresji. Poznaną dzisiejszego przedpołudnia barmankę, specjalnie przyjeżdżającą na spotkanie nad brzegiem leniwie płynącej szerokiej strugi. Czekającą na niego cierpliwie. Sądził, że już o dłuższego czasu.

Po raz drugi dzisiejszego dnia ogarnął go wstyd. Musiał naprawić grubiańskie zachowanie.

Położył rękę na sercu i sklonił głowę. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydusić z siebie nawet jednego słowa.

Kobieta właściwie oceniła ten gest. Wolno skinęła głową, przyjmując milczące przeprosiny.

– Potomkami istot, spoczywających we wnętrzu pagórka – odpowiedziała ze spokojem. – Oglądałeś je. Wiem, że kopaleś. Długo nie wracałeś, a rękojeść rydla jeszcze sterczy z juków.

Chwilę milczeli. Duży, biały motyl przysiadł na poręczy kozła kolaski Kate, poruszył kilka razy skrzydełkami i odleciał. Barmanka przekreśliła głowę, odprowadzając go wzrokiem.

– Kimże oni byli? – zapytał Stuart.

Wpatrywał się w twarz Kate Hawkes. Znajdowali się blisko siebie i Stuart spostrzegł, że i pod oczyma kobieta ma drobniutkie, czarne zagłębienia w skórze. Takie same, jakie widział u kowala, tylko znacznie mniejsze.

Doszedł do wniosku, że wcale jej nie szpecą. Miał ochotę delikatnie je musnąć palcami, a potem pocałować.

– Tego nie wiemy. – Kate pokręciła głową. – Wiemy tylko, że nie byli ludźmi.

Stuart potarł palcami policzek. Wpatrując się w dziwną komorę we wnętrzu wzgórze, odniósł nieco inne wrażenie. Nie chciał jednak przerywać barmance.

– A właściwie, nie do końca byli ludźmi – dodała kobieta po chwili namysłu. – Sądzimy, że można odszukać u nich wiele podobieństw do ludzi. Jednak znacznie się też od nich różnili.

W jej słowach zabrzmiała dziwna nuta tęsknoty. Wargi rozciągnęły się w niepewnym, zakłopotanym uśmiechu, jakby zwracała się z długo ukrywanej tajemnicy.

– Między innymi tym, że posiadali sześć palców u dłoni? – Stuart zaśmiał się.

Nagle ogarnęło go znużenie. Teraz nie potrafił powściągnąć rubasznej wesołości. Siedząca na koźle szczupła kobieta w ciemnej sukni też mogłaby posiadać dodatkowy palec wskazujący. Stuart uznał, że z pewnością wyglądałby równie ładnie jak pozostałe.

Wiedział, że nie powinien się śmiać, lecz ta chwila już przeminęła.

Zdawało się, że barmanka nie zwróciła uwagi na zachowanie mężczyzny, pewnie dosiadającego dorodnego deresa.

– Tak – poważnym tonem odpowiedziała Kate. Nie uśmiechała się już. – Domyślamy się, że musieli być bardzo silni i odporni na ból. Mieli też ślady na skórze – one też nam pozostały... Nie rozumiemy, dlaczego tu przybyli.

Lekko westchnęła.

– Jesteśmy ich potomkami – dodała po chwili milczenia. – Możliwe, że my też nie do końca jeszcze jesteśmy ludźmi.

– Wszyscy mieszkańcy White Creek? – Stuart zdziwił się. – Masterson też?

– Masterson nie żyje – odpowiedziała Kate. Jej szare oczy zwęziły się. Stuartowi wydało się, że błysnął w nich gniew.

– Masterson długo o niczym nie wiedział – ciągnęła cichym głosem. – Niedawno poznał prawdę. Dlatego próbował mnie wychłostać, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście jesteśmy prawie niezniszczalni. Ale mój zmiennik w saloonie, Bob Wilkes, ten wysoki mężczyzna z wąsami, wiedział o wszystkim. To on zabił Mastersona. Bob jest jednym z nas.

Przez policzek barmanki przebiegł nerwowy tik. Szybkim gestem rozmasowała twarz.

Kontynuowała spokojnym tonem, jakby przekazywała mało ważną, niezbyt ciekawą wiadomość.

– Masterson chciał cię ścigać. Wściekł się. Bob dzielił go kolbą w głowę po tym, jak opowiedziałam mu przed wejściem do saloonu, o co poszło. Masterson miał już broń i po nią sięgnął.

Dłonie kobiety mocniej zacisnęły się na lejcach.

– Pogrzeb będzie jutro – dodała po chwili milczenia.

Stuart w skupieniu przyglądał się kobiecie w czarnej sukni.

– Ci dwaj ludzie towarzyszą Mastersonowi na podwórku, to jego bracia – ciągnęła dalej barmanka. – Odziedziczą majątek, więc będą milczeć. Za wiele stracą, może nawet życie, jeżeli staną się gadatliwi. Bob Wilkes już z nimi rozmawiał.

– Rozumiem. – Stuart wolno pokiwał głową. – Chyba pomyliłem się w jego ocenie, a może i nie. Zdziwiło mnie, że nie ma pościgu... Co jeszcze po nich odziedziczyliście?

– Bardzo wiele – odpowiedziała Kate. – Jesteśmy pewni, że istoty ze stromego wzgórza nie za bardzo różniły się od ludzi. Mogły się z nimi łączyć. Mamy po nich odporność i siłę. Mówią też, że nasze nerwy są inne, znacznie mniej wrażliwe na ból. To, że większość z nas ciebie przerasta, też jest spuścizną po tych przybyszach. White Creek prawie wszystko im zawdzięcza, przede wszystkim bogactwo. Woda wypłukuje z ziemi, będącej miejscem spoczynku tego pojazdu, jakiś składnik. Trawa wspaniale rośnie. Poimy w potoku bydło. Sam widziałeś, jakie jest.

Motyl z powrotem przysiadł na siedzeniu bryczki. Kate Hawkes bezskutecznie próbowała nakryć go delikatnym ruchem wygiętej dłoni. Przestraszony owad odleciał.

– A białe kamienie w wodzie i na brzegu to po prostu kawalki tego czegoś, co ugrzęzło w ziemi – powiedział wolno Stuart. – To w istocie rzeczy są odłamki metalu.

Koń Stuarta podskoczył, ukąszony przez gza.

– Jak oni wyglądają? – cicho zapytała Kate, palcem wskazując w stronę prawie niewidocznego pagórka.

– Nigdy ich nie widziałaś? – zdumiał się Stuart.

– Dla nas to grobowiec przodków – ze spokojem wyjaśniła kobieta. – Nie chcemy go ruszać.

Nagle poruszyła się na koźle. Uderzyła dłonią w bok wozu.

– Nie życzymy też sobie, żeby ktoś wiedział o tym – ciągnęła silnym głosem. – Nie chcemy, żeby traktowano nas jak dziwadła. Żeby robiono nam dagerotypy, a potem sprzedawano w sklepach za parę centów. Albo badano naszą skórę. Nie chcemy, żeby ktoś w przyszłości wkładał nasze zwłoki do formaliny, wycinał wnętrzności, oglądał narządy i pisał prace naukowe.

W jej głosie zabrzmiał gniew.

– Powiedz tylko, jacy oni są – poprosiła spokojniejszym tonem. – Chcielibyśmy to wiedzieć.

– Myślę, że walczyli do końca – z namysłem odpowiedział Stuart. – Do ostatniej chwili nie zamierzali się poddać wyrokowi losu. Odnieśli zwycięstwo, pomimo tego że ci, których widziałem, zginęli. Sama powiedziałaś, Kate, że jesteście potomkami tych istot. Ktoś musiał przeżyć, a im o to chodziło.

Przyszła mu do głowy dziwna myśl. Chciał się z nią podzielić. Może przypatrująca mu się kobieta spojrzy inaczej na całą tę sprawę.

– Niebawem wszystko na wzgórzu znowu porośnie trawa – dodał po chwili. – Tak jak zwykle. Pamiętaj, że to już przeminęło. Trawa przykryła wszystko.

Kate Hawkes przyglądała mu się uważnie. Nie zwróciła uwagi na słowa Stuarta.

– Wyjaśnij jeszcze tylko, kiedy zacząłeś się domyślać, że w White Creek dzieje się coś dziwnego?

– Wtedy, kiedy powiedziałaś mi, że Apacze nie atakowali waszej osady – Stuart potrząsnął energicznie głową. – Nie rozumiałem, czemu was oszczędzali. Teraz wiem.

Dłonią wskazał wzgórze.

– Zachowali w pamięci przybycie tych istot. Pamiętali o nich.

Znał indiańskie wierzenia. Miał pewność, że to, co powie za chwilę, jest prawdą, choć w dużej części składała się ona jednak z przypuszczeń. Nabral powietrza w płuca i ciągnął dalej.

– Chyba po prostu to miejsce traktowali jak świętą ziemię. Omijali je, zostawiając przybyszów w spokoju. Może nawet ich chronili. Dzięki temu oni mogli założyć tutaj osadę, żyć na uboczu – i przetrwać. Zasypać ziemią ten dziwny wehikuł. Może, tak myślę, w ten prosty sposób dopełnili obowiązku pochówku. Nie potrafiłem też zrozumieć, dlaczego nie braliście udziału w tej nieszczęsnej wojnie. Uwierz mi, okazaliście się jedynymi obojętnymi w stosunku do tej sprawy. Niezrozumiale i niepojęte, choć teraz wiem, czemu tak postąpiliście.

Deresz zarżał przeciągle.

– Ja znam sekret White Creek, a jestem w drodze nad Rio Pecos – dodał Stuart po chwili milczenia. – Nie obawiasz się, że wszystko rozpowiem?

Patrzył prosto w szare oczy Kate Hawkes.

– Kowal już cię ocenił. – Barmanka zmrużyła oczy. – Zachowasz tajemnicę. Jest tego pewny. – Poza tym – kontynuowała spokojnie – powiedział mi, że nie wydusisz z siebie słówka, jeżeli o to poproszę. Przyrzeknij.

Stuart wolno wzruszył ramionami. Nie wahał się jednak, udzielając odpowiedzi.

– Pewnie i tak nikt nie uwierzyłby w moje opowieści. Jeżeli jednak tak sobie życzysz, daję słowo oficera armii Konfederacji, że nic nie zdradzę.

Kobieta skinęła głową. Stuart zrozumiał, że wierzy jego zapewnieniu. Sprawilo mu to radość.

– Kowal twierdzi, że masz czysty umysł – dodała Kate. – Jest w prostej linii potomkiem tych, którzy ocaleli. Ma taki dar.

Stuart pomyślał, że nikt tego nie może sprawdzić, ale nie zamierzał o tym rozmawiać. Nie miałyby to sensu. Chciał jeszcze o coś zapytać, ale się wahał. W końcu zdobył się na odwagę.

– Wyjedź ze mną.

Teraz szło mu składniej.

– Ten cały Masterson miał za nic waszą tajemnicę. To się może powtórzyć.

Poczuł się niezręcznie, że ma jeszcze na głowie nakrycie głowy. Powinien je zdjąć, kiedy po raz wtóry chciał przekonać do siebie Kate Hawkes.

Pośpiesznym gestem naprawił niedopatrzenie.

– Mam ranczo nad Pecos. Dużo pracy mnie czeka, ale dam sobie radę. Po drodze znajdziemy pastora i weźmiemy ślub.

Kate Hawkes potrząsnęła głową.

– Pojechałabym z tobą, ale jeszcze nie jestem na to gotowa. Myślę, że i ty nie do końca rozumiesz, z kim chciałbyś się związać.

Szare oczy nadal wpatrywały się w twarz Stuarta.

– Widzisz, niektórzy z nas twierdzą, że oni wrócą. Zabiorą nas z powrotem do domu.

Głos barmanki zabrzmiał mocno i pewnie. Odwróciła twarz w stronę stromego wzgórza.

– Naprawdę w to wierzysz? – Stuart zdziwił się. – To przecież nie ma sensu.

– Johnie Stuarcie, dla nich kilka stuleci mogło być tylko jedną chwilą – miękko odpowiedziała kobieta. – Tak, wielu z nas w to wierzy.

Zawahała się, i po chwili kontynuowała pewnie brzmącym głosem.

– Dla wielu z nas ci, którzy leżą we wnętrzu wzgórza, są jak bogowie. Ja muszę najpierw przemyśleć wiele spraw.

– To tylko zmarli... – Stuart pokręcił głową. – Nie możecie żyć wspomnieniami, nie wiedząc nawet dokładnie, kim oni byli.

– Może i tak...

Kate poprawiła ułożenie szala na ramionach.

– Straciłam już sporo czasu. Czas się rozstać.

Wstrząsnęła lejcami. Konie odwróciły lby, chcąc się przekonać, czy mają ruszyć naprzód.

– Muszę przygotować stypę. Mam wiele obowiązków.

Wargi kobiety zadrżały.

– Żegnaj, Johnie Stuarcie.

Stuart przyglądał się bryczce tak długo, aż zamieniła się w niewielki, czarny punkt.

Potem kolanami trącił deresza. Koń i muł szparko ruszyły przed siebie.

Wiedział, że powinien się spieszyć. Do rancza nad Rio Pecos pozostał jeszcze spory kawałek drogi. Powtarzał w myślach, że na miejscu zaraz zacznie szukać pewnych ludzi, co najmniej czterech, zbuduje dom, korral, kupi bydło. Trzeba będzie schwytać kilkanaście mustangów, okiełznać i sprzedać, żeby zwiększyć zasoby gotówki. Czekало go dużo pracy, ale Stuart wiedział, że da sobie radę.

Nie zamierzał odwracać głowy.

W ustach czuł gorycz. Pomyślał, że znowu coś mu uciekło. Wyjaśnił tajemnicę White Creek, choć wcale tego nie chciał, ale stracił Kate Hawkes.

Trawa szumiała jednostajnie. Wyglądała wspaniale. Zielony, falujący kobierzec ciągnął się aż po widnokrąg. Mimo oddalenia dostrzegwał samotny, stromy pagórek, kiedy jednak kilka razy odwrócił głowę.

– W końcu ten dziwny wehikuł się skruszy, a nieznana siła, wiążąca ziemię, przestanie działać – i strome wzgórze się zawali.

Ze znużeniem zauważył, że znowu mówi sam do siebie.

– Potem prędko wszystko porośnie niezwykle bujna trawa – dodał po sekundzie namysłu – i nikt już nie pozna tajemnicy White Creek.

15 lutego 2012 r.

Magdalena

Pasik

(malawiedźma)



Urodzona 15.05.1992

Wiedźma - inżynier, podobno niedługo magister. Wciąż jeszcze studentka - humanistka na kierunku technicznym. Niemiarygodnie roztrzepany, niespokojny duch. Nadal marzy, że kiedyś napisze T&E książkę, ale za pisanie zabrać się nie może (choć ma nadzieję, że jak już to zrobi, to będzie to bestseller. Nadzieja, mawiają, jest matką głupich).

Najlepiej odnajduje się w fantasy, chociaż nie pogardzi też historią alternatywną czy opowiadaniem historycznym. Kocha mitologię, baśnie i legendy. Od niedawna też koreańskie dramy. Człowiek multifandom.

Trochę śpiewa, a jej opowiadanie „Wilcza Jagoda” dostało się do finału konkursu na Opowiadanie Trzydziestolecia „Nowej Fantastyki”.

Seamair

„BŁAZEN:

Co Pitagoras mówi o dzikim ptactwie?

MALWOLIO:

Że dusza prababki może zamieszkać w kukulce.

BŁAZEN:

I cóż ty mniemasz o takim poglądzie?

MALWOLIO:

Bynajmniej go nie podzielim, mając szlachetniejsze pojęcie o duszy.

BŁAZEN:

Bywaj zatem i siedź po ciemku. Nim uznam, żeś zdrowszy na umyśle, musisz najpierw zgodzić się z Pitagorasem; drżać, że zabijając kukulkę, wygnasz z niej duszę prababki (...).”

”Wieczór Trzech Króli”

William Shakespeare

Narodzili się.

– Co z tego, Kruku? Każdy sie kiedyś rodzi.

Tak, Słońce. Lecz nie trzeci raz. Trzy, idealna liczba. Najważniejszą triadą życia. Wrócili, nie możesz zaprzeczyć.

– Co się narodzili, co ty mi tu gadasz?! Każdy się kiedyś rodzi, do jasnej Anielki! To nie może być nic ważnego. Dwa razy żeś mnie brała, pakowała w kłopoty i ty myślisz, że dam się trzeci raz namówić?!

Zobaczysz i pożałujesz...

– Jak zawsze, kiedy narzucasz zakończenie historii.

Niska kobieta szła w podartych kapciach przez osiedle domków jednorodzinnych, przyglądając się uważnie niemal identycznym ogródkom, zupełnie jakby czegoś szukała. Czasem podchodziła do brązowych, metalowych siatek, przypatrując się roślinom. Po chwili jednak odchodziła dalej, kręcąc głową ze zniecierpliwieniem. Pozornie nie zwracała uwagi na wszechobecną, nienaturalną ciszę. Nie zaszczezał żaden pies, nie miauknął kot.

Poczula się nieswojo.

Wiedziona przecuciem, wyszła na nieduży skwer przed małym, niebieskim domkiem. Na jednej z ławek zobaczyła śpiącego mężczyznę, a jego widok wyrwał ją z głębokiego zamyślenia. Przez moment myślała, że może dziwna postać jest po prostu martwa, szybko jednak odrzuciła tę myśl, ponieważ wydała się irracjonalna. Podeszła, wiedząc, co właściwie powinna zrobić, chociaż dałaby sobie głowę uciąć, że nie był to jej własny pomysł. Ściągnęła szlafrok. Chłodny dreszcz sprawił dziewczynie przyjemność, kiedy pochylała się, by okryć welurem śpiącego.

Wtedy dostrzegła, co trzymał w ręce, a na jej twarzy odmalowało się niedowierzanie, pomieszane z ekscytacją i szczęściem. Mgielka skroplonej pary wodnej wyloniła się spomiędzy warg, gdy oddychała z przejęciem, starając się wyciągnąć długo poszukiwany pęczek ziół z ręki blondyna. Melisa, by uspokoić sumienie, złocień, na odprężenie, mięta polej by wywołać krwawienie, a krwawnik - by mu później zapobiec. Kasztanowiec na stłuczenia. Przez chwilę przyglądała się martwym roślinom z niezwykłą wręcz troską.

Były w końcu składnikami herbatki na spędzenie płodu. Pradawnym aktem oporu przed lekkomyślnością i przeznaczeniem. Ale koniczyna... Trójlistny wyrzut sumienia, przypominający o czymś, co właściwie powinno być zapomniane już dawno, nie pasował do całości. Lecz po dodaniu wzbudzał pradawną magię, niezrozumiałą nawet dla przerażonej dziewczyny, która na jego widok podskoczyła i zaczęła uciekać. Kurczowo zaciskała w pięści dlonie, jakby ten gest mógł zatrzymać gwałtownie bijące serce. Tymczasem jeszcze bardziej potęgował uczucie wytrącenia z równowagi.

Ostrzeżenie, czy też przeznaczenie? Nieważne, byle szybciej, byle dalej!

Krajobraz zmieniał się z każdym krokiem, lecz nie zwróciła na to uwagi, dopóki nie dotarła na swoje blokowisko. Wbiegła na klatkę schodową, wpadła do mieszkania, zamknęła drzwi na klucz. Zdyszana, oparła się o ścianę i usiadła z lekkim westchnieniem ulgi. Trafiała do swojego azylu, była bezpieczna.

Nie do końca jednak, gdyż w mieszkaniu czekała na nią dziewczynka, może kilkuletnia. Z czarnymi warkoczami, upiornymi, ciemnymi oczami i z ironicznym uśmiechem, kontrastującym z niewinną, dziecinną twarzą. Jak zwykle podeszła, by bawić się jej koszulą nocną, okręcając materiał wokół palców, drąc, ściągając go z przerażonej właścicielki.

Kobieta zapragnęła się obudzić.

Zrobiła to, starając się opanować przyspieszony puls. Zmrużyła oczy, zasłaniając je przed porannym słońcem, choć jego blask o świcie nie był zbyt intensywny. Leżała tak przez dłuższą chwilę, bojąc się zasnąć ponownie, w obawie przed powtarzającym się od kilku miesięcy snem. Niezmiennie analogicznym, jak gdyby każde senne widzenie było dalszym ciągiem spójnej rzeczywistości, osadzonej w innym świecie, przestrzeni. Nie wierzyła w światy alternatywne – nie mogła udowodnić przecież istoty innych wymiarów niż wysokość, szerokość, głębia i czas. Lecz mimo to czuła pod skórą podświadomy lęk przed czymś, co umykało logice.

Klara, dwudziestopięciolatka z włosami obciętymi na jeża, bała się własnego mózgu. Zawsze miała wrażenie, że coś było z nią nie w porządku, od dziecka lowiła uchem głosy wokół siebie, których nie słyszał nikt inny. Od jakiegoś czasu jednak zobojętniała na wszelkie objawy – aż do momentu, gdy poznała Brygidę. Gdy zaczęła się dziwna seria nocnych omamów.

Zadrzała.

Spojrzała na zegarek, chociaż właściwie wiedziała, która była godzina. Zawsze budziła się o szóstej.

Dwadzieścia minut później, kiedy już otrząsnęła się z dziwnego uczucia niepokoju, siedziała w mieszkaniu niedawno zmarłej sąsiadki, starej Brygidy, którą się opiekowała. I to ona musiała posprzątać rzeczy denatki, ponieważ nie było nikogo, kto mógłby to zrobić.

Zawsze, gdy przekreślała zardzewiały nieco klucz, dostawała gęsiej skórki. Być może powodem był upiorny wystrój mieszkania starszej kobiety, pełen gratów, kurzu i religijnych obrazów, śmierdzący kocimi szczynami i naftaliną. Choć może chodziło o samą jego lokatorkę, której Klara szczerze nie lubiła i tylko jakiś rodzaj miłosierdzia skłaniał ją do codziennych odwiedzin.

Przy drzwiach znalazła kartkę, wyrwaną z rozpadającego się zeszytu. Podniosła ją, zdziwiona. Poznała pismo zmarłej podopiecznej i najprawdopodobniej wyrzuciłaby kartkę do śmietnika, gdyby nie ostatnie słowo, dopisane później, innym długopisem.

„I tak tam pojedziesz, Peretko.”

Klara niemal dostała zawału, choć właściwie wiadomość nie powinna była jej niepokoić. Racjonalne podejście do sprawy, jakie zazwyczaj miała mówiło, że kartka po prostu wypadła, kiedy dziewczyna wychodziła z mieszkania ostatnim razem. Być może to przeciąg przywiał skrawek papieru na szarą wycieraczkę. Takie rzeczy się zdarzały i nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyby słowa w bezpośredni sposób nie nawiązywały do ostatniej świadomej rozmowy, jaką Klara przeprowadziła ze swoją podopieczną dwa tygodnie wcześniej. Skrawek papieru wyleciał jej z drżących rąk, kiedy zaczęła ją sobie przypominać.

Właściwie rzadko rozmawiały, wybierając milczenie nad puste, pełne niechęci słowa. Dwa zupełnie różne charaktery, nierozumiejące siebie nawzajem, w jakiś sposób zmuszone do koegzystowania i wzajemnej symbiozy. Dawały sobie pozory normalnego życia, chociaż tylko jedna strona to zauważała. W dość ponurym nastroju zaczynały więc dzień, wstawiając wodę na herbatę, która była ich wspólnym rytuałem.

Ktoś kiedyś napisał, że parujący kubek tego gorącego napoju zawsze towarzyszy emocjom. Zielona, czarna, czerwona – niezależnie od rodzaju – potrafi ukryć żal, zatopić łzy na dnie duszy i zmienić krzywy grymas w uśmiech. Herbata, celebrowana jako napój chińskiej arystokracji, przelamywała granice, towarzyszyła najważniejszym chwilom, gdy człowiek mógł odpocząć i przewyciężyć wreszcie belkot dnia codziennego, odnajdując to, co ukryło się w podświadomości, a wychodziło na wierzch w postaci na wpół sennych marzeń.

W przypadku Brygidy i Klary nie mogła jednak spełnić swego pierwotnego przeznaczenia, grając w tym przedstawieniu rolę swej własnej negacji, potęgując napięcie.

Tamtego dnia Klara nie zdążyła przygotować herbaty. Zaledwie chwilę siedziały w ciszy, słuchając gotującej się na gazie wody, kiedy starszka zaczęła śpiewać. Drżącym głosem wyrzucała z siebie irlandzkie słowa, jakby chciała w ten sposób zadbać o uroczystość zbliżającej się chwili. To było tak nagle, tak niecodzienne, że Klara niemal skamieniała. Nie rozumiała znaczenia słów i przez kolejne dziesięć minut, w osłupieniu, słuchała starszki. Zauroczona i zaniepokojona, zupełnie nie zwróciła uwagi na gotującą się na gazie wodę, pozwalając czajnikowi akompaniować głośnym piskiem.

Wtedy właśnie kobieta umilkła, kot wyłączył wodę, a Klara po raz pierwszy naprawdę przestraszyła się starszej osoby. Czula narastającą panikę, obezwładniającą, nakazującą pozostanie w miejscu.

– Wiedziałam, że kiedyś przyjdiesz – powiedziała Brygida, zupełnie nie zważając na przerażenie dziewczęcia. Klara nie mogła jednak przestać się zastanawiać, jak tak gruby kot mógł dosięgnąć kurka z gazem?

– Przecież przychodzę codziennie. Każdego dnia mnie pani widzi. Co w tym nadzwyczajnego? – zapytała niepewnym głosem dziewczyna, wpatrując się w czarno-białe stworzenie, jakby widziała je po raz pierwszy.

Kocur, o umaszczeniu jak najbardziej pospolitym, najwidoczniej nie był tylko kotem, co podpowiadała jej intuicja, ale starała się ją zignorować. Nie lubiła jej ufać, przecież.

Gdyby Klara miała choć trochę mniej nieustępliwy charakter, uciekłaby. Być może była po prostu ciekawa, niemniej jednak nie wycofywała się łatwo, nawet jeśli wokół działy się rzeczy nie do końca zrozumiałe. Musiała mieć wyjaśnienie, czekała więc.

– Jako Perelka jesteś i będziesz nadzwyczajna. Ty. I on. Ach, on, Zręczny Chłopiec... – Zamilkła, z trudnym do zinterpretowania wyrazem twarzy, po czym kontynuowała. – Tyle, że najpierw musisz się nią stać – skończyła, cierpkim głosem.

Mówiła z trudem, jakby organizm przypomniiał sobie, że jest właściwie wrakiem, co jakiś czas mocno kaszłąc. Klara jednak nie ruszyła się z miejsca, sparaliżowana i nagle mało miłosierna. Miała ochotę wyjść, lecz mimo wszystko trwała z kwaśną miną, siedząc na drewnianym zydelku do obierania ziemniaków.

– Nie ja cię wybrałam – mówiła dalej Brygida. – Prawdę mówiąc, nie jesteś najlepszym wyborem. Ale przeznaczenie wystrychnęło mnie na dudka. Gorszej idiotki ze świecą szukać. Widzisz, brak ci nawet charakteru, żeby mi się odciąć. Milczysz jak głupia gąska, taka prawda! Musisz stać się kimś, a nie nikim. Jak możesz być Perłą, skoro daleko ci nawet do zwykłego gnoju? Masz jechać do domu. Masz zatrzymać Koło Życia, które kręci się w upiornej regularności, wzbudzonej przez ciebie! Lecz czy będziesz potrafiła? Czy się nie pomyliłam? – staruszka w zamyśleniu spytała samą siebie. – Nie może być inaczej, nie może być.

– Domu? Jakiego domu? Ja nie mam domu, a pani wariuje, majaczy pani, Brygido. I obraża mnie bardziej, niż powinna – powiedziała dumnie Klara, jeszcze bardziej rozsierdzając staruszkę. Ta zamilkła na chwilę, jakby

zupełnie tracąc nadzieję na to, że z dziewczyny da się jeszcze coś zrobić. Po chwili niemal bezgłośnie wyszeptala „nie ja wybierałam”.

– Nie wiesz, nie rozumiesz – mówiła dalej. – Nie musisz, nie teraz. Twoją powinnością jest mi zaufać, bo tylko ja wiem, co dla ciebie najlepsze. Bo przecież nie oni, prawda? Nie twoja kochana rodzinka? – Staruszka zrobiła efektowną pauzę. Zakasłała. – Dla mnie jesteś ważna, niezwykle, Perelko. W naszej historii, twojej historii, szalona Bogini rzuca wszystko dla śmiertelnika, którego kocha ponad wszelką miarę. I staje się Perłą, wrzuconą w koło ludzkiego życia, by pojawiać się raz na jakiś czas i sprawiać, że historia kocha się powtarzać. Księżniczka, która rzuca się z klifu, bo nie może zatrzymać przerastających ją wydarzeń, zaniedbana panna włamująca się do starego dworu, gdzie ma nadzieję znaleźć kochanka. W porze „nim zapadnie zmrok, lecz przed końcem dnia”...

Klara poruszyła się niespokojnie.

– W każdym razie – staruszka kontynuowała – nasza bohaterka, bo jest tylko jedna w każdej z tych historii, nie powinna była tego robić, za każdym razem bronić się przed nieuniknionym. Ale może przeceniam ludzi, przeceniam ciebie, w końcu rozumu ci poskąpiono. Tyle, że w noc Samhain wszystko może się zdarzyć, a ty masz możliwość naprawienia swoich dawnych błędów. Już czas, jedyny i niepowtarzalny! Trzeci... Mało, pomyślisz sobie pewnie, ale to przecież magiczna liczba, dla nas, Dzieci. Masz tam jechać dziewczynko i go odnaleźć, twojego Zręcznego Chłopca. Kontynuować to, co, dziewczę, zaczęłaś. To, co rozpoczęłaś w Mag Mell, Perelko.

Monolog wydal się Klarze belkotem. Miała dość całej sytuacji, swojego pozornego spokoju.

– Nie – odpowiedziała tępo, nie pytając o szczegóły, nie chcąc ich znać. „Absurd”, pomyślała za to.

– Nie spytałaś nawet, kogo masz znaleźć, a fe. Wstydź się swojej ignorancji. Przecież mamy mało czasu, a ty nie chcesz mnie słuchać. Dobrze, możesz nic nie wiedzieć, ale i tak tam pojedziesz, Perelko. Wtedy, we śnie dostaniesz bukiet białej koniczyny i Irlandia powita cię jak swoją. Zapuść tylko włosy!

Dziewczyna wybiegła, tak, jak wielokrotnie uciekała we śnie. I tak, jak w nocnym koszmarze, zamknęła się w swoim mieszkaniu, starając się zapomnieć o dziwnym popołudniu.

Tamtej nocy stara Brygida umarła. Być może uznała, że przekazała informację i nie ma już dla niej miejsca wśród żywych, może chciała swoją

intrygującą postacią dręczyć anioły w niebie, bo Klara nie wątpiła, że w jakiś sposób zaradna staruszka okpiła świętego Piotra. Ostatnią rozmowę z podopieczną i jej wyraźne życzenie wyjazdu w bliżej nieokreślone miejsce uznała za majaki starej baby i po pogrzebie usilnie starała się o tym zapomnieć.

Im bardziej jednak się starała, tym bardziej wspomnienie powracało i pociągało za sobą pewne dziwne wydarzenia, których w żaden sposób nie dawało się wyjaśnić. Dwa tygodnie po śmierci Brygidy uświadomiła to dziewczynie wyrwana kartka i powoli odrastające włosy, których dziwnym zrządzeniem losu nie mogła skrócić. Wszyscy fryzjerzy nagle się pochorowali, a kiedy próbowała obciąć się sama, maszynki przestawały działać. Postanowiła zostawić wszystko własnemu biegowi i nie przeglądać się zbyt często w lustrze. I nie chodziło tu tylko o wygląd, lecz raczej nerwowy nałóg wrywania sobie włosów z głowy. Lepiej było o tym wszystkim nie myśleć. Nie potrafiła przestać.

Wróciła myślami do rzeczywistości. Odwróciła kartkę, przeczesała nerwowo odrastające pukle i syknęła z bólu, gdy podrapał ją gruby kocur denatki, który pojawił się znikąd. Przez dwa tygodnie nie było po nim śladu, postawiła już na nim krzyżyk, a on nagle pojawił się jak duch, prychnając sobie radośnie.

– Pólka – powiedział kocur, jakby czytając jej w myślach.

Podskoczyła, nie wierząc własnym uszom.

Właśnie to słowo napisane było z drugiej strony kartki, którą po przeczytaniu tekstu upuściła. Zaś chodzący i mówiący kocur nie był wynikiem jej wybujałej wyobraźni, chociaż przez chwilę miała taką nadzieję.

– Tylko nie mów, że nazwała cię Behemot – pisnęła dziewczyna, przerażona. Uszczypnęła się. Zabolalo.

– Właściwie to mam na imię Maniuś.

Nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

Jednym z decydujących czynników, które skłoniły w końcu Klarę do wyjazdu, był zapis w testamencie Brygidy, mówiący o tym, że jej opiekunka odziedziczy wszystko, tylko jeśli pojedzie do Inistioge w hrabstwie Kilkenny, w Irlandii i spotka się tam z Mary O'Connell, jej dawną przyjaciółką. I oczywiście odpowiednio to udokumentuje.

Nagle belkot starszej kobiety stał się rzeczywistością i Klara przez kilka dni nie mogła się z tym pogodzić. Początkowo nie chciała pieniędzy. Później usłyszała sumę i zaczęła się wahać. W końcu każdego da się kupić. Bo przecież oprócz sporej sumki, miała odziedziczyć również dom. W Inistioce. Nie miała pojęcia, jakim cudem Brygida zdobyła się na taką hojność. Ale dziewczyna nie wątpiła, że staruszka próbowała manipulować nią także z za grobu. I pozwalała sobą manipulować.

Klara przywłaszczyła sobie znaną na półce książkę, o której ciągle wspominał kot, mówiący. Ba! Prowadzący żywe dysputy, na których niezwykłość dziewczyna nie zwracała już uwagi, tak były zajmujące. Przypominały jej coś nieuchwytnego, co straciła dawno temu, jednak nie potrafiła sobie przypomnieć, co właściwie. Wolumin był zaś jak pałacy wyrzut sumienia. Nie mogła przejść obok obojętnie. Nie potrafiła go odłożyć, by nie czuć niesłabnącego uczucia, które nakazywało sięgnąć po niego znowu. Im bardziej zagłębiała się w treść, tym bardziej chciała rzucić uciążliwą książkę w ką, jednocześnie jednak coraz bardziej historia wciągała dziewczynę pomiędzy litery. Jakby była bohaterką „Niekończącej się historii”.

Był jeszcze Maniś. To idiotyczne imię przyłgnęło do czarno-białego kota jak lep, więc nawet nie próbowała go zmieniać. Każdy dzień był dla niej kolejnym absurdem, bo czy może istnieć mówiący kot? Może powinna kupić mu buty? Nawet plamy na sierści Maniusia przypominały wzorem koniczynki. Poza jednym wyjątkiem, nie odezwał się od czasu śmierci swojej poprzedniej właścicielki, więc Klara nie była pewna, czy aby na pewno wszystko nie było tylko snem. Straciła pracę i patrząc na coraz niższą sumę na koncie, już miała dostać załamania nerwowego, kiedy dowiedziała się o jeszcze jednym warunku – miała jechać jeszcze w tym samym miesiącu, w październiku. Na dodatek miała to zrobić w tygodniu poprzedzającym święto Wszystkich Świętych.

Starła się nie zwracać uwagi na to, że odrastające pukle były ognistorude, mimo iż prawie całe życie była tylko szarą blondynką. Wszystko musiało mieć wytłumaczenie. Wierzyła, że takie rzeczy się zdarzają. W cztery tygodnie po rozmowie ze staruszką sięgały już łopatek.

Jednak ta książka była już dla niej pewnym ewenementem. To, jak na nią oddziaływała. „Łoże boleści Cuchulainna i zazdrość Emer”, przeczytała na okładce. Magiczne sploty, herosi, damy, geasa. Racjonalny umysł tego nie pojmował. Racjonalny umysł zakazywał jej wypełnić przykazania, zawarte

w warunkach wykonania testamentu. Klara nie chciała jechać do Irlandii, bo wydało jej się to równie bezsensowne, jak przygarniecie Maniusia, co było drugim warunkiem.

Kim mogła być Mary O'Connell?

Nawet nie zauważyła, jak z książką pod ręką pakowała starą walizkę denatki, bo z jakiegoś powodu wydało jej się to właściwsze, niż użycie nowej, niedawno kupionej torby. Jakaś magiczna siła zaplanowała za nią wszystko, znalazła pensjonat, kupiła bilet, a nawet wyszukała odpowiednie połączenia komunikacyjne, by dziewczyna nie musiała się zbytnio nachodzić. Wystarczyło tylko, by z tego skorzystała. Właśnie dlatego się wahała.

Kota zostawiła pod opieką innej sąsiadki.

– Jeżeli ktokolwiek powinien dostać te pióra, to zdecydowanie jestem to ja – powiedziała Emer, z niesmakiem spoglądając na Ethne, żonę króla Connora MacNessy.

Kiedy omal nie skoczyły sobie do oczu, Emer była również pierwszą, która się opamiętała. Czy powinna kłócić się o stado dzikich gęsi? Miała kogoś, kto bez problemu mógł upolować cztery ptaki. Dumne, dzikie, o białe srebrzystych piórach. Dokładnie takich, których potrzebowała do dokończenia wykonywanego na święto Samhain płaszczka.

– Skoro nie ma ani Conalla, ani Fergusa, a święto nie może się bez nich rozpocząć, posłajcie po mego męża. To piękne stado leci nad nami nie bez powodu, to znak. A znaków się nie lekceważy – powiedziała i rozejrzała się za Lebrocham, córką Oa, dziewczyną, która zawsze znajdowała Cuchulainna, gdziekolwiek ten przebywał. Emer sama chciałaby mieć taką zdolność. Szczególnie, kiedy mąż opuszczał ją, jadąc w Erin z Czerwonym Oddziałem.

– Czy nie ma dziś kogoś innego, kto mógłby zapolować na ptactwo? Czy mało ci Ulsterskich mężów, Emer? – odpowiedział tymczasem Setanta, zwany Psem Cullaina. Cuchulainn.

Kiedy spoglądała na niego, serce rozrywało się jednocześnie z miłości, bólu i nienawiści, że tak często ją opuszczał.

– Nikt nie zrobi tego tak dobrze, jak ty. Sencha zniszczy skrzydła, Finbar przetnie pióra. Potrzebny jest ktoś z twoją celnością lub ze wzrokiem Conalla, lecz tego nie ma jeszcze z nami – odpowiedziała spokojnym, choć dumnym głosem Emer.

Wymienili przeciągłe spojrzenia. Po chwili Cuchulainn wyszedł bez słowa. Takich momentów Emer nie cierpiała, gdyż nigdy nie wiedziała, czy mąż wysłuchał jej prośby,

czy ją zignorował. Uśmiechnęła się jednak, kiedy doniesiono jej, że zabrał swój łuk i strzały i samotnie, jak to miał w zwyczaju, poszedł upolować dla niej białopiórą gęś.

Z uśmiechem na ustach rozpoczęła ucztę.

Nienawidził komarów. Szczególnie podczas polowań, kiedy to uporczywe bzyczenie wyprowadzało go z równowagi i skutecznie dekoncentrowało. Chcąc dodać sobie animuszu, poprawił koleczan, który niewygodnie uwierał go w plecy. Chociaż kto jak kto, ale on nie musiał dodawać sobie pewności siebie. Miał przecież pewną rękę, a jego strzały zawsze trafiały do celu. Był bohaterem, przyjaciele bogów, umiłowanym samej Morrigan.

Gęsi znalazł przy leśnym jeziorze, gdzie przystaneły, by odpocząć i się posilić. Postanowił, że przyczai się i będzie czekał, aż wzlęcą. Łatwiej je dosięgnie. Na szczęście nie musiał długo oczekiwać tego momentu, lecz czas, kiedy się ukrywał, a niemilosierne komary zrobiły sobie z niego ucztę, wykorzystał, by przyjrzeć się stadu. Szybko wybrał spośród nich dwa największe, najpiękniejsze ptaki. Lecz niegodziwością byłoby zabijanie ich na łądzie.

Strzelił do obu, gdy znajdowały się na wysokości pierwszych drzew. Ku swojemu zaskoczeniu – jedna z dwóch wypuszczonych strzał chybiła, druga przebiła tylko skrzydło, nie przerywając ptakowi lotu. Cuchulainn zdenerwował się tak mocno, że nie zauważył wielkiej dziury na lisy i po prostu do niej wpadł.

„Kim do cholery jest ten cały Cuchulainn?” pomyślała Klara, wysiadając z autobusu. Cały czas trzymała zamknięty wolumin – wcale nie lekki – pod pachą, zupełnie nie dostrzegając, jak bardzo kępuje jej ruchy. Wyglądała za to przezabawnie, dodatkowo z książką pod pachą i walizką w ręce. Lecz mimo dziwnego wyglądu, była mobilna i spokojnie radziła sobie sama. Zielona Wyspa powitała ją symbolem koniczyny i tlokiem, lecz dziewczyna zdawała się nic sobie z tego nie robić. Zdawała.

Rozłożony parasol zaczął wrywać się pod wpływem wiatru, ale mężczyzna zdołał przytrzymać przedmiot, który najwyraźniej żył swoim

życiem. Nie zaskoczyło go, że zaczęło padać i, szczerze mówiąc, nie stanowiło to dla niego zbytniego problemu. Tak samo jak przejście na drugą stronę ulicy i uśmiechnięcie się do niewysokiej brunetki, która stała na przystanku autobusowym z grobową miną. Klasycznie piękna dziewczyna jednak zmierzyła go pogardliwym spojrzeniem, szybko więc stracił nią zainteresowanie. Bus do Kilkenny pojawił się dokładnie w momencie, gdy parasol mężczyzny wyrzucił się na drugą stronę. Spojrzał na niego ze stoickim spokojem, wyrzucił do najbliższego kosza i skupił uwagę na wpychaniu się do zatłoczonego pojazdu.

Irlandia. „Co ja do cholery tu robię?”, pomyślała, przystając obok przejścia dla pieszych, przy wyjściu z dworca.

Z Wrocławia prosto do Dublinu. Autobusem. Kosztowało ją to trochę, ale bała się samolotów, ich huku, możliwości spadania. Zamiast jednego dnia straciła ponad dwa, lecz i tak uważała, że warto było. Z Dublinu do Kilkenny dojechała pociągiem w niecałe dwie godziny i nie mogła się nadziwić, jak bardzo Irish Rail różni się od PKP. Wszystko było tak proste, tak łatwo jej przychodziło, jak sen. Miała tylko nadzieję, że to nie zapowiedź koszmaru.

Chociaż Inistioge leżało zaledwie czterdzieści minut drogi od Kilkenny, Klara nie czuła się na siłach, żeby jechać tam jeszcze tego samego wieczoru. Nie zdawała sobie sprawy, że dotrze na miejsce aż tak późno i że będzie aż tak zmęczona. Zamiast więc jechać w ciemno do nieznanego, małego miasteczka, zatrzymała się w Hibernian Hotel, który polecił jej Wujek Google. Szła prosto przed siebie, przez most, pod którym płynęła Nore. Po drodze, dla upewnienia się, zapytała kilka osób o drogę, ale wszystko wskazywało na to, że potrafi czytać mapy. Była z siebie przez chwilę dumna, jednak zbyt mocno wierzyła w swojego smartfona, który rozładował się, pozbawiając ją nawigacji.

Mimo iż droga była prosta, i łatwa do zapamiętania, Klara zgubiła się. Nie miała pojęcia jak, lecz dopiero po godzinie dotarła na miejsce, o czym poinformowały ją wielkie, złote litery, ozdabiające budynek i obwieszczające jego nazwę. Uśmiechnęła się na widok dziewiętnastowiecznej, szarej elewacji, stojących jeszcze na chodniku srebrnych stolików i stylizowanych świeczników na nich, gdyż to właśnie te na pozór nieistotne elementy

upewniły ją, że się nie pomyliła. I zapowiadały upragnione łóżko, możliwość zmiany mokrego ubrania i pozorny spokój.

Wystrój hallu utrzymano w klimacie małego miasteczka, jakim było Kilkenny. Czuć było historię, z każdym kolejnym ruchem wnিকającą do organizmu. Klara nie znosiła powrotów do przeszłości, jednak tamto pomieszczenie, w brązowych, miłych dla oka barwach, jakoś ją uspokajało. Dokładnie tego oczekiwała po czterech gwiazdkach obok nazwy hotelu.

Trochę zaniepokoiła się, kiedy odkryła, że ma zarezerwowany pokój, ponieważ sama tego nie zrobiła. Nie sądziła, by była to sprawka Maniusia, bo początkowo nie planowała zatrzymać się w Kilkenny. To było tak samo alarmujące, jak ciągle odrastające włosy. Przyglądziła je nerwowo, ale z pokoju skorzystała.

Zaczęłyby znowu wierzyć, że wszystko było tylko głupim żartem, gdyby nie tkwiący w jej aktówce testament. Westchnęła, kładąc się na twardym łóżku i nawet nie zauważyła, kiedy zasnęła. Miała niespokojne sny, w większej części przypominające o ponurej przeszłości, z którą starała się ze wszystkich sił skończyć, zapomnieć o niewybaczalnych dla perfekcjonistów głupich błędach. Bezskutecznie. Dawny czyn zdawał się być niewymazywalny, odbijał się echem gdzieś na krańcach jej świadomości. Doprowadzał do tego, że zaczynała się przed sobą tłumaczyć, chociaż nie widziała w tym żadnego sensu. Po co? Nie znosiła dzieci, nie chciała żadnego mić, a z tym, co zrobiła przed rokiem, nie miała przecież problemu. Usunęła dziecko, by mieć święty spokój, nie po to, by zjadały ją wyrzuty sumienia. Nawet obcięcie włosów i zerwanie kontaktów z rodziną było tylko dodatkowym następstwem tego czynu.

Nie chciała dać się zwariować, mimo to podświadomość ciągle stroiła sobie z niej upiorne żarty. Znowu śniła jej się czarnowłosa panienka, tym razem sen był jednak bardziej realistyczny. Nigdy wcześniej bowiem dziewczynka nie pojawiała się wieczorem, ani co więcej – nie pukała w okno. W tamtym momencie zaś, robiła to zawzięcie, stojąc na niewielkim tarasie i uśmiechając się swoim niezwykłym, upiornym uśmiechem. Nadal miała te same, czarne warkoczyki, ciemne, nienaturalne oczy i czerwoną, idealnie skrojoną sukienkę. Na jej ramieniu siedział ptak, ale Klara nie potrafiła ocenić, czy był to kruk, czy wielka, padlinożerna wrona.

Kobieta obudziła się, jednak miała wrażenie, że sen trwał nadal. Dziewczynka nie ruszyła się z miejsca. Perelka, jak nazwała ją niegdyś

Brygida, podeszła do okna i w przyplwywie trudnych do określenia emocji, wpuściła dziecko do pokoju. Serce wybijało rytm szybkiego marsza. Podbrzusze kurczyło się ze zdenerwowania. Zbladła.

Czy to mogła być jej nienarodzona córka?

Dziewczynka przebiegła przez pokój, zabierając książkę z mitami. Ptak lypał wokół wielkimi, żółtymi oczyma, które – jak się zdawało – mogły przeświecić całą duszę.

Kiedy Klara otrząsnęła się z chwilowego szoku, pobiegła za dziewczynką. Nie miała przy sobie ani dokumentów, ani ładującego się telefonu. Nie myślała logicznie. Coś w głębi duszy mówiło dziewczynie, że musi odzyskać książkę, bo w niej znajduje się rozwiązanie zagadki Brygidy. Nawet nie zauważyła, że zaczęło padać.

James Connolly uśmiechnął się pod nosem, zadowolony z siebie jak nigdy dotąd. Właśnie wychodził z baru Dempsey's, szczęśliwy z powodu dniówki, która w zasadzie wpadła do jego budżetu dość niespodziewanie. Nie sądził, że kiedykolwiek wpuszczą go jeszcze do tego pubu jako barmana, nawet jeśli miał pojawić się tylko na zastępstwo. Jak widać – mylił się i pomyślał dość filozoficznie, że życie potrafi zaskakiwać, a nawet spalone na popiół mosty potrafią się odbudować, kiedy komuś pali się rzyć.

Jedna rzecz nie zmieniła się jednak, od kiedy tam pracował – drzwi. Zawsze próbował pociągnąć odrzwia, które trzeba było popchnąć, a kiedy zdawał sobie z tego sprawę, zazwyczaj wypadł na chodnik z wielkim impetem, potykał się o wystający próg i o mało nie przewracał. Tak samo było i tym razem, z tą jednak różnicą, że wpadł na niską, na oko osiemdziesięcioletnią staruszkę. Zaraz jednak poczuł wyrzuty sumienia i pomógł jej wstać, jednocześnie dziwiąc się wielkim, czarnym oczom kobiety, które coś mu przypominały. Dwa pozbawione końca tunele, lub coś równie banalnego.

W tym samym czasie kobiecina zwinęła mu portfel i, ściągniętą profilaktycznie, obrączkę. Zastanawiał się później, jak zdołała tak szybko się do nich dostać, ponieważ obie rzeczy leżały bezpiecznie, jak mu się wydawało, w wewnętrznej kieszeni kurtki. Najprawdopodobniej więc nie zauważyłby zniknięcia, gdyby nie odbiegła kawałek i nie zamachała zabranymi mu z kieszeni rzeczami. Zupełnie jakby chciała, żeby ją gonili.

Otworzył ze zdziwienia duże, zielone oczy. Wabik na kobiety.

I, mimo iż miał kiepską kondycję, zaczął biec wzdłuż John Street Lower. Szło mu całkiem nieźle, być może dlatego, że staruszka co jakiś czas przystawała, żeby na niego poczekać. Ciężko dyszał, mimo wszystko.

Z paniką mijał piękne witryny, przed którymi zazwyczaj przystawał i malownicze, niskie budynki z początków dwudziestego wieku. Potykał się na wystających płytach chodnikowych, gdyż nogi standardowo się plątały. Widział, że kobieta robi dokładnie to samo, jakby była odbiciem jego własnych lęków. Jakaś część jego umysłu zaczęła się nad tym zastanawiać, jednak przede wszystkim James był nieprzeciętnie wkurzony. Ciekawe, co on powie Emmie!

Gdzieś w okolicach mostu Świętego Jerzego usłyszał drącą się Polkę. Jak on nie znosił Polaków! Ale sam też zaczął krzyczeć, nie zwracając uwagi na dziwne spojrzenia przechodniów. Jakby to mogło w czymś pomóc... Właściwie miał taką nadzieję.

Staruszka wbiegła na most i zadziwiająco sprawnie przeskoczyła przez barierkę. Nie zdążył się nawet zatrzymać, zamiast tego zderzył się z krzyczącą wcześniej cudzoziemką, przez co nie usłyszał pluśnięcia.

Sekundy nagle nabrały światowego rozmachu chwil, decydujących o całej przyszłości ludzkości. Był zbyt oszołomiony, żeby krzyczeć na kobietę. Tym bardziej, że i ona była świadkiem dziwnego zdarzenia.

Zaraz za staruszką, w odmęty Nore skoczyła mała, ciemnowłosa dziewczynka.

James chciał rzucić się za nią, złapać, ratować, nie był w stanie jednak nic zrobić. Oboje, wraz z rudowłosą, wychylili się przez barierkę. Zamiast spodziewanego widoku dwóch tonących osób, zobaczyli wznoszącego się znad tafli wody kruka. Tego samego, który leciał wcześniej za dziewczynką, tworząc upiorny klimat rodem z taniego horroru. Czy to była jej córka? Co powinien zrobić? Czy zadzwonić na policję? Karetka? Straż przybrzeżna?

Żaden z przechodniów się nie zatrzymał, jakby samobójcy, skaczący z tego mostu byli czymś normalnym. Przez chwilę zastanawiał się, czy przypadkiem nie śni.

Kobieta zaczęła histerycznie płakać, a James, nie wiedząc, co właściwie powinien zrobić, po prostu podał jej chusteczkę. Rozpaczać jednak nie przestała, a on w sumie się nie dziwił. Był oszołomiony. Sam nie wiedział, co właściwie powinien myśleć o całym dziwnym zdarzeniu i kiedy dziewczyna zaczęła wracać w swoją stronę, rozejrzał się wokół.

Dostrzegł książkę, którą upuściła dziewczynka. Podniósł wolumin, zaczął przeglądać i niemal natychmiast zamknął, bo przypomniał sobie, że jej rudowłosa opiekunka biegła bosą, wyglądając jak wariatka.

Być może ona wiedziała coś, co mogłoby mu pomóc zinterpretować dziwne wydarzenia sprzed zaledwie kilku minut? Portfel, dziwnym trafem znalazł w tylnej kieszeni spodni, natomiast o obrączce już nie myślał. Jakoś wyparł z pamięci możliwe konsekwencje jej zgubienia, których jeszcze przed momentem się bał. Zamiast tego przypomniał sobie rude włosy nieznajomej. Poczul potrzebę niesienia pomocy, chociaż była Polką. Pobiegł więc za nią, myśląc, że tego wieczoru zdecydowanie zbyt dużo biegał.

Nie dogonił jej. Zniknęła mu z oczu szybciej, niż myślał.

Pomasował zbitą głowę i wymacał guz wielkości przepiórczego jaja. Ze złością spojrzął w górę. Jakim cudem on, syn Lugha, wpadł do pułapki na lisy? Przecież to niemożliwe, powtarzał sobie. Jak człowiek znany ze swego bitewnego szarżmu, mąż, którego musiało trzymać pięciu ludzi, kiedy się zdenerwował, pozwolił sobie na taki brak czujności?

I dlaczego pułapka była aż tak głęboka, że nie był w stanie wydostać się z niej sam? Poczut się bezradny, a bardzo nie lubił tego uczucia. Nie próbował nawet skakać, bo wiedział, że na niewiele się to zda.

Próbował wspiąć po nierównych ścianach wykopu, lecz grząska ziemia uniemożliwiała mu to. Przeklął nadgorliwych myślących, zapominając, że w gruncie rzeczy to on sam wykopał tę pułapkę. Spojrzął w górę, wściekły jak rój rozdrażnionych os. Gdyby miał taką możliwość, usiadłby z zaskoczenia.

Była piękna niczym wiosenny poranek. I choć poranki potrafią być beznadziejne, ten, do którego ją porównał, zaliczał się do najcudowniejszych chwil jego życia.

Rude włosy opadały jej wokół twarzy, nieco zastaniając widok, co skomentowała prychnięciem. Jednak po chwili znów spojrziała na niego ze złośliwym uśmieśkiem. Nic nie mówiła, jakby nieco zamyślona, a Cuchulainn po raz pierwszy w życiu się zaczerwienił. Badała go wzrokiem pełnym triumfu, jakby cieszył ją widok uwięzionego bohatera Irlandii. Tego, o którym już pisano sagi, legendy za życia.

Nie pomyślał nawet, że mogła go nie znać. Każdy go kojarzył, a gdyby jednak nie, to jedno spojrzenie na charakterystyczny tatuaż na lewym policzku mówiło wszystko. Wielki krzyż słoneczny napiętnował go na całe życie.

– Czy nie masz, pani, przypadkiem przy sobie liny? – zapytał po kilku minutach, chcąc przerwać kłopotliwą ciszę.

Starał się nie myśleć, jak bardzo haniebne jest prośzenie kobiety o pomoc. Był jednak pragmatykiem. Nie będzie przecież siedzieć w dziurze, kiedy może z niej wyjść. Nawet z pomocą niewiasty.

Zaczęła się śmiać, a on pożałował, że w ogóle się odezwał. Jak taki okaz urody mógłby się skalać posiadaniem czegoś takiego jak lina? Poza tym pytanie było tak głupie, że skarcił się za nie w duchu. Tak po prostu przechodziła sobie przez las, dzierżąc w dłoni długą sznur? Niedorzeczne! Tym bardziej był więc zaskoczony, kiedy spuściła mu to, o co prosił. Z trudem wy dostał się z ciasnej dziury i brudny jak smolarz stanął przed najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział.

Spoliczkowała go.

Zaskoczony, pocierając piekący policzek zdał sobie sprawę, że jeszcze nigdy żadna kobieta go tak nie potraktowała. Emer, która wystawiła go na więcej prób, niż jakikolwiek mężczyzna i nawet Aife, u której uczył się sztuki walki.

W jakiś sposób wywołało to u niego uśmiech. Wtedy też dostrzegł drobne piegi na twarzy nieznanjomej i zauważył, że przenikliwe, przepiękne oczy kobiety miały kolor soczystych, zielonych liści.

Dostrzegł też na ręce wielką, świeżą bliznę po zabłąkanej strzale. Kto mógł jej to zrobić? Zastanawiał się też, jakim cudem zasłużył na karę. A te rozbrykane myśli zajęły mu tylko niecałe pół minuty.

– Jak... – zapytał, lecz mu przerwała.

Pocałowała go. Skołowany, zapomniał po co w ogóle wyszedł z palatium. Emer? Kim była kobieta dla której wykonał trzy mordercze zadania i zabił ponad setkę ludzi? Zapomniał o niej tak, jak zapomina się o zeszłorocznym śniegu.

– Zapamiętasz mnie na zawsze, Cuchulainnie. A kiedy cię wezwę, przyjdziesz. Tylko dlatego nyciągnęłam cię z dołu. Tylko takie jest twoje zadanie, herosie Eirinu. Teraz śpij, Zręczny Chłopcze, i zbudź się, gdy nadejdzie czas – powiedziała, odchodząc.

Jeszcze przez chwilę patrzył na jej drobną postać, obleczoną w jasnozielony materiał, delikatny jak babie lato. I padł pod drzewem, dzimnie senny, niejasno zdając sobie sprawę, że zachodzi słońce.

Przerażona, nie wiedziała sama dokąd biegnie, ani co właściwie powinna zrobić. Chciała się obudzić, ale wiedziała, że tym razem nie śni. „Więc co się

dzieje?” – pytała siebie w duchu, przemakając do suchej nitki. Włosy kleily się do twarzy, zasłaniając widok, a w gardle zasychało od zbyt długiego biegu, mimo iż miała dobrą kondycję. Rozmazany tusz spływał po policzkach, nadając jej wygląd misia pandy na odwyku.

Nie miała pojęcia, jakim cudem dostała się do hotelu. Ani jak ją wpuścili, bez karty do pokoju i butów. Musiała wyglądać na tyle żałośnie, że obsługa się nad nią zlitowała. A może po prostu ktoś ją rozpoznał. Nie myślała o tym. Starła się w ogóle tego nie robić. Rzucić wszystko w cholerę i wrócić do Polski. Ale przecież nigdy nie dawała za wygraną, mimo iż była coraz bardziej przerażona tym, co się wokół niej działo.

Następnego dnia siedziała więc w autobusie do Inistioge, jakby zupełnie nic się nie stało. Na miejsce dotarła po trzydziestu minutach, świadomie wybierając przystanek u wylotu miasta. Miała nadzieję, że spacer po miasteczku nieco ją otrzeźwi. Postanowiła więc wspiać się na pobliskie wzgórze, żeby choć na chwilę zająć myśli czymś innym.

Widok zaparł jej dech w piersiach. I choć słyszała już wcześniej, że Zielona Wyspa jest jednym z najpiękniejszych miejsc na ziemi, to mimo wszystko nie była przygotowana na tak cudowny widok, przytłumiony nieco październikowym chłodem. Wszędzie, gdziekolwiek się rozejrzała, rósł nieco przemarznięty shamrock, ożywiając krajobraz. Mgła jeszcze unosiła się gdzieniegdzie, spowijając dolinę mleczną poświatą. Między wzgórzami, płynęła dumnie druga rzeka Irlandii, dzieląc dolinę, w której leżała osada, na dwie części. W tafli rzecznej, wzburzonej przez jesienne deszcze, przeglądały się bezlistne już wierzby i smukłe topole. Po obu stronach wody, stały zaś malownicze domki, tworząc zwartą zabudowę, typową dla irlandzkiej prowincji. Pola malowniczo oddzielały od siebie kamienne opłotki.

Za zielonym wzgórzem, w dolinie rzeki Nore, ujrzała wioskę, której nazwa wywróciła do góry nogami jej szary świat. Inistioge, miejsce, do którego tłukła się cztery dni, otwierało się przed nią na horyzoncie i jednocześnie kusilo rozwiązaniem tajemnicy. I spadkiem. Dlaczego nie skorzystać z przygody, skoro ktoś ją sfinansuje?

Klara rozejrzała się wokół, łowiąc oczyma szczegóły, jakby w jakiś sposób mogła je wszystkie zapamiętać. Intuicyjnie stwierdziła, że musi kierować się w stronę mostu, jak gdyby po drugiej stronie znajdował się cel jej podróży. Włożyła zmarznięte ręce w kieszenie i znalazła coś, co nie należało do niej. Złotą obrączkę, z wygrawerowanym znakiem z Claddagh.

Dwie dłonie, trzymające serce w koronie. Pierścień, symbolizujący miłość. „Tandeta”, pomyślała.

Błyskotka należała do Irlandczyka, z którym zderzyła się poprzedniego wieczoru. Czula, jakby zdarzyło się to przed wiekami. Nawet nie pamiętała zbyt dokładnie jego twarzy, za bardzo spanikowała, by cokolwiek do niej docierało. Najbardziej zaś zdenerwowała ją utrata książki. Bo choć przedmiot irtował, to w jakiś sposób głęboko odczuła jego stratę.

Kiedy znalazła się na starym, kamiennym moście, chciała wrzucić obrączkę do rzeki. Nie lubiła mieć przy sobie nie swojej biżuterii, bo miała wrażenie, że ta przynosi jej pecha. Mogła drobiazg oczywiście gdzieś zostawić, ale po co? Przecież i tak nie sądziła, że drugi raz spotka tego człowieka. Zanim jednak zdążyła cokolwiek zrobić, poczuła, że coś drapie ją po lydce. I wtedy go zobaczyła.

Maniuś. Jakim cudem dostał się do Irlandii? I dlaczego miał na lepku tak beznadziejny kapelusz leprachauna?

Oczywiście, pobiegła za nim. Być może poprzednia noc powinna ją czegoś nauczyć, jednak kierował nią impuls. Nie miała również pewności, że ten czarno biały kot był jej gadającym znajomym. Ale jakie inne zwierze, miało białe futro w czarne koniczyny? Jaki przedstawiciel rodzaju *felis catus* byłby w stanie nosić coś na głowie dłużej niż kilka sekund?

Spojrzał na nią wyczekująco, a Klara w jakiś sposób zaczęła sobie zdawać sprawę, że za chwilę zdarzy się coś niezwykłego. Bo pospolicie wyglądające zwierze było przecież katalizatorem dziwnych zdarzeń. Miała takie przeczucie.

Starala się nie liczyć, ile razy wpadła w starą kretowinę, bądź poślizgnęła się na mokrej trawie, kiedy biegła przez łąkę. Znowu jak wariatka, taszcząc wielkie tobołki. A kot tylko co jakiś czas się na nią oglądał, sprawdzając, czy za nim podąża. Tak właśnie, co jakiś czas przystając, obserwując i badając siebie nawzajem, oboje dotarli pod pub Mary O’Connell. Klara nie do końca zdawała sobie z tego sprawę, dopóki Maniuś nie poinformował jej o tym. Z resztą chwilę później zniknął, zostawiając pannę na pastwę jej własnej niepewności, gubiąc przy okazji idiotyczny, zielony kapelusz.

Dziewczyna stała przed wejściem, niepewnie spoglądając na szyld i nie wiedząc, co właściwie powinna zrobić. Ruszyła się z miejsca dopiero, kiedy zaczęło padać, po raz setny przeklinając ilość zabranych w tę podróż rzeczy. Niepewnie przestąpiła próg, przeszła przez małą sień i omal nie wyzionęła ducha.

Za barem stał jasnowłosy Irlandczyk, który rozmawiał z piękną, wysoką blondynką, nieco wyższą od niego, jednocześnie nalewając lagera do smukłej szklanki. Z wrażenia wypuścił ją z rąk. Szkło rozbryzgnęło się na drewnianej podłodze z głośnym brzdękiem, a Klara upuściła walizkę. Nieliczni klienci spojrzeli w jej kierunku, więc omal nie zapadła się pod ziemię. Oczywiście, że go poznała, chociaż jeszcze przed kilkunastoma minutami zarzekała się, że nie byłaby w stanie.

Turystka i barman jednocześnie przypomnieli sobie sytuację na moście. Pomyśleli, że to przecież niemożliwe. Jak wiele jeszcze dziwnych rzeczy miało się wydarzyć? Spoglądała na niego z niedowierzaniem, a choć w jakiś sposób zdawała sobie sprawę, że to niewłaściwe, nie mogła przestać. Miała mieszane uczucia.

Mężczyzna uśmiechnął się w sposób, który widocznie musiał być zarezerwowany tylko dla nielicznych, o czym świadczyła zmarszczona twarz blondynki i wyraz jej szarych oczu. Spokojnie ironiczny, świadczący o ciszy przed burzą.

Klara odwróciła wzrok i, aby opanować nieco rozproszone myśli, rozejrzała się po pomieszczeniu. Zielone ściany niewielkiego pomieszczenia przypominały jej dom rodzinny i w jakiś sposób, uspokajały, mimo iż słowo „rodzina” nasuwało jej głównie gorzkie skojarzenia. Oprócz tego wielkie jabłonie, namalowane na ścianach, lśniący od czystości bar, kufle i szklanki na podświetlanej półce, tworzyły swoisty, baśniowy klimat. Brązowe stoliki, każdy inny, stały gęsto na niewielkiej sali, przy każdym z nich ustawiono krzesła, a w całym pomieszczeniu nie znalazłoby się drugiego do kompletu. Siedzieli na nich nieliczni, przeważnie starsi mężczyźni, sącząc piwo lub whisky. Z głośników leciała spokojna, współczesna muzyka, czego nie do końca się spodziewała i jakby nie zarejestrowała od razu. Potrafiła sobie wyobrazić to miejsce wieczorem, spowite przez lekko rozmyte światła kinkietów i mimo woli uśmiechnęła się. Nadal jednak niespokojna, podeszła do baru i płynną angielszczyzną, poprosiła o pokój, zarezerwowany już wcześniej. Nie miała odwagi pytać o Mary O’Connell, ani wspominać o Brygidzie. Była onieśmielona, a rzadko jej się to zdarzało. I chyba знаła tego przyczynę.

Miał bardzo zielone oczy, charakterystyczne dla wyspiarzy, i spokojny, melodyjny głos.

– Ten pokój jest wolny – powiedział, otwierając drzwi. Pomógł wnieść walizkę, odwrócił się w jej stronę. Chciał coś powiedzieć, stanął nawet,

przez chwilę przyglądając jej się, ale zrezygnował i wyszedł. A Klara padła, nagle zmęczona, na wielkie, dwuosobowe łóżko. Zasnęła.

Do pierwszego listopada zostały jej zaledwie trzy dni.

Obudziła się z dziwną chęcią zejścia na dół. Była głodna, wymięta, nieuczesana. Używanie szczotki nadal stanowiło nowość. Włosy, po pięciu tygodniach od śmierci staruszki, kończyły się w połowie pleców, nie wypadaly, lśniły i rzadko przetłuszczały. Mimo to denerwowała się. Miała wrażenie, że przestaje być sobą. Zzieleniały jej oczy, niegdyś lekko piwne. Za każdym razem, kiedy przeglądała się w lustrze, wszystko mówiło, że dzieje się z nią coś niedobrego. Kiedy spojrzała w zwierciadło pierwszy raz od czasu pojawienia się w Inistoge, zauważyła piegi na twarzy. Nigdy nie była piegowata.

Nie sprawdziła, która właściwie była godzina. Po widoku za oknem domyśliła się, że najprawdopodobniej był późny wieczór, ciemny i spokojny. Kolejny raz zaburczało jej w brzuchu, zeszła więc na dół po krętych schodach, potykając się co jakiś czas. Jak gdyby buty nagle zrobiły się zbyt duże.

W istocie zbliżała się już druga. Molly O'Connell Pub już od jakiegoś czasu był zamknięty, a jasnowłosy barman odwracał ostatnie krzesła. Obok stało wiadro z mopem, a sama sala wyglądała dokładnie tak, jak Klara sobie wyobrażała.

Chciała cofnąć się możliwie bezgłośnie, jednak gdy miała to zrobić, podniósł głowę. Jakiegoś powodu nie był zaskoczony jej widokiem.

– Witaj – powiedział z wahaniem. – Czy w czymś pomóc?

Był bezpośredni w sposób, który ją onieśmielał, chociaż unikał jej spojrzenia. Lekko się uśmiechał, jednak nie przerwał sprzątaniam. Miała pewność, że przeszkadza. I właśnie dlatego postanowiła zostać. Niemal odruchowo wyjęła jego zgubę z kieszeni spodni, chociaż miała pewność, że zostawiła ją w kurtce. Zaskoczona spoglądała na swoją wyciągniętą dłoń.

Wziął obrączkę powoli, bez słowa.

– Zaczekaj – powiedział, kiedy kolejny raz odwracała się, by odejść. – Albo nie, choć za mną. Mam twoją książkę – dodał, odstawiając mop. Podeszła więc za nim do baru, usiadła na stolku. Jakby okoliczności, w których zderzyli się ze sobą po raz pierwszy, były czymś naturalnym.

– Ładna rzecz – powiedziała, kiedy wsuwał ozdobę na serdeczny palec lewej dłoni.

– Sentymentalna – odrzekł, kładąc na barze wolumin.

Milczeli przez chwilę, a atmosfera między nimi gęstniała. Klara miała ochotę jednocześnie uciec i zostać. Wtedy zaburczało jej w brzuchu. Oboje się roześmiali.

– Zrobię ci kanapki. Tylko nie znikaj – powiedział, jakby bardziej rozluźniony.

Otworzyła książkę i zauważyła kilka nowych plam na brzegach starych, pożółkłych stron. Jednak poczuła się, jakby odzyskała przyjaciela. Wyjątkowo kłopotliwego. Być może po prostu lubiła książki.

– Kim ty właściwie jesteś, co tu robisz i... – zawahał się. – Co się właściwie wtedy stało? – zapytał, stawiając przed nią talerz kanapek i kufel piwa. Popiła i zmusiła się, by nie zjeść wszystkich kawalców na raz.

– Jestem Klara. Klara Haas – przedstawiła się. – I nie mam pojęcia, co się właściwie wtedy stało. Jestem tu przypadkiem, totalnym przypadkiem. To, że spotkałam ciebie... – urwała. – Ale skoro już się przedstawiłam, teraz chyba czas na ciebie. Kim jesteś? I – także ona się zawahała – czy masz chociaż najmniejszy cień pomysłu, co się właściwie wtedy mogło stać?

– James Conolly – odpowiedział, po czym zamilkł na chwilę, zamyślony.

– Cóż, miło już cię znać.

Cisza zawisła między nimi głównie dlatego, że dziewczyna zawzięcie przeżuwała kanapkę.

– Gonilem staruszkę, która ukradła mi portfel – powiedział ni stąd ni zowąd.

– Staruszki mają na tyle siły, żeby uciekać?

Ironizowała, ale podobało mu się to, najwidoczniej, ponieważ uśmiechnął się rozbijająco.

– Myślę, że mogłabyś się zdziwić – odparł, dyplomatycznie.

– Prawdę mówiąc, niewiele może mnie ostatnio dziwić.

– Czyżby życie dawało ci ostatnio w kość?

– Troszeczkę. Obrączka ma jakieś głębsze znaczenie, czy jest tylko ozdobą? – zmieniła temat. – Piękny symbol, słyszałam o legendzie.

– Nie każda czeka, jak w legendzie, niestety. Staram się w niej nie pracować, to kłopotliwa ozdóbka. Co cię tu sprowadza? – powiedział szybko, zanim Klara zdążyła zadać jeszcze jakiegokolwiek pytanie.

Karciła się w duchu, że w ogóle zapytała. Przez chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią. Spadek. Dom. Gadający kot. Przygoda.

– Dlaczego to dziecko wtedy skoczyło? – spytał, nie czekając na poprzednią odpowiedź. – Kim była?

– Nie mam pojęcia – odparła zgodnie z prawdą. – Być może była moja nienarodzoną córką – zaryzykowała. Spojrzał na nią jak na wariatkę, czego z resztą się spodziewała, ale podjął konwencję.

– Może była małym Sidhe? – zaproponował.

Wzruszyła ramionami. Być może.

– Właściwie to szukam właścicielki tego lokalu, Mary O’Connell – podjęła znowu. – Jestem jedyną spadkobierczynią majątku Brygidy... Bridget Raab i muszę się spotkać z jej dawną przyjaciółką, wspomnianą Mary. To jeden z nedorzecznych warunków wypełnienia woli denatki. A zmarłym się nie odmawia.

– No tak, kochają powracać. Jakby mieli, do czego.

Zamyśliła się i przez chwilę nie skupiała uwagi na tym, co mówił. Zamiast tego spoglądała w zielone oczy, które przypominały jej łąkę przed domem, jedynym, jaki kiedykolwiek miała, w czasie letniego zachodu słońca... Dlatego też dotarła do niej tylko końcówka jego wypowiedzi.

– ... to moja babcia.

– Kiedy mogę się z nią spotkać? – zapytała, nagle wrywając się z otępienia.

– Przypuszczam, że za jakieś pięćdziesiąt lat. Zakładając, oczywiście, że trafisz tam, gdzie ona. Czyli do piekła. Nie życze.

Przez chwilę zastanawiała się, czy właściwie zrozumiała, co do niej powiedział. Miał śpiewny, irlandzki akcent – ślad z dawnych czasów, kiedy to Anglicy siłą narzucili swoją kulturę sąsiedniej wyspie.

– I co ja mam teraz zrobić, w takim razie? – powiedziała po chwili, zrezygnowana. Ręce jej opadły.

– Mogę cię zaprowadzić na jej grób – zaproponował pół żartem. – Teraz, kiedy zechcesz. Ale raczej nie sądzę, byś była w stanie z nią porozmawiać.

– Uśmiechnął się ironicznie, kiedy to mówił. – Masz bardzo pouczającą książkę, chociaż mam wrażenie, że już kiedyś ją czytałem... – dodał.

Udała, że nie słyszała jego ostatnich słów i postanowiła go sprawdzić, sama nie wiedziała, po co. Uśmiechnęła się, po raz pierwszy tamtego wieczoru.

– Zaprowadź mnie tam. Teraz.

Bez chwili wahania kazal jej iść po kurtkę.

Obudził się gwałtownie i początkowo nie miał pojęcia, gdzie się znajduje. Kiedy jednak zdał sobie z tego sprawę, był bardzo zaskoczony. Ktoś nie tylko go umył i zmienił mu ubranie, ale przede wszystkim – położył w jego własnym łóżu.

Zobaczył, że po izbie kręciła się młoda służka, a chociaż starała się być niezauważalna, to nie bardzo jej się to udawało.

Jak w ciągu kilku godzin jego nieobecności Emer mogła tak bardzo nie słuchać jego wyraźnych poleceń? Od początku był przeciwny temu, by dziewczyna mu usługiwała. Tymczasem przestraszona służka, słysząc jak się poruszył na świeżym sienniku, upuściła brzoźową miotłę i wybiegła z komnaty. Cuchulainn był nieco oburzony. Czy to takie dziwne, że budzi się z krótkiej drzemki?

Bardziej zdziwił go jednak fakt, że po chwili ta, którą od dziesięciu lat mógł nazywać żoną, rzuciła mu się z płaczem na szyję. Wtedy był już mocno skonsternowany, ponieważ jego piękna ukochana raczej rzadko okazywała jakiegokolwiek uczucia.

– Skąd u ciebie taki zachowanie? Przecież ty nigdy nie płaczesz. Dlaczego jestem w łóżu? Nie mogliście mnie obudzić, musieliście przenosić? – Pytania wylewały się z niego z prędkością lecącej strzały.

Spojrzała na niego dziwnie, z miłością, ale i niepokojem. Szybkim ruchem wytarła mokre policzki.

– Ktoś cię zostawił przy bramie zaledwie kilka dni temu. Bez jakiegokolwiek żelaza w pobliżu. Nie miałaś miecza, ani łuku. Byłeś bezbronny jak niemowle – powiedziała.

– Jak długo wobec tego spałem?

Był już mocno zaniepokojony.

– Cuchulainnie, nie było cię prawie przez rok. Za trzy dni jest Sambain.

Przypomniał sobie słowa nieznanym i uśmiechnął się, patrząc gdzieś nieobecnym wzrokiem. Emer to zauważyła. Zaciśnęła usta w wąską linię i jeszcze mocniej przytuliła się do męża.

James wzdrygnął się, kiedy owionęło go zimne, przesycone mgłą powietrze. Księżyc schował się za kotarą chmur, sprawiając, że niemal nie widzieli drogi. Wcześniej jakoś nie pomyślał, żeby zabrać ze sobą latarkę i w tamtym momencie zaczął tego żałować.

Zanosilo się na deszcz.

Nie znał zbyt dobrze miasteczka, kiedy przyjechał kilka lat wcześniej, by pomagać schorowanej babci w prowadzeniu interesu. Wygnanie z Belfastu, w którym się wychował, przyjął za pewnego rodzaju zbawienie –

nienawidził tego miasta – jednak z babką dogadać się nie potrafił. Nie umiał też odejść z rajy na ziemi, z którym kojarzyło mu się przepiękne, zielone Inistioge. Krążył więc między stolicą Północy, a małą miejsciną na południu, nie potrafiąc sobie zagrać miejsca w żadnym z nich. Nie, żeby czuł się specjalnie rozdarty – pewne zobowiązania nie dają o sobie zapomnieć. Mimo wszystko kochał przecież swojego synka, mimo iż nierozzerwalnie kojarzył mu się z wyrzutami sumienia.

Tak właśnie, krążąc, poznał przyszłą żonę – w pociągu z Dublina do Belfastu. Wydawała mu się wtedy najpiękniejszą istotą na świecie. Doskonałą, o jakich czyta się tylko w baśniach.

Wszystko zweryfikował czas. Jak szybko mogło wyparować tak silne uczucie, jakim darzył Emmę? Teraz jednak było inaczej, bowiem Inistioge znał jak własną kieszeń, tak samo jak z resztą wszystkie możliwe skróty, chociaż właściwie nie było ich zbyt dużo. Zastanawiał się przez chwilę, dlaczego ta rudowłosa Polka z nim poszła. Po co był w ogóle ten spacer. W jakiś sposób tamta październikowa noc wydawała mu się niezwykła i to nie tylko z powodu ponownego spotkania z piękną Klarą.

Kiedy prawie się poślizgnęła, złapał ją za rękę. I już nie puścił. Ona też nie próbowała wyswobodzić dłoni z jego uścisku, jednak poczuł, że zdrząła. „Jakby jakiś impuls przebiegł między ich palcami”, przyszło mu na myśl tanie porównanie.

Mgła zrobiła się gęstsza, kiedy przekraczali mosiężną bramę cmentarza, a rozrzedzone światło lamp dawało niewiele światła. Dziwna wydała mu się także cisza, bo chociaż znajdowali się na świeżym powietrzu, to miał wrażenie, jakby przestrzeń ograniczona mleczną zawiesiną, zaciskała się wokół niego. Kiedy Księżyc w końcu zdecydował się oświetlić im drogę, Jamesowi zaczęło się wydawać, że drzewa mają oczy.

Kiedy doszli do grobu Mary O’Connell, mężczyzna przestraszył się nie na żarty. Chociaż mówiono o nim, że przecież niczego się nie boi. Sam tak o sobie myślał.

Na grobie babki siedział wielki kocur o bardzo typowym, białym czarnym umaszczeniu.

– Bardzo ładną mamy dziś noc, nieprawdaż? Chociaż wydaje mi się, że nieco pochmurną – powiedział.

James zakrztusił się własną śliną, spojrzał na Klarę. Co ma w sobie ta dziewczyna, że ściąga niezwykle wydarzenia do jego życia? Gdzieś przez krańce świadomości przemknęła mu myśl, że to nawet fascynujące.

– On gadał – krzyknął jednak, zakłócając cmentarną ciszę. Jego słowa przez chwilę niosły się echem w powietrzu.

– Maniś? – zapytała Klara spokojnie, jakby w ogóle nie była zaskoczona.

Właściwie zastanawiała się, w jaki sposób zwierzę przedostało się na wyspy. Ale czego mogła spodziewać się po mówiącym kocie? Tego, że nie będzie potrafił przemieszczać się w czasie i przestrzeni? Bo Klara miała wrażenie, że właśnie to potrafił robić jej adoptowany kot. Brakowało mu chyba tylko wielkiej, niebieskiej budki policyjnej.

– A znasz innego gadającego kota? – zapytał z bardzo ironicznym wyrazem na pyszczku. – Widzę, że lubicie odwiedzać zmarłych. Chcecie rady od trupa jasnowidzącej Szalonej Mary? Chyba już nie wstanie, chociaż możecie wierzyć, próbowała. – Kiedy zobaczył konsternację na twarzach Jamesa i Klary, spokojnie zaczął lizać łapkę, jakby napawając się ich zdziwieniem. Po dłuższej chwili, kiedy chłodne powietrze jeszcze bardziej zgęstniało, dodał – Za to ja wiem wszystko.

Dziewczyna poczuła, jak tłumione przez kilka tygodni emocje, weszły wielką, nieokielznaną falą. Kolokwialnie mówiąc – bardzo mocno się zdenerwowała.

– To może, DO JASNEJ CHOLERY, powiesz mi o co w tym rzeczonym wszystkim chodzi? – zapytała przez zęby, siłąc się na spokój. Oczywiście jej to nie wychodziło.

– Nie masz powodu, żeby na mnie krzyczeć. Właściwie nie mam obowiązku, żeby o czymkolwiek cię informować. Miałaś swoją szansę... – Znowu polizał łapkę, irytując milczeniem dziewczynę. – Sama wiesz, kim jesteś, przeczuwasz co się dzieje, po co ja ci mam, Perelko, cokolwiek mówić? Kiedyś próbowałem.

– Nie próbowałeś.

Zaśmiał się, co zabrzmiało trochę, jakby próbował wydalić spory kłaczek.

– Zdajesz sobie przecież sprawę, że książkę podrzuciłem ci nie bez powodu. Chcesz dowodów? Chcesz jasności? – Rzucił w nią złapaną przez siebie mysz. – Ożyw ją. Potrafisz – powiedział, zanurzając się we mgle, tak, że przez chwilę go nie widzieli. Dziewczyna ledwo złapała biedne, zamęczone zwierzę, które najprawdopodobniej dostało krwotoku wewnętrznego i powoli zdychało.

Trzęsły jej się ręce. Z jednej strony wiedziała, co powinna zrobić, z drugiej – nie miała pojęcia. Instynktownie nakryła mysz drugą dłonią, bez

zbytniej nadziei, że da to jakikolwiek skutek. Chciała sobie udowodnić, że to wszystko nie jest prawdą. Przeszłość – czy przyszłość – pukala do drzwi jej umysłu, chcąc powrócić ze zdwojoną siłą. A chociaż pewne wspomnienia starała się ukryć, to zaczynała dopuszczać do siebie myśli, że głosy z jej głowy mogły istnieć naprawdę. A pobyt w szpitalu psychiatrycznym nie był w ogóle potrzebny.

Zawsze słyszała to, czego inni nie mieli okazji usłyszeć. Jako ośmiolatka wiedziała, że powinna to przed wszystkimi ukrywać. Miała siedemnaście lat, kiedy w końcu rodzinka zaczęła mieć dość jej dziwnych stanów zamyślenia, nerwowości, gadania do siebie. Bo niestety, ktoś zauważył, jak rozmawia z głosami. Po roku ją wypisali. Od tego czasu wypierała z umysłu wszystko, co byłoby choć trochę nieudowodnione naukowo. Tak na wszelki wypadek.

Dlatego nadal nie potrafiła uwierzyć, w to, co się wokół niej działo. Dmuchiwała w truchelko, bez zbędnego przekonania. Jednak po chwili poczuła jakiś ruch, najpierw słaby, później żwawy. Przerażone, niewdzięczne zwierzątko ugryzło Klarę, więc skonsternowana dziewczyna, po prostu wypuściła ożywieńca.

Nienaturalna, cmentarna cisza wibrowała między Klarą i Jamesem, kiedy spojrzeli na siebie. Rudowłosa rozejrzała się wokół.

– Jak... - Chciała zapytać, jednak przed sobą nie widziała już kota

James doznał szoku. Nie potrafił się odezwać, chociaż zawsze miał coś do powiedzenia. Tym razem jednak zabrakło mu słów na widok wysokiego, szczupłego jegomościa, który wyłonił się z mgły. I chociaż wydawało się to mocno nieracjonalne, to jakaś część umysłu barmana wiedziała, że przed chwilą dziwny mężczyzna był kotem.

– Dlaczego nie dziwi mnie, że się tu pojawiłeś? – westchnęła Klara. Nie ulegało wątpliwości, że już wcześniej знаła przybysza, a jego widok nie sprawił jej przyjemności.

– Och, nie mów, że nie wiedziałas – powiedział mężczyzna, który kojarzył się Jamesowi z Szalonym Kapelusznikiem, chociaż wcale nie miał kapelusza. Był wysoki i nosił się prosto, jakby połknął tyczkę, ale jednocześnie w niezwykle swobodny, nieco nonszalancki sposób.

Klara cała się trzęsła. Wiedziała, widziała przecież, jak kiedyś się przemieniał.

„Wyprzeć z pamięci, wyprzeć z duszy, wyprzeć... Wyrzucić”, pomyślała, łapiąc się za głowę.

Miał dziwne, białe-czarne włosy, czarno-biały garnitur i smukłą laseczkę, którą machał jak wahadłem. Podrapał się po zaroście.

– Uspokoiłabyś się. Stałaś się niezwykle nerwowa, Klaro.

– Zostaw mnie, Albercie. Dlaczego znowu pojawiaasz się w moim życiu? Masz zamiar przychodzić co pięć lat, obchodzić hucznie rocznicę porzucenia głupiej idiotki? – szept przeradzał się w krzyk, dopóki nie załamał jej się głos. Co to wszystko miało wspólnego z nią? Nawet nie zauważyła, jak zbliżyła się do niedawnego Maniusia, zaciskając dłonie w pięści.

– Jeśli masz zamiar mówić cokolwiek o dzieciach, bądź nazywać mnie Perelką, to lepiej zamilcz.

Nigdy nie widział u niej takiej furii.

– A dziecko to sobie sama zrobiłam, nie? Sama opróżniłam szuflady i sama się ulotniłam. Dokładnie tak! Bogowie niejedyni, ty przed chwilą byłeś kotem! I co? Nigdy nie zapomniałam. Nigdy nie zapomniałam, jak robiłeś mi wodę z mózgu. Nigdy.

Upiory umysłu dziewczyny otworzyły zamknięte drzwi, a nawet wylamały ościeżnicę.

Przed oczyma migwały dziewczynie obrazy. Albert przyjmujący ją do szpitala, zatroskani rodzice, nienawiść, leki, terapia, głosy, rysunki, przemiany zmiennokształtnego, za którego podawał się Albert. Albert Biberstein, znany psychiatra, były dyrektor centrum terapii nerwic w Mosznie. Ponury widok z okna z kratami w izolatce, bo przecież chciała uciec, była kłopotliwą pacjentką, dopóki sam dyrektor się nią nie zajął. Albert wręczający wypis ze szpitala, zawożący ją pod dom. Wyprowadzka od rodziców, mieszkanie z – już wtedy – kochankiem. Test ciążowy, lzy. Puste szuflady. Takie melodramatyczne retrospekcje.

Brygida. Zero logiki, mnóstwo pokrętnych szczegółów.

– Dlaczego? – zapytała, tym razem nie zniżając się do krzyku, chociaż zachrypnięty głos zdradzał hamowane emocje. Mówiła po polsku, świadomie, nie chciała bowiem, żeby James cokolwiek wiedział.

– CO ci zrobił? – zapytał jednak James. Zrozumiał, i nie czekając na odpowiedź, rozwalil Albertowi nos zgrabnym lewym prostym

Magiczny mężczyzna z dziewczęcej przeszłości zadziwiająco szybko pobierał się z zabłoconego grobu Szalonej Mary. Otrzepał z irytacją do niedawna nienaganny strój i posłał im coś na kształt krzywego uśmiechu, starając się mimo wszystko nie tracić fasonu. Ciężko było stwierdzić, czy był wściekły, czy jednak bardziej rozbawiony.

– Idiotci z was – odezwał się Albert, wycierając muślinową chusteczką krew z rozbitego nosa. – Nie potrafilibyście dostrzec niezwykłości, nawet gdyby postawić ją wam prosto przed oczyma.

Klara prychnęła, ale była dziwnie zadowolona z widoku krwi na idealnym stroju Alberta. Pojawił się jak królik z kapelusza i uważa, że ma prawo do jakiegokolwiek zaufania?

– Dlaczego znowu pojawiłeś się w moim życiu? – zapytała, zrezygnowana. Nigdy nie spodziewała się, że będzie zdolna odczuwać taki wachlarz emocji w zaledwie kilka minut.

– Bo wróciłaś, Fand, Perelko. Tak jak chciałaś, zatoczyłaś krąg. Trzy bieguny, triskelion – odpowiedział, po chwili wahania, którego w żaden sposób się po nim nie spodziewała.

Poczuła jakby dusza ulatywała z niej, powoli sącząc się, by w męczarniach dostać się do młyna życia, gdzie przeleje się po wielu ciałach, by w końcu narodzić się w tym odpowiednim. Niejasno zdawała sobie sprawę, że to możliwe. Że tak właśnie miało być. Że tak to kiedyś wymyśliła.

Ale kiedy? W innym życiu? Leżąc na ołtarzu, składając swoje serce w czymś na kształt ofiary, dla losu, sprawy. Zakochana w herosie, z którym być nie może, bo ich związek zniszczyły może wszystkie światy, zmuszona przez Dzieci Danu, w ostatnim akcie oporu, pozbaniana się życia, lecz nie znużająco. Jakaś część jej dawnej postaci spletała celtycką plecionkę, wplatając w to nowe elementy, które tworzyły jej duszę. Każde życie to przecieź tylko sploty przypadków, które łączą się w młodość, dorosłość i starość. A kiedy bogini zapragnie nie żyć, lecz nie do końca, wplata się w Koło Życia, by powrócić trzy razy w ciele zwykłego człowieka, bez mocy, bez nieśmiertelności.

Lecz po cóż to rozpałamywać? Żeby przeznaczenie znów się wypełniło?

– Mam na imię Klara – powiedziała dobitnie. Chociaż w praktyce sama nie wiedziała. Była skonfundowana.

Mannanan... Mannanan Mac Lir. Miała go przed sobą, lecz również innego. Musiał się przecieź pojawić w triadzie, smętnym dramacie. Skąd mogła wiedzieć, skąd mogła? Zapomniała. Chciała zapomnieć.

Wtedy lunął deszcz, mocząc ich wilgotne już wcześniej od mgły i potu, ubrania. Wszyscy troje zerwali się do biegu, jakby lodowata woda, dostającą się we wszystkie zakamarki ich ciał, ożywiła zaskoczone umysły.

James starał się być blisko Klary, w jakiś sposób ją chronić. Dziewczyna biegła jednak dużo szybciej od niego i po raz kolejny w ciągu zaledwie kilku dni, zgubił ją w deszczu.

Długo stał na ścieżce, biegnącej w stronę bramy. Długo na tyle, że Albert zrównał się z nim, bo z jakiegoś dziwnego powodu pozostał z tyłu i przerwał swój bieg już po chwili.

– Nie zmieniłeś się ani trochę. I, prawdę mówiąc, to mnie najbardziej dziwi - powiedział. I odszedł szybkim krokiem, rozkładając parasol, który przecież wcale nie był mu potrzebny.

Dołączyła do niego wysoka kobieta, jednak umknęło to uwadze Jamesa.

Klara, upewniwszy się, że jest daleko od towarzyszących jej wcześniej mężczyzn, zwolniła bieg i nieco dysząc, starała się iść w miarę spokojnym krokiem. Miała w nosie niesprzyjające warunki atmosferyczne, chociaż musiała przyznać, że w strugach deszczu ciężko o jakiegokolwiek logiczne wnioski. Pozwoliła jednak nogom, by prowadziły wzdłuż osiedla domków jednorodzinnych.

Piękne podjazdy, mnóstwo drzew i naprawdę zadbane ogródki coś jej przypominały. Poziom paranoi wzrósł do niebotycznych rozmiarów, kiedy uświadomiła sobie, że sen sprzed dwóch tygodni miał miejsce w bardzo konkretnym miejscu, chociaż nie było żadnego połączenia z jej wrocławskim mieszkaniem na Biskupinie. Zatrzymała się przy małym placu, spojrzała na ławkę, na której we śnie leżał mężczyzna.

Leżały tam suszone kwiatki, zebrane w zgrabny, bukiet schowany w przezroczystej folii. Kwiat kasztanowca, mięta polej, złocień, krwawnik i, niepasująca do reszty, biała koniczyna. Podniosła bukiet i jak postać z kreskówki, przelknęła głośno ślinę. Odruchowo spojrzała prosto przed siebie i zamarła, widząc znany jej ze zdjęć budynek, który był niczym innym, jak jej przyszlą własnością.

Niebieskawy, parterowy domek z lekko obdrapaną elewacją i z zarośniętym ogródkiem pełnym brązowych badyli, które doprowadziłyby do apopleksji każdego szanującego się ogrodnika, zapraszał ją do swego opuszczonego wnętrza. Bardzo typowy domek, bardzo typowej staruszki, z bardzo typowych czasów. Gdyby Klara była choć trochę mniej zaskoczona, pomyślałaby zapewne, jak bardzo mogą mylić pozory.

Lampy uliczne rzuciły światło na ganek, do którego zmierzała dziewczyna, trzymając w trzęsącej się dłoni klucz, przezornie zabrany z Polski i schowany wcześniej w wewnętrznej kieszeni ortalionówki. Przez myśl przemknęło jej, że nie powinna się pchać sama do tak dziwnego miejsca. Że może należałoby wrócić po Jamesa, bo mimo iż właściwie go nie знаła, to nie miała oporów, by mu zaufać. Jakoś tak.

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem, a opustoszały dom przywitał ją pajęczynami i kurzem na okryciach w salonie i przedpokoju. Dawno nikt tam nie sprzątał, mimo iż to Mary O'Connell miała się opiekować budynkiem. Później powinien to chyba robić James, ale widziała wyraźnie, że albo o tym nie wiedział, albo nie chciał działać w tym kierunku.

Myśli przebiegały przez jej mózg z prędkością światła, nieuporządkowane. Była zmęczona, jednak obrazy, które widziała w pamięci, jeszcze bardziej utrudniały ocenę sytuacji.

– Jestem sama sobie sterem – powiedziała mu pewnego razu, kiedy odszedł jej mąż. Niewdzięczny cymbał, Mannanan. Zostawił ją na pastwę Firbolgów, bez jakiegokolwiek siły zbrojnej. Czy wystawiał ją na próbę? Czy przemyślał już koszt? Co zrobić? Wezwać pomoc. Skąd? Nikt jej przecież nie pomoże, nie może liczyć na egoistycznych krewnych.

Lecz pomysł, pomysł!

Innym razem: tańczyła razem ze śmiertelnikami w morderczym tańcu, w kręgu faerii. Czas nie miał znaczenia, był uniwersalny, inny w Tir na nOg czy Mag Mell, krainach szczęśliwości, niż w ludzkim świecie. Przypominała sobie życie, płynące w zamku na jeziorze. Piękną siostrę, LiBan, która często czesała jej rude włosy. Czula pociągnięcia szczytki na delikatnej skórce głowy. Przyjemne i jednocześnie bolesne.

Podala mężczyźnie linę. Zaprosiła go na zamek, zupełnie ignorując jego styl bycia, trudny do zrozumienia sarkazm i zadziwiający poczucie humoru. Miał celną rękę, kiedy dla niej polował, chociaż nigdy nie pochwalala zabijania ponad normę, dla rozrywki. Uratował ją i jednocześnie pogrążył. Sprawił, że wznowiła krąg życia, triskelion potrójnych narodzin. Jak nieśmiertelny może umrzeć? Ona, córka Tuatha de Dannan, wżeniona w ten ród i z rodu pochodząca, dawczyni życia i piękna...

Fand, Perła. Córka Flidais.

Klara otworzyła oczy szeroko, spoglądając na nieznanomy pokój. Była przerażona, gdyż nie wiedziała, co jest jawą, a co snem. Kim ona sama do cholery jest? Zastanawiała się.

– Nikim, właściwie – powiedziała kobieta, siedząca za nią. Oświetlało ją delikatnie światło ulicznej lampy, dlatego Klara mogła dostrzec, że kobieta, siedząca na skrzyni pod ścianą ma długie, ciemne włosy. – Nikim do tej pory, Perelko.

Kiedy nieznanoma zbliżyła się, by złapać dziewczynę za szyję, ruchem delikatnym, acz stanowczym, rudowłosa dostrzegła w niej znajome rysy twarzy. A choć wtedy zniszczone przez czas, nadal były w jakiś sposób piękne.

Brigida, w wersji o pięćdziesiąt lat młodszej, była niezwykle zjawiskowa.

– Przypomnij sobie – szepnęła. Kruk, siedzący na jej ramieniu, zakrakał żałośnie, a Klara zastanawiała się, jakim cudem mogła nie zauważyć, czy też nie usłyszeć tak wielkiego ptaszyska. – Przypomnij sobie, bo musisz to zrobić, by czas się dopełnił, a wydarzenia wróciły na swoje miejsce. Masz być znowu w Mag Mell, żoną swego jedyne go męża. A ja będę twoją bramą, śmiercią, ostoją. Lecz nie teraz, nie wcześniej. Najpierw musisz sobie przypomnieć, sama do mnie przyjść.

Starzy bogowie byli świadkami, jak bardzo Klara nie chciała sobie nic przypominać.

– Zjawisz się jutro o zmierzchu w starym dworze. Razem z nim, bo bez niego nic nie ruszy – powiedziała, z chłodnym uśmiechem sarkastycznego rozbawienia. – A jeśli nie przyjdiesz, to sama się po ciebie pofatyguję.

Odeszła, a kiedy tylko Klara upewniła się, że została sama, zemdląła. Jakby utrata świadomości miała jej w czymkolwiek pomóc.

James obudził się w ponurym nastroju, pewny jednak, że Klara znajduje się w swoim pokoju. Po prostu to wiedział, chociaż doświadczenie mówiło mu, jak bardzo intuicja potrafiła go zawodzić. Nie był kobietą i chwalił za to chrześcijańskiego Boga.

Nie miał jednak żadnej pewności co do słuszności przeczucia, a w jakiś sposób bał się to sprawdzić. Wstydział się sam przed sobą, że jednak jej nie szukał. Że spędził wieczór z żoną, chociaż te uczucia były czymś tak idiotycznym, jak to, że obca kobieta może być dla niego kimś więcej niż tylko dobrą znajomą.

Czekał go ciężki, halloweenowy dzień.

Tym bardziej zaskoczyły go słowa Klary, kiedy stała przed nim z ciężką, niedomykającą się walizką w jednej ręce, a pieniędzmi w drugiej.

– Wyjeżdżam – powiedziała.

Nie sądził, że miał prawo ją zatrzymać.

Coś na kształt intuicji kazало mu to jednak zrobić. Jakby serce rozdzierało się na samą myśl, że mogła znaleźć się od niego dalej, niż na odległość kilometra. I że nigdy więcej miałby jej nie zobaczyć.

– Dzisiaj Samhain, nie możesz wyjechać. Tradycja mówi...

– W dupie mam tradycje – przerwała mu. Była roztrzęsiona. Nie dziwił się, sam czuł się bardzo nieswojo.

– Zostań chociaż dzisiaj. To zła noc. Nie możesz nigdzie sama jechać, a nie mogę cię odwiedzić. Impreza halloweenowa.

Westchnął, spoglądając na wydrążoną dynię, Jacka O’Lanterna.

– Nie oczekuję tego od ciebie – powiedziała, wychodząc.

– Dobrze! Idź! Nie będę za tobą biegł!

Zajęty rozmową ze znajomymi, nie zauważył, kiedy weszła. Jak mógł to przeoczyć? Kalał się w duchu, chociaż wiedział, że wewnętrzny żal na niewiele się zda.

Siedziała we wnęce naprzeciwko baru, zupełnie nieświadomie wybierając jego ulubione miejsce, skąd mogła obserwować całą salę. Przyglądała się tańczącym tłumom, ubrana na czarno, zgodnie z panującą halloweenową konwencją, rozpuszczając długie, marchewkowe włosy. Wydawała się go nie dostrzegać, chociaż miał nadzieję, że udawała. Przez moment wahał się, czy powinien do niej podejść, porozmawiać. Chciał ją przecież przekonać, że powinna zostać, bo rano wyszło mu to beznadziejnie, chociaż chyba skutecznie. Miał mieszane uczucia, czuł się jak uczeń przy tak niezwyklej dziewczynie, która przy pierwszej próbie pocałunku po prostu kopnęła go w gołe nogi. Oryginalnie nie dotykając twarzy.

Jakaś część podświadomości Jamesa przypominała mu i inne pocałunki. Lecz myślał, że to tylko kwestia wyobraźni, bujnej nieprzeciętnej.

Zastanawiał się przez chwilę, czy powinien ją przeprosić.

Zostawił swoje obowiązki, bo nie był przecież niezastąpiony. Chwilę zajęło mu przedzieranie się przez tłum, poszedł za ciosem i z pewnością

siebie, która w jakiś sposób ginęła przy Polce, uśmiechnął się swoim uśmiechem numer pięć, dokładnie tak samo klasycznym, jak perfumy Chanel o tym samym numerze.

Zagrali jego ulubioną piosenkę. „Buile Mo Chroi”.

– Zatańcz ze mną – zaproponował, nie bawiąc się we wstępy.

Zupełnie nieoczekiwanie dla niego, zgodziła się. Miała w oczach jakąś niezwykłą pewność i uwodzicielski blask. A także nieco szaleństwa. Nie, wcale nie była piękna. Prawdę powiedziawszy – była niespecjalnie w jego typie. Jednak jakiś wewnętrzny magnes przyciągał go do tej dziewczyny. Z każdą kolejną nutą, nogi coraz bardziej rwały ich do tańca, w rytm śpiewanych przez wysoką, korpulentną wokalistkę słów. Obrót, podskok, tupnięcie, w rytmie serca – tak jak mówił tekst. Złapał jej rękę, obrócił Klarę dwa razy, a ona dopasowała się do sposobu w jaki prowadził ją w tańcu. I chociaż starała się zachować odrobinę dystansu, nie do końca jej to wychodziło. Twierdziła, że nie potrafi tańczyć, ale James nie miał powodu, żeby się skarżyć.

Chociaż mówiła, że nie używała perfum, to wyczuł ich delikatny zapach, kiedy niechcący zderzyła się z nim w tańcu. Nagle miękka jak wosk, nie wojownicza, upojona nieco alkoholem. Uroczo płątały jej się nogi. Spojrzała na niego nieco zawstydzona, kiedy po raz kolejny przydepnęła jego stopę, była jednak tak lekka, że prawie tego nie zauważył. Nic nie mówiła, jednak nie był to czas na słowa.

Był niemal pewny, że go odtrąci, ona jednak chętnie przyjęła jego usta, kiedy zaczął ją całować na środku parkietu pełnego ludzi. Nie zważając na spojrzenia wielu osób, którym był znany, w tym na wzrok Emmy, u boku której obudził się tego samego ranka.

Nagle jego głowa niemal eksplodowała od mnogości obrazów, które się w niej znalazły. Odskoczył od dziewczyny jak oparzony i spojrzał na nią z niedowierzaniem. Jakby był kimś innym. Jakby pękła jakaś blokada.

Klara zamknęła oczy.

Stała przed ciemnowłosą Szafarką Śmierci, przecząc własnym uczuciom. Była dobitnym przykładem jak bardzo miłość może zmienić się w nienawiść. A ona nienawidziła swego męża tym bardziej, im większe czuła do niego przywiązanie. Jak łatwo mogło wyparować jego uczucie? Wystarczyło, że zobaczył rudą faerię, za którą pobiegł do innego świata. Mógł, miał prawo.

Nie miał.

– *Czy naprawdę chcesz, by należał do mnie, Emer? – zapytała Szafarka, a młoda królowa skinęła jej głową.*

– *Sprowadź go, daj mi się nacieszyć jego upadkiem, a później zrób z nim co zechcesz. Daj mi jednak napawać się jego cierpieniem – powiedziała i omal nie pożałowała swoich słów.*

Przeklinała moment, gdy przyszło jej do głowy, by w ogóle pokłócić się z Ethną. Czy miała jednak wpływ na los? Wierzyła, że tak. Dlatego pojawiła się przed obliczem Drugiej w Tir na nOg, Morrigan. Tylko ona mogła bowiem sprowadzić Cuchulainna z ramion tamtej Faerii, rudej, podstępnej niezziemskiej istoty. Dłoń odruchowo zaciskała się na żelaznym sztylcie, który od czasu zniknięcia męża, Emer nosiła zawsze przy sobie.

Zamiast serca miała kawałek kamienia i determinację. Dokładnie tę, która pozwoliła jej wcześniej zwozić Setante, nakażywała jej go zwozić, sprawdzać. Walczył o ich związek, kiedy na horyzoncie pojawiała się przeszłość ukochanego w postaci jego syna, Connli.

– *Wiedz, że go później zabiorę. To moja cena, Emer Pięknowłosa.*

Bogini śmierci była nieustraszoną negocjatorką, tylko raz podawała cenę.

– *To nie ma znaczenia. Chcę to widzieć, skruchę na jego twarzy, szaleństwo, równe mojemu. Po trzykroć się zgadzam.*

Miała przed oczami moment, kiedy od niej odchodził. Wzrok wpatrzony w piękną, jasnowłosą LiBan, jak się przedstawiła, faerie, lecz wiedziała, że to nie ona jest adresatką tęsknego westchnięcia Cuchulainna.

Firbolgowie? Kim byli dla Emer poza nic nieznaczącymi echami? Dlaczego to właśnie jej mąż musiał z nimi walczyć, ku chwale rudowłosej wiedźmy? Zdawałoby się, że w Eirinie brakuje bohaterów. Na nic zdały się nieliczne łzy jego żony, powstrzymywane resztkami siły woli, kiedy serce pękało na wiele kawałków, zostawiając ziejącą, zimną ranę. Była zbyt dumna, by kolejny raz prosić, by został. Był jej przecież potrzebny, jak powietrze, w którym się rozpułnął, wraz z piękną Sidhe. Od decyzji Emer nie było więc już odwrotu, a upiorny uśmiech Królowej Kruków dał jej to bardzo wyraźnie do zrozumienia.

I ona kiedyś pragnęła Zręcznego Chłopca.

– *Sprowadź ci go, jednak będzie żył, a ty będziesz mieć tego pełną świadomość. Nie przyszedł jeszcze jego czas, piękna śmiertelniczko. To nie dzień, by złamał swe geasa. Ale będzie cierpiał.*

Zaiste, straszliwa jest zemsta wzgardzonej kobiety.

Szczególnie zaś, kiedy ta jest Boginią Śmierci.

Muzyka zamarła, a zaskoczona Klara otworzyła oczy, słysząc dźwięki tłuczonego szkła i bezwładnych ciał, padających na podłogę, jak świeżo ścięte tulipany. Kiedy pracowała w call center, nauczyła się doceniać ciszę, jednak ta, która zapanowała po chwili, była głucha, nienaturalna i złowroga. Wzrok kobiety od razu skierował się ku drzwiom, w których stała Brygida, w wersji, która nawiedziła Klarę w niebieskim domku. Dziewczyna wytrzeźwiała w jednej chwili.

Nowe wspomnienia zadaly klam poprzedniemu przekonaniu i dziewczyna wiedziała, że ma przed oczyma słynną Szafarkę Śmierci, smukłą niczym ostrze miecza z najlepszych, średniowiecznych kuźni. Na jej ramieniu siedział wielki kruk, a obok, w drzwiach, stała dziewczynka ze starego koszmaru, nadal uśmiechając się upiornie.

– Mówiłam, że masz być o zmierzchu – wyszeptala Klarze do ucha. Bogini zbliżyła się do niej tak błyskawicznie, że dziewczyna nie miała najmniejszej szansy na zarejestrowanie ruchu. Przez chwilę czuła oddech Morrigan na ramieniu, chłodny i spokojny, jednak kiedy odwróciła się, by stanąć z boginią twarzą w twarz, tej już nie było. Zamiast tego krążyła po sali, celowo zataczając coraz mniejsze kręgi, koncentrujące środek w osobie Jamesa, na policzku którego pojawił się czarny tatuaż w kształcie krzyża słonecznego.

Rudowłosa dziewczyna chciała podejść do mężczyzny, którego jeszcze przed chwilą całowała, a który w jej wspomnieniach miał być kimś więcej, niż poznanym na moście nieznanym. Chciała, ale nie dane jej to było, ponieważ bogini zabrała go ze sobą szybciej, niż Klara byłaby w stanie się ruszyć.

„Przyjdiesz do Woodstock House, Perelko. Inaczej wszyscy ci, którzy tu byli, zginą. Wiesz o tym doskonale, czujesz ich bijące coraz wolniej serca. Zmierzch już minął...”, usłyszała w swojej głowie.

Jak miała pokonać Boginię Śmierci? Jak wydostać Jamesa z jej cudownych, groźnych dloni? Była tylko człowiekiem, marnym, słabym człowiekiem. Przeczesała palcami włosy, z nerwów. I znalazła w nich suszone kwiaty. Usiadła z wrażeń.

Głowa ją bolała od natłoku myśli, ale wiedziała, co powinna robić. Pamiętała już wszystko, cokolwiek dane jej było zapomnieć, chociaż potrzebowała czasu by wszystko sobie poukladać. Czasu, którego nie miała.

Lecz miała za to świadomość, że pochodzi z rodu Tuatha de Dannan i uzbrojona w tę wiedzę, pobiegła za krewniaczką, instynktownie kierując się na północ, w stronę starego dworu, spalonego podczas wojny o niepodległość Irlandii.

Ziemia, z którą połączyła się odpowiednim splotem, dodawała Klarze energii. Umysł, przyzwyczajający się ponownie do utraconych niegdyś

wspomnień, podpowiadał, że każdy nosi w sobie boga, każdy był już kimś i uruchamiał koło życia. Jednak Fand świadomie i celowo wmanewrowała swego nieśmiertelnego ducha w podróż, która w rezultacie zakończyła się w ciele młodej Polki, tak podatnej na metamorfozy i w sposób niepojęty, zmieniła przeznaczenie dziewczęcia. Nigdy tak naprawdę nie zapomniała, kim była, a głosy były wspomnieniami, ukrytymi w nieodpowiednich miejscach. Dziewczyna nie była więc wariatką.

Park, jedyna pozostałość po świetności osiemnastowiecznego dworu i jego okolic, przywitał ją wczesnozimowym chłodem i mgłą, nienaturalnie gęstą, znów zasłaniającą wszystko na odległość kilku metrów. Lecz tym razem potrafiła sobie z tym poradzić zwykłym ruchem ręki, bo Mannanan nie mógł zasłonić jej już wzroku swoimi sztuczkami. Rośliny jednak nie schodziły dziewczynie z drogi, dlatego kilka razy się potknęła, kalecząc skórę i rozrywając spodnie, które zaczęły krępować ruchy.

Powietrze pachniało sosnowymi igłami i krwią.

Ruiny stojące przy rzece, obrosły bluszczem i mchem, które tarasowały przejście, ale wystarczyło, że ich dotknęła i rozstały się, jak wody Morza Czerwonego przed Mojżeszem. Weszła i pierwszym, co zobaczyła, była przepiękna, zniszczona mozaika w kształcie Koła Życia, lecz nim zdążyła dobrze się przyjrzeć, już leżała na plecach, powalona przez stado upiornych kruków. Nie potrafiła się przed nimi obronić, kiedy ranily jej twarz i resztę ciała, zrywając, i tak już brudną, bluzkę. Ze strachu zaczęła pisać, a pisk przerodził się w straceniowy jęk, kiedy upadła w przedśionku, pod naporem padlinożerców i zwinęła się w obronnej pozycji embrionalnej. Czula się słabym człowiekiem.

Kiedy wokół niej nieco się uspokoiło, a świeże rany zaczynały powoli się zasklepić, w sposób niepozbowiony dobroczynnego działania Gai, podniósł ją Albert. Wyrwała mu się, generując w sobie pokłady siły, o które się nie podejrzewała. Syknęła z bólu.

Ogień, rozpalony przez Morrigan, oświetlił wnętrze ruin, nadając cieniem jeszcze bardziej upiorne kształty. Klara podbiegła do nieprzytomnego Jamesa, ukłękła przy nim i położyła mu rękę na policzku. Mężczyzna żył jeszcze, lecz spał snem tak głębokim, że dziewczyna bała się, że nigdy się nie obudzi. Dotknęła jego tatuażu, który załśnił magią pod jej palcami. Syn Lughy.

Szybko została odciągnięta.

– To, że przyszedł tu z własnej woli, to lepiej dla ciebie, Perelko – powiedziała Morrigan, zamiatając długim płaszczem brudną podłogę.

– Historia nigdy nie jest dobra, kiedy ty narzucasz jej zakończenie – odpowiedziała Klara, wstając. Dopiero wtedy zauważyła, że otacza ją zielony, magiczny krąg, a kręgi budowane przez Tuatha De miały na celu pękanie nieproszonych gości. Starła się jednak nie denerwować, nie pozwolić swoim myślom na rozsypanie się.

Morrigan zaczęła się śmiać.

– Och, piękna Fand. Jakaś ty głupiotka. Zawsze taka byłaś. Córeczka swojej matki, obrończyni zwierząt o zwierzęcym umyśle, niezdolnej do jakiegokolwiek logicznej oceny sytuacji. I tylko te wasze rude włosy... Nie dziwiło cię, że odrastają?

– Nic mnie nie dziwi, Morri. Nic, co związane z tobą nie może być dobre – zaprzeczyła Klara, pod siłą spojrzenia bogini, padając na kolana. Nadal wygrywała w niej śmiertelność.

– Pamiętasz Fionna? Nigdy go nie zapomnisz, przecież miałaś od zawsze słabość do śmiertelników. Mannanan nigdy ci tego nie zapomniał. Prawda, kochany wuju – spojrzała na Alberta, jednak dalsze słowa znów skierowała do Klary. – Już za samo to należałaby ci się kara, tak swobodnie bowiem traktujesz Tir na nOg, jak swoją własność, balansując na szali Zakazem Danu.

Klara-Fand niejasno zdawała sobie sprawę, o czym mówiła Wrona. Żadna Faeria nie mogła łączyć się ze śmiertelnikiem, gdyż groziło to niszczeniem światów przez potomstwo, złe z natury. Sama siła uczucia była czynnikiem zwiększającym szparę między światami, a nie było już druidów, którzy by je łączyli. Dlatego jej czyn, czyn Klary, był tak zły w oczach Morrigan, nienawidzącej zdrady i tchórzostwa, za które ścigała.

– Nie możesz mnie karać za coś, co samej ciebie nie dotyczy. Czy tamta historia nie skończyła się w sposób, który musiał was zadowolić? Mój kochany mąż sprawił, że Cuchulainn zapomniał, że kiedykolwiek mnie poznał. Wystarczy, że machnął swoim płaszczem z mgły! A że ja zapragnęłam umrzeć? Stałaś się patetyczna Morri – krzyczała Klara, starając się czerpać z nowych wspomnień, których było bez liku. Bała się, że oszaleje, chociaż być może szaleństwem było wierzyć w to, co się wokół niej działo. – Od kiedy to stałaś się obrończynią światów? – zapytała.

– Od kiedy chcesz ją pociągnąć za sobą. Nikt w Tir na nOg nie zapomniał ci Kręgu Życia. Nikt nie kazał ci ścigać przez życia bohatera, który w jedną chwilę o tobie zapomniał. Spójrz na nią – Albert wskazał na leżącą w kącie blondynkę, którą Klara wcześniej widziała przy barze. – Emer też w to wciągnęłaś. Twój upór niszczy wszystko i wszystkich! A wystarczyłoby po prostu się podporządkować.

Klara zwróciła się do niego, przybierając spokojny, choć niepozabawiony ironii i wściekłości ton.

– Widzę, że mamy tu dzisiaj imprezę rodzinną. Dobrze, niech i tak będzie, witaj kochany mężu. W tym czy innym życiu i tak mnie zostawiłeś. Lubisz powtarzać historię? Niepodobne do ciebie – powiedziała. – Teraz jednak jestem w stanie sobie przypomnieć, dlaczego od zawsze wydawałeś mi się takim skurczybykiem, Mannananie mac Lirze. Nie zapominaj, że Koło Życia miało swój powód. Nie ja nasłalam na siebie Firbolgów!

Brutalnych olbrzymów, pierwszych mieszkańców Eirinu, których smród, zabijający wszystkie stworzenia, czuła nadal.

Cedziła słowa, jakby były trucizną, ale w zamian otrzymała tylko rozbawienie.

– Miałś przecież swojego herosa, po co ci byłem ja? – poprawił ją, jednak drgnął lekko, kiedy wymieniła jego prawdziwe imię. Albert czy też Maniūs, to tylko marne postaci boga, który potrafił zmieniać postać tak jak woda, którą władał, zmienia stany skupienia.

Prychnęła.

– Nie byłoby nas teraz tutaj, gdybyś okazał się chociaż odrobinę wiernym mężem. Prosiłam cię o pomoc, ty odmówiłeś. Mieli mnie zabić? Co innego mogłam zrobić? – krzyknęła Klara.

– Szukać pomocy u swoich, a nie zakochiwać się w śmiertelniku! A po wszystkim zapomnieć!

– Ja nie zapominam!

Powietrze aż iskrzyło od ledwie powstrzymanej magii.

– Swoje problemy małżeńskie będziecie rozwiązywać, kiedy już wydostaniemy Fand z Koła Życia, do którego tak nieopatrznie wplotła swego nieśmiertelnego ducha – przerwała im Morrigan, zwracając się bezpośrednio do Mannanana. – Proponuję ci więc, byś jej jeszcze bardziej nie podjudzał. Nie zamknie się nigdy. Sam powinieneś wiedzieć o tym doskonale i nie być takim idiotą, na jakiego się kreujesz.

Klara nie zamierzała zniżać się do poziomu komentarza, zamiast tego jej wzburzony umysł gorączkowo przypominał sobie plan, który wcześniej był przecież logiczny. Konfrontacja z kimś tak potężnym, jak Królowa Duchów, była jednak dla dwudziestopięciolatki katalizatorem paniki.

– A więc jestem ja, macie i jego. Co chcecie zrobić? Jak wyciągniecie mnie z Koła Życia? Przypominam tylko, że śmierć tu nic nie da. – Grała na czas.

Starła się ignorować narastający ból w przedramionach, który powodowały stopniowo wykwitające tatuaże w kształcie celtyckich splotów w kolorze indygo.

– Nie musisz umrzeć, żeby zostać zapomniana.

Tego nie przewidziała, spokojnych słów, wypowiedzianych bardziej jak sugestia, aniżeli groźba. Dlatego Klara przeraziła się. Nic nie mogła na to poradzić – Morrigan zaskoczyła ją, znajdując ryse w doskonałym planie Fand. W duszy dziewczyny zagościł jednakże cień nadziei, ponieważ żeby można ją było zapomnieć – musiała przestać choć w niewielkiej części być człowiekiem.

– A kiedy już zostaniesz zapomniana, na granicy życia i śmierci, rozplotę twego ducha i ducha Klary i wrócisz do Mag Mell, tam, gdzie twoje miejsce, Perelko.

Fand mogła pociągnąć za sobą oba światy – Tuatha de Dannan i Ludzi. Mając tę drobną przewagę, wykrzesala w sobie odrobinę siły, by przeciwstawić się czerwonym oczom Szafarki Śmierci.

Bogini wiedziała, że atak z oddali był już nieskuteczny, ponieważ czuła żelazo. Klara przed wyjściem z Mary O'Connell pub, spięła włosy żelazną klamrą w kształcie motyla, ze skrzydłami ostrymi jak brzytwa.

Nie było bowiem nic gorszego dla istoty ze świata Tuatha De Dannan niż żelazo. Faerie po kontakcie z nim zmieniały się w popiół, dzieci Danu tylko chorowały. Fand także czuła się przez to chora, ale zdawała sobie sprawę, że cząstka człowieczeństwa podtrzymuje jej kontakt z ziemią. Nie mogła nic jednak poradzić na doskonałą umiejętność władania bronią, którą przejawiała jej przeciwniczka. Ale czego można się było spodziewać po bogini wojny? Krażyły po obrzeżach zielowego pierścienia, a między nimi leżał Cuchulain. Tatuaze były prawie całe i swą mocą dodawały Klarze nie tylko siły, ale także pewności siebie.

Jak przewidziała, Morrigan, nie bawiąc się już w zbędne dialogi, rzuciła się na Klarę, zupełnie ignorując Mannanana Mac Lira i jego obiekcje. Dziewczyna odbiła się od ściany, rzucona samą siłą rozpędu. Czuła na sobie oddech Morrighu i trupi zapach jej włosów, który i wcześniej niepokojąco roznosił się w powietrzu. Przypomniała sobie też, że w swej kruczej postaci bogini śmierci zjadała ciała swych wrogów... Lecz to była część tej ludzkiej świadomości. Fand podpowiadała jej, żeby przestała wierzyć w bzdurne plotki bardów, bo ze świecą szukać większych tłuków.

Dlatego zdobyła się na to, by mocno przytulić Wronę. Nie z miłości, bynajmniej. Bliskość sprawiła, że Klara miała możliwość zadrażnienia Bogini Śmierci żelazną spinką. Morrigan gwałtownie od niej odskoczyła, jednak na niewiele się to już zdało. Wystarczył bowiem tylko jeden ruch, by spowił ją ożywiony przez Fand bluszcz, tak samo jak tatuaze oplatały przedramiona obu bogiń, owinał Morrigan szczelną, zieloną warstwą.

Nastala zupełna cisza. Mannanan nie ruszył się, nagle jakby zamyślony, podziwiał pojedynek obu pań, jakby pełnił rolę sekundanta. Jego mina powinna dać Fand do myślenia, lecz ona po chwili oczekiwania odwróciła się plecami do dziwnego kokonu i pobiegła do Cuchulainna. Trwoga zagościła w jej sercu, dłonie się trzęsły. Miała nadzieję, że wszystko się już skończyło.

Starając się dobudzić Jamesa, cichutko wyśpiewując irlandzką inkantację, nie zauważyła, że rośliny owijające Morrigan zrobiły się czarne i wyschnięte opadły ze wścieklej Wrony, która tym razem nie użyła już kruków, by unieruchomić Fand, ale z nadludzką szybkością i zimną precyzją złapała ją za szyję i zaczęła dusić.

Klara czuła, że to koniec. Powietrze ubywało z niej jak z dziurawego materaca, twarz stawała się sina, a trzy przeżyte życia stawały przed oczyma, kiedy nagle Szafarka Śmierci puściła ją, uderzona czymś dużym i bezkształtnym.

Cuchulainn obudził się i wziął na siebie wściekłość Bogini, która cięła go mieczem utworzonym z powietrza. Heros jednak uchylił się i chociaż nie miał żadnej broni, to całkiem sprawnie unikał śmierci. Gdyby ktoś spojrział na nich z boku, mógłby dojść do wniosku, że bawią się w berka, nikomu jednak nie było do śmiechu. I kiedy już, już sięgała po Cuchulainna swoimi pięknymi, smukłymi palcami, znów coś jej przeszkodziło.

Klara, odruchowo rozmasowująca podrażnione gardło, czuła się coraz gorzej, ponieważ wbila sobie w ciało żelazną spinkę, która wcześniej unieruchomiła samą Morrigan. Wzdrygnęła się, od dreszczu spowodowanego dostaniem się trucizny do krwiobiegu, jednak ostatkiem sił uruchomiła machinę, która niegdyś spowodowała splecenie jej ducha z Kręgiem Życia. Tym razem jednak nie Fand była adresatką czaru, lecz właśnie niepokonana dotąd Morri. Czarne włosy zaczęły zmieniać się w świetlisty pył, kiedy Bogini zatrzymała swój bieg.

„To proste” – pomyślała Klara. – „To przecież takie proste...”

Wystarczył pęczek ziół, znalezionych na ławce przed niebieskim domem Brygidy, do niedawna zasuszonych, jednak ożywionych dotykiem żony Mannanana, Dawczyni Życia.

Morrigan miała stać się człowiekiem. Powrócić, by być dla kogoś koszmarem, marą, sennym widzeniem. Cóż z tego, że na jawie?

– Nigdy, Morri, nigdy nie zrozumiesz ludzi – wychrypiąla Fand.

Imponująca postać zmieniła się w zwykły pył, który rozwił magiczny wiatr, wywołany przez Mannanana.

Fand wiedziała, że uśpieni ludzie z Marry O'Connell obudzili się, czuła to podświadomie i dlatego ogarnął ją dziwny spokój. Być może miało to związek z trucizną rozchodzącą się po krwioobiegu, nie miała siły się zastanawiać.

James, o oczach bardziej cuchulainnowo złotych, niż zielonych, podbiegł do Klary i w ostatniej chwili złapał, nim upadła.

– Mag Mell... – szepnęła.

Straciła przytomność.

Nie mogła zobaczyć, że z popiołów powstaje krucze piskle, i że podnosi je mała dziewczynka o kruczoczarnych włosach.

Kto przejmuje się dziećmi?

– Dziękuję, że dokończyłeś splatanie, Mannananie – powiedział Cuchulainn, niosąc przez równiny Tir na nOg nieprzytomną Fand, Królową Życia z zamku nad Złotym Jeziorem. Jedyną, nie potrójną. I słabą niczym człowiek.

– Nie zrobiłem tego dla ciebie, śmiertelniku, lecz dla niej. Wystarczyłoby, żebym znów rozdzielił was mgłą i nigdy nie trafilibyście na siebie. Zapomnielibyście, synu Lughu.

Krzyż słoneczny na policzku Cuchulainna lśnił coraz mocniej, im dalej zagłębiali się w celtyckie zaświaty. Lecz zaślnił jeszcze silniej, kiedy heros przystanął, zdenerwowany.

– Dlaczego nie zrobisz tego od razu? – prawie krzyczał.

Starał się nie myśleć o życiu, które zostawił za sobą. Bo wszystko to, co przeżył w trzecim ziemskim żywocie było już tylko mgłą, niczym znaczącym.

– Bo to mi jej nie zwróci. A tobą się znudzi, chociaż ujmująco twierdziła, że nie. Ale wróci do mnie, prędzej czy później, jak zawsze, Setanto. A tobie pozostanie tylko zemsta Morrigan – przerwał i westchnął. – Strzeż się jej, nigdy o tobie nie zapomni, tak jak ty zapomniałeś o Emer Pięknowłosej. Zawsze była w tobie zakochana, nawet wtedy, kiedy ją odrzuciłeś. Poprzysięgła ci cierpienie.

Zniknął, nim James – czy też Cuchulainn – mógł mu cokolwiek odpowiedzieć. Spojrzał więc w dal, gdzie pod rozłożystą jabłonią czekała na niego Li Ban, siostra Fand.

„A ona nigdy nie rzuca słów na wiatr...” - usłyszał jeszcze.

Lecz to inna historia.

Agata
Sienkiewicz
(Helena Chaos)



Bibliotekarka z wścieklizną mózgu, objawiająca się ciągłą potrzebą „robienia czegoś”. Inicjatorka portalu i wydawnictwa „Herbatka u Heleny” oraz miesięcznika „Herbasenja”. Lamieszana w kilka innych internetowych projektów literackich i stale poszukująca nowych pól do działania. W sieci osiągalna pod pseudonimami Oke Mani, Suzuki M. i Helena Chaos.

Wielbicielka literatury klasycznej, fantastyki, kreskówek, mang i anime. Właścicielka ponadprzeciętnego stada zwierząt. Potomek Dzyngis-chana. Ze wsi pochodzi i po trzynastu latach we Wrocławiu postanowiła na mies wrócić.

Serce gołębiczy

*Get down, get down little Henry Lee
And stay all night with me
You won't find a girl in this damn world
That will compare with me*

Nick Cave & The Bad Seeds, Henry Lee

O tej godzinie miasto było już opustoszałe. Choć w pomarańczowym świetle latarni wąskie uliczki wyglądały całkiem przytulnie i bezpiecznie, to jednak jakaś niewypowiedziana groźba wisiała w powietrzu. Baczenie zwracał uwagę na każdy najmniejszy szelest. Coś czekało przyczajone w porzuconych pod ścianą kartonach, ktoś obserwował go z dachów kamienic. Spodziewał się towarzystwa, prędzej czy później.

Coś przeleciało nad jego głową i z lekkim tupnięciem wylądowało w cieniu jednego z budynków. Z trudem wyodrębnił z ciemności zarys ptaka, którego sylwetka po chwili zaczęła się prostować i wyciągać ku górze, aż osiągnęła wysokość dorosłego człowieka. Spod czarnej peleryny wychynęła blada dłoń i lekko uniosła do góry maskę w kształcie wielkiego dzioba.

Nie pomylił się w przypuszczeniach. Przecież nie przepuściłaby żadnej okazji, aby go sprowokować. Usta kobiety zdobił przyjazny uśmiech, ale czarne jak węgiel oczy wzbudzały niepokój.

„Nie boję się ciebie. Nic nie możesz mi zrobić” – przekonywał w myślach samego siebie, zanim znowu ruszył we wcześniej obranym kierunku. Minał kobietę, jak najdłużej nie tracąc kontaktu wzrokowego. Najważniejsze, to zachować spokój.

– Idziesz do niej. Idziesz jej powiedzieć, że jej nie chcesz – usłyszał już za plecami. Przystanął i odwrócił się.

Stała na środku uliczki. Czarna peleryna i szara suknia lśniły w świetle latarni. Cień dzioba przesłaniał jej twarz, ale co chwilę przekrzywiała głowę na boki, więc widział, że ani na chwilę nie przestała się uśmiechać.

– Ona ci wydziobie oczy, wydziobie serce.

Brak reakcji z jego strony ściągnął z dachu drugiego ptaka i już po chwili druga kobieta świdrowała go zdradzającymi liczne obsesje oczami. Podobieństwo do pierwszej było tak uderzające, że nie mogłyby się wyprzeć rodzinnych koligacji. Tylko biel sukni, jaśniejąca w rozcięciu peleryny, pozwalała na szybką orientację.

– Masz piękny łańcuszek. Błyszczysz – powiedziała, ostrożnie robiąc krok w stronę mężczyzny. Jej głowa kompulsywnie poruszała się na boki, by oczy mogły oceniać ze wszystkich możliwych perspektyw. – Daj mi go! – zaskrzeczała, błyskawicznie podskakując na odległość wyciągniętej ręki.

– Po moim trupie! – Odskoczył niezgrabnie w tył.

Nagły ruch spłoszył kobietę. Cofnęła się, przygłębła do ramienia siostry i podekscytowana szeptała:

– Słyszałaś? Słyszałaś? Powtórzysz jej? Powiesz jej, że pozwolił mi zabrać łańcuszek? Powiesz? Powtórzysz? Ona mi nie uwierzy, będziesz jej musiała powtórzyć!

Jednak starsza z siostrzycy nie zwracała na nią uwagi, zaaferowana szczegółem, który nie miał szans umknąć jej wzrokowi. Biały, subtelny drobiazg, który wyzwolony szarpnięciem, wysunął się z włosów mężczyzny i bezszelestnie spłynął na asfalt. Zaczęła głębiej oddychać, szerzej otworzyła oczy.

– Pióro... Pióro gołębic... Idziesz od niej. Ona jest tu, blisko...

Odsunęła siostrę i podeszła bliżej mężczyzny. Na tyle, by nie dosięgły jej muskularne ramiona. Pochyliła się lekko do przodu i szeptała, patrząc spod dzioba prosto w jego oczy:

– Jedna dostanie oczy i serce, druga łańcuszek, a ja... dostanę gołębicę!

Zacisnął mocniej pięści i szczęki, ale to wściekły wyraz jego oczu był tym, co najbardziej ją ucieszyło. Chichocząc skrzekliwie, zataczała po ulicy kręgi tanecznym krokiem, aż w końcu zaczęła radośnie śpiewać. Porwała siostrę za rękę i po chwili obydwie szybowaly nad śpiącymi kamienicami, a w uliczkach jeszcze długo echem odbijał się wroni śpiew:

And the wind did howl and the wind did blow...

Lecąc, dotarły do gniazda dużo szybciej niż spodziewany gość. Jemu zresztą nie zależało na czasie. Wprawdzie drżał z podniecenia na myśl o

tej, którą chwilowo opuścił, ale wiedział, jak zgubny może się okazać pośpiech i roztargnienie.

Siostry, lądując na płaskim dachu pustostanu, nie były w stanie ukryć emocji. Trzecia, najstarsza, leżała z zamkniętymi oczami na gigantycznej, misternie splecionej stercie rupieci, niczym na najwygodniejszym łożu. Wrona w kilku zręcznych susach znalazła się na wyciągnięcie jej ręki, szepcząc i chichocząc na zmianę.

– Pogardził... Słabnie twój czar... Mija twój czas...

Pozornie uśpiona postać niedbałym ruchem ręki poruszyła jedną ze splatających gniazdo metalowych rur, przez co szepcząca musiała się ratować przed upadkiem powrotnym skokiem na stabilny grunt.

– Przychodzi mi do głowy tylko jedna rzecz, która mogła wprawić cię w stan takiej ekscytacji – odpowiedziała najstarsza, cała obleczona w czerń, otwierając wielkie, równie czarne oczy.

– O tak. Ona jest w mieście. Ona jest w mieście i ja ją znajdę. A on idzie tutaj i mi nie przeszkodzi. Ty się nim zajmiesz.

– Zajmę się – potwierdziła ze stoickim spokojem. – Ale ma was tu nie być.

– Nas nie będzie, my będziemy szukać... Wiemy, że jest blisko, znajdziemy ją. Ona świeci, błyszczycy...

Ostatnie zdanie wypowiedziała głośniejsz i dobitniej. Najmłodsza z siostr, która chwilę wcześniej usadowiła się w pozornie bezładnej kupie żelastwa, srebra, złota i szkła, skrupulatnie rachując wszystkie skarby, wyprostowała się niczym w transie, a jej oczy przybrały nieobecny wyraz.

– Błyszczycy, świeci... – powtarzała bezwiednie – Jak gwiazda... – Wstała i przez moment krążyła z zamkniętymi oczami po dachu, przekrzywiając głowę raz w prawo, raz w lewo. Nasłuchując. Kiedy znów podniosła powieki, wyjrzało spod nich z powrotem szaleństwo i gorączka. – Woła mnie!

Nie czekając na pozwolenie, wskoczyła na parapet i po chwili leciała w stronę rzeki. W tym samym momencie w drzwiach wyjścia na dach stanął wyczekiwany gość. Wrona obdarzyła go tym samym uśmiechem, co wcześniej.

– Obiecał jej łańcuszek, sama słyszałam.

Jeszcze chwilę smakowała jego nienawistne spojrzenie, po czym znów zasłoniła twarz maską, lekko odbiła się od podłoża i ruszyła za siostrą.

Zagryzł zęby. Najchętniej połamałby im skrzydła, poukręcał łebki. Gdyby tylko to coś dało.

Tymczasem czarna dama stąpała już lekko w jego kierunku. Krucha konstrukcja gniazda nawet nie drgnęła pod naciskiem pełnych powabu kroków.

I znowu była obok. Pachniała ziemią, grobem i śmiercią. Księżyc odbijał się w jej oczach jak w czarnych jeziorach. Nieznacznie ustępowała mu wzrostem i siłą, ale daleko przewyższała sprytem. Młodsze siostry razem wzięte nie miały w sobie tyle uroku i dostojeństwa.

– Moje towarzystwo przestało być ci mile? – powiedziała, kładąc mu rękę na policzku. W oczach miała nieskrywany żal.

– Wiesz, że to nie o to chodzi – odpowiedział delikatnie ujmując jej dłoń i całując opuszki palców. Długi szpon przypadkowo zadrasnął jego policzek. Ranka natychmiast podbiegła krwią. – Męczy mnie już miasto, to nie mój świat. Muszę iść dalej.

– Pójdę z tobą...

– Oboje wiemy, że tutaj jest twoje miejsce. To twoje królestwo.

Po policzku kobiety powoli potoczyła się łza.

– Nie rób tego, najpiękniejsza – westchnął. – Nie każ zapamiętać cię w takim stanie.

I już po chwili znowu ją obejmował. Znowu leżeli w gnieździe. Smakował jej skórę, usta i język. Chłonał ciepło. Jego ręce sunęły w stronę jej piersi. Jej szpony sunęły w kierunku jego oczu.

Sroka wylądowała na dachu starej, opuszczonej hali z czerwonej cegły. Słyszała zew i nie panowała nad sobą. Lekko spóźniona Wrona z niemalym trudem usadziła ją na krawędzi i usiłowała skupić na sobie uwagę rozbieganych oczu.

– Ona tu jest! Widzisz to, widzisz ten blask? Tak bardzo błyszczy, tak pięknie...

– Zaczekaj tu, daj mi chwilę... – Średnia siostra ostatkiem sił panowała nad nerwami.

– Po co? Na co ci ona? Tobie nie jest do niczego potrzebna!

– Chcę tylko jej serca...

– Po co ci serce? Serce nie błyszczy. Jest miękkie, lepkie, czerwone...

– Jest smaczne. – Bezwarunkowym odruchem oblizwała i zagryzła usta. Jej ręce zaczęły drżeć na samą myśl, krew w żyłach buzowała. – Nie ma na tym świecie nic słodsze niż serce gołębicy. Wezmę tylko serce. Reszta twoja. Weźmiesz każde pióro, tylko zaczekaj.

Niczym magik wyciągnęła z rękawa pióro, którym wcześniej nieopatrzenie zdradził się kochanek siostry. Błyszczało hipnotycznie. Sroka patrzyła

na nie z otwartymi szeroko ustami. Kiedy delikatnie wzięła je do ręki, jej towarzyszka błyskawicznie ruszyła w dół, by jak najlepiej spożytkować kilka kupionych właśnie chwil samotności.

Wrona drżała z emocji. Na parapecie wybitego okna wylądowała wyjątkowo niezgrabnie. Ostrożnie przecisnęła się pomiędzy brudnymi resztkami szkła i zeskoczyła na zakurzoną podłogę. Pomarańczowe światło pobliskiej latarni wystarczyło, by wypatrzyć wydeptane w nagromadzonym brudzie ślady, wiodące tam, skąd skarb wabił srebrzystą luną.

Ważąc każdy krok i przystając przy każdym szeleście, powoli zbliżała się do kąta sali, złudnie zaszypane go zardzewiałym żelastwem i drewnianymi szczątkami. Za górą rupieci dostrzegła prowizoryczny pokój. Gołębica leżała na zaimprovizowanym posłaniu. Była piękna i delikatna jak płatek śniegu. Z białymi włosami rozrzuconymi na poduszce i w białej sukni w zupełnym nieładzie, lśniła niczym gwiazda. Wpatrywała się w gościa z przerażeniem. Nie miała żadnej szansy na ucieczkę, żadnej nadziei na obronę.

Wrona patrzyła oniemiała. Z każdą sekundą mniej panowała nad podnieceniem, które falami opanowywało jej ciało. Taka piękna. Taka niewinna. Taka bezbronna.

Wzięła głęboki wdech i skoczyła.

Mocny uścisk zatrzymał ją w miejscu jeszcze zanim dobrze odbiła się od ziemi. Wrzasnęła wściekle, ale już po chwili dłoń ściskająca jej gardło zamieniła krzyk w bezsilne charczenie. Szarpała, kopała, biła skrzydłami. Bezskutecznie. Kiedy była już u kresu przytomności, tuż przy uchu usłyszała znajomy, wściekły szept:

– Będziesz następna...

Ciało Wrony głucho uderzyło o podłogę. Mężczyzna, ciężko dysząc, spojrzal na Gołębicę. Jej twarz była mokra od łez. Zdawał sobie sprawę, jak koszmarne musiał w tym momencie wyglądać. Po lewej stronie klatki piersiowej kurtka i koszula były podarte w strzępy, spod których wyzierało żywe mięso jeszcze nie zasklepionej rany. Prawą stronę twarzy przykrywała krwawa maska. Na miejscu jednego z bursztynowych oczu mrugało teraz czarne jak węgiel. Mimo to, był na swój sposób szczęśliwy.

Gołębica szarpnęła się w więzach, wzbudzając jego uśmiech. Przyglądził brudnymi od zeschniętej posoki dłońmi siwiejące już włosy. Na miękkich nogach ruszył w jej kierunku, po drodze zgarniając ze stołu nóż.

Taka piękna. Taka niewinna. Taka słodka.

Przelknął ostatni kęs, oblizal nóż, wargi, potem każdy palec z osobna. Czuł się tak wspaniale. Jego wzrok jeszcze karmił się widokiem Gołębicy. Biała suknia nadal nasiąkała krwią, rozchylone usta nadawały delikatnej twarzy rys zmysłowości, martwe oczy upodobniały ją do porcelanowej lalki. Przymknął powieki, chcąc utrwalić sobie ten widok.

Wrona odzyskiwała przytomność bardzo powoli. Nie od razu przypomniała sobie gdzie i dlaczego jest. Próbując wstać, zaplątała się w suknię i upadła ponownie, wzniecając chmurę kurzu..

Kania otworzył oczy. Mocniej ścisnął nóż i ruszył w jej kierunku.

Bohdan
Waszkiewicz
(Bohdan)



Urodził się dawno temu, w pierwszej połowie lipca, pomiędzy siedzibą Hitlera a klasztorem w Świętej Lipce, a dokładnie w Kętrzynie. Potem zamieszkał w Gdańsku, a obecnie przebywa we wschodniej Anglii. Nosi się z zamiarem powrotu do ojczyzny.

Lubi czytać, więc czyta, lubi pisać, więc pisze.

Biała nienawiść

Brnąłem przez tłumy na Seven Sisters niczym myśliwy pokonujący gęstwinę leśną, z tą różnicą, że na nic nie polowałem. Towarzyszył mi Henry, który sprawnie rozpychał się między płynącą rzeszą ludzi. Mijaliśmy przechodniów i dziesiątki małych sklepików, rozsianych wokół jednej ze stacji londyńskiego metra. Można tu było kupić wszystko: od suszonego mięsa afrykańskich kóz po kolumbijską kokainę, czy nawet gnata – jeśli ktoś się tylko dobrze zakręcił. Wieczorem na placu pojawiały się prostytutki, które przy słabej koniunkturze potrafiły dać dupy za dwadzieścia funtów, a nad ranem czasami za połowę tej kwoty. Dzielnica została rozbudowana i zasiedlona głównie przez przybyszów z Karaibów, ale mieszkali tutaj również Afrykanie, Irlandczycy i emigranci ze Wschodniej Europy oraz Południowej Ameryki. Okolica nie cieszyła się dobrą sławą, choć mnie nigdy nie spotkało tutaj nic złego.

Na chwilę odbiegłem myślami w przeszłość; wspominałem przyjazd i niektóre fakty, które wydarzyły się wraz z początkiem pobytu w stolicy Anglii.

Dwa lata wcześniej opuściłem ojczyznę i wylądowałem na lotnisku w Stansted. Po przybyciu do Londynu zamieszkałem w niewielkim pokoju, który wynająłem od jakiegoś grubego Żyda. Takiego w dziwacznym wdzianku, z długimi pejsami oraz kipą na środku głowy.

– Ja throche mówić i rozumieć po polsku. Moja babhcia mieszkała przed wojna pod Krakowia – powiedział zmutowaną polszczyzną, po czym opuścił moje skromne progi. Potem widywałem go raz w miesiącu, kiedy z zapalem przeliczał pieniądze za wynajem.

Tydzień później zatrudniłem się jako barman w pubie. Pracowałem blisko mojego mieszkania, co w tak ogromnej metropolii nie było wcale łatwe do zrealizowania. Bardzo mi to odpowiadało, nie tylko ze względu na koszt, ale również dlatego, że wtedy jeszcze dość słabo znałem miasto.

Wszelkie bary, puby czy kluby mają to do siebie, że poznaje się tam wielu ludzi. Niektórych spotykasz tylko raz, a innych widzisz niemal codziennie. Do tej drugiej kategorii klientów należał Henry Bang. W gronie znajomych nazywany Big Bang, a to z powodu prawie dwóch metrów wzrostu i sporej nadwagi. Oprócz tego wyróżniała go głowa zawsze ogolona na zero i błyszcząca w słońcu niczym karoseria samochodu, który właśnie wyjechał

z myjni. Henry sześć lat temu wyemigrował z Kamerunu. W swojej ojczyźnie ukończył geodezję, a w Londynie pracował jako operator wózka widłowego w jednym z magazynów Tesco.

– Ale jeszcze kiedyś wrócę do kraju i będę pracował w zawodzie – zarzekał się niejednokrotnie. – Po prostu czekam na właściwy moment.

– To tak jak ja! – odpowiadałem zazwyczaj w ten sam sposób, po czym rzeliśmy jak konie na widok siana.

Któryś wieczoru Bang wspomniał, że śpiewa w kapeli, którą utworzył wraz z kilkoma Jamajczykami. Ucieszył się, kiedy opowiedziałem o swojej muzycznej przeszłości w zespole reggae. Szczęśliwym zrzędzeniem losu brakowało im jednego gitarzysty, bo poprzedni właśnie przeniósł się do Birmingham.

Nie mogłem, a przede wszystkim nie chciałem odmówić.

I tak od ponad roku grałem w zespole, a i pracę zmieniłem na ciekawszą. Dzięki znajomościom Andy’ego, naszego perkusisty, otrzymałem etat w sklepie muzycznym na Camden Town. Nie dość, że lepiej zarabiałem, to zajmowałem się tym, co najbardziej lubiłem robić: muzyką. Rzadko graliśmy koncerty, więc praca sprzedawcy stanowiła moje główne źródło utrzymania.

– Bob, słyszysz mnie? – Głos Henry’ego wyrwał mnie z zamyślenia. – Co? Znowu myślisz o niej?

Nie tak dawno temu miałem narzeczoną, Martę, którą kochałem jak nikogo innego na świecie. Każdego dnia tęskniłem za nią. W międzyczasie byłem kilka razy w Polsce, żeby zobaczyć moją kobietę, żeby poczuć jej zapach. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, dlaczego odkładała przyjazd do Wielkiej Brytanii. Ciągłe słyszałem jakieś wymówki: a to problemy zdrowotne jej ojca, a to szlifowała angielski, a to to, a to tamto. W końcu zakomunikowała mi telefonicznie, że poznała kogoś. Nawet się nie zająknęła, mówiąc mi o tym. Rozryczałem się jak bóbr, prosiłem, błagałem, żeby mnie nie zostawiała. Usłyszałem coś o płaczącym mięczaku, a potem słowa, które obijały mi się wewnątrz czaszki przez kilka miesięcy: *Seks z każdym facetem, z jakim cię zdradziłam, był o wiele lepszy niż z tobą*. Zareagowałem wiązaną zmyślnych przekleństw i wyzwisk. Dopiero po kilku minutach zauważyłem, że Marta rozłączyła się dużo wcześniej. Wpadłem w szal i rzuciłem komórką o ścianę mojego pokoju. W ten sposób nowusienka nokia dokonała żywota.

– Nie, nie myślałem o niej – skłamałem.

Swoją skromny dobytek – samochód, gitarę wraz z nagłośnieniem oraz szafę płyt kompaktowych i książek – zostawiłem narzeczonej. Oląłem to. Po

jakimś czasie uczucie miłości zastąpiła nienawiść, co wyraziłem spalaniem kilku fotografii Marty i bluzgami pod jej profilem na Facebooku. Teraz nawet nie wiedziałem, co się z nią działo, bo w kraju nie pojawiłem się od ponad ośmiu miesięcy. Ona z kolei zmieniła numer telefonu i przestała odpowiadać na maile.

Henry spojrział na mnie wymownie.

– No, dobra – westchnąłem. – Pomyślałem, że fajnie by było, jakby spadła ze schodów i skreśliła sobie kark.

To z powodu Marty jechałem przez kilka miesięcy na kokainie, do tego suto zakrapianej alkoholem. Tylko dzięki zamiłowaniu do muzyki i pomocy kolegów z zespołu, a przede wszystkim Henry’ego, wyszedłem z tego gówna. Od dłuższego czasu nie miałem do czynienia z prochami. No, może nie tak do końca, ale w każdym razie przestałem być niewolnikiem używek. I co najważniejsze, znowu polubiłem życie.

– Daj spokój, kolego. – Poklepał mnie po ramieniu wielką jak łopata dłonią. – Jest tyle dziewczyn, tylko popatrz. Weź sobie jakąś, w końcu masz już ponad trzydzieści lat.

Rozejrzałem się wokół, i rzeczywiście, zauważyłem sporo kobiet. Jedną grubszą od drugiej. Niezależnie od koloru skóry, wszystkie łączyła wspólna cecha: otyłość. Henry’emu, jako Afrykaninowi, nie przeszkadzało to w ogóle.

– Widzisz, jak laska ma trochę dużo tu i ówdzie, to zdrowe dzieci rodzi – wyjaśniał, lśniąc białymi jak śnieg zębami, które kontrastowały z jego czarną twarzą. – Poza tym przyjemnie jest się do takiego ciała przytulić.

Zawsze mu wierzyłem i ufalem, ale w tym jednym przypadku miałem odmienną opinię. Parsknąłem ironicznie, nie komentując słów Henry’ego. Zresztą nie było takiej potrzeby, bo doskonale znał moje zdanie na ten temat.

Jak co czwartek wieczór wracaliśmy z próby. Zawsze docieraliśmy razem do stacji metra, a potem każdy z nas podążał w swoim kierunku: Bang jechał na Wood Green, a ja dreptałem do domu na Stamford Hill.

– Ty, Big Bang. Zaczekaj moment – odezwał się ktoś za nami.

Zatrzymaliśmy się. W naszym kierunku szedł jakiś czarny mężczyzna. Był o głowę niższy od Henry’ego, a na jego czuprynie kłębiły się dredy, podobnej długości do moich, tyle tylko, że zupełnie siwe. Sięgały do ramion i częściowo zasłaniały przebiegającą po czole długą bliznę. Miałem trudności z oceną wieku mężczyzny, bo pomimo siwych włosów i twarzy poranej zmarszczkami, wydawał się muskularny i bila od niego młodzieńcza

witalność. Ale w jego wyglądzie najbardziej zwracały uwagę błękitne oczy. Wcześniej nie widziałem czegoś takiego u żadnego czarnego.

– W porzo, King Richie? – przywitał się Bang.

– Ta. Musimy pogadać – odparł i zmierzył mnie wzrokiem. – Na osobności.

– Dobra – zgodził się Henry, po czym rzekł do mnie: – Robert, jak chcesz, to idź.

– Zaczekam. – Uspokoilem go ruchem dłoni. – Nigdzie mi się nie spieszy.

Oddalili się o kilka kroków, a ja usiadłem na murku okalającym niewielki trawnik. Obok przechodziło właśnie dwóch moich rodaków; spodnie dresowe adidasa, bluzy lonsdale, głowy ostrzyżone na zero. Kiedy mnie mijali, usłyszałem fragment toczzonej przez nich rozmowy.

– Widziałeś tego brudasa? To Polak, ale z czarnuchami trzyma – powiedział ściszym głosem wyższy z nich, znacznie mniej napakowany sterydami od swojego towarzysza.

– Żartujesz? Co za chuj – skwitował ten, którego łatwiej było przeskoczyć niż obejść.

Nawet nie zrobiło mi się przykro. Przywykłem, bo jak mawiał jeden z moich kolegów, któremu nie udało się uciec przed zasadniczą służbą wojskową: „Pierwsze prawo fali – jebać ziomali”.

Chwilę potem wyrósł przede mną Henry.

– Nie rozumiem, czemu czekałeś na mnie? Przecież i tak zaraz mam pociąg.

– Bo chciałem cię zapytać o tego gościa – odpowiedziałem. – Wydawał się jakiś taki dziwny. Kto to?

– King Richie? Stary przyjaciel, kiedyś mieszkaliśmy obok siebie. – Pokazał palcem kierunek. – Tam, zaraz za Tesco.

– Mieszkałeś na Seven Sisters? – Zdziwiło mnie to. Taki duży i grzeczny chłopiec jak Henry w dzielnicy gangów i dilerów?

– Tylko przez rok. Moje początki w Londynie nie należały do łatwych... Jakoś trzeba było sobie radzić. – Na twarzy Banga pojawił się wyraz zakłopotania.

– Łapię. – Postanowiłem na razie nie wnikać w przeszłość przyjaciela. – A ten Jamajczyk, to kto? Nie wyglądał na sympatycznego faceta.

– Nie jest Jamajczykiem, tylko Haitańczykiem – sprostował. Jego mina błyskawicznie przybrała poważny wyraz. – Zajmuje się magią. Jest kapłanem voodoo.

– Henry, mój przyjacielu. – Uśmiechnąłem się pobłaźliwie. Takie opowieści traktowałem z przymrużeniem oka. Szczególnie po tym, jak

kiedyś usłyszałem od pewnego Kenijczyka, że mężczyzną w jego ojczyźnie stawał się ten, kto gołymi rękami udusił lwa. – Poważnie pytam.

– A ja poważnie odpowiadam. – Ton jego głosu świadczył o tym, że nie żartował. – King Richie ma wielką moc. Z jego usług korzysta wielu ludzi z Karaibów i Afryki. Potrafi skutecznie dokonać zemsty na złych ludziach. Sam wiem, bo... – przerwał, po czym zagryzł wargę.

Wierzyłem mu. Chciałem zadać jeszcze kilka pytań, ale nie wystarczyło czasu. Pożegnaliśmy się, a czarny wielkolud wkrótce zniknął w podziemiach metra.

Tej nocy długo nie mogłem zasnąć. Ciągle miałem przed sobą obraz niebieskookiego mężczyzny. Do głowy przyszedł mi pewien pomysł, choć wprowadzenie go w życie mogło być trudne. A na pewno niemożliwe bez pomocy Henry'ego.

W końcu zasnąłem.

Śniły mi się przerażające, ciemne postaci. Jakby żywe cienie. Wszystko to przeplatało się z dziwnymi rytuałami, których nie widziałem nigdy wcześniej. Byłem świadkiem śmierci młodego Afrykańczyka, rozszarpanego przez ogromnego lwa. Przyjrzałem się drapieżnikowi: miał niebieskie, ludzkie oczy. Zwierzę jednym kłapinięciem wielkich szczęk odgryzło nieszczęśnikowi głowę, po czym uderzyło w nią łapą. Czerep wolno potoczył się w moją stronę. Po chwili przeniosłem wzrok na leżącą u stóp zakrwawioną głowę. I zamarłem z przerażenia.

Obudziłem się zlany zimnym potem. Z objęć Morfeusza wyrwał mnie mój desperacki krzyk.

– Kurwa, co za pojebany sen – wymamrotałem ledwie słyszalnie. Głośniej, i do tego w szalonym tempie, waliło moje serce. Przez chwilę myślałem, że przekręcę się na zawał. Zdawałem sobie sprawę, że po takiej ilości dragów, jaką przyjąłem w przeszłości, moja pompka nie działała już tak sprawnie. W końcu uspokoiłem się, a tętno przestało dościgać mysie.

Wytarłem dłonią spoconą twarz, po czym spojrzałem na zegarek: za cztery godziny musiałem wstawać do pracy. Wtulilem twarz w poduszkę

z mocnym postanowieniem szybkiego zaśnięcia. Każdy późniejszy szmer lub inny cichy odgłos dobiegający gdzieś zza okna, powodował, że natychmiast sztywniałem i wytyżałem słuch, jednocześnie bojąc się wykonać jakikolwiek ruch. W ten sposób nie zmrużyłem już oka aż do rana.

Jakoś przetrwałem dzień w pracy, wypijając hektolitry kawy i przemysławiając regularnie twarz lodowatą wodą. Półprzytomny opuściłem sklep.

W drodze do domu postanowiłem zadzwonić do Henry'ego. Zaproponowałem mu wieczorne spotkanie w pubie, na co, nie kryjąc zaskoczenia, wyraził zgodę. Wiedział, że od kiedy przestałem pracować jako barman, rzadko odwiedzałem takie miejsca w środku tygodnia. Z kolei ja tłumaczyłem to przesytem.

Kiedy dotarłem do mieszkania, runąłem jak długi na posłanie. Między drzwiami a łóżkiem udało się zrzucić buty, natomiast reszta ubrań pozostała na moim ciele. Tym razem zasnąłem w mgnieniu oka.

– No, o co chciałeś zapytać? – zainteresował się Henry po wypiciu kilku łyków stelli. – Gadaj, bo widzę, że się kręcisz, jakbyś miał hemoroidy.

Rozejrzałem się. W pubie, prócz nas, było jeszcze tylko trzech klientów i barmanka, która znudzona żuła gumę i obmacywała kolczyk wkłuty w brew. Z głośników dochodził przećpany głos Cobaina śpiewającego „Come as you are”, a za oknem roztaczał się wspaniały widok na zalewaną strugami deszczu jezdnię i stojące w korku samochody.

– Wiesz – zacząłem – myślałem o twoim przyjacielu. Jak mu tam? O King Richie.

– Tak? A co z nim?

– Chciałbym, żeby mi pomógł – wycedziłem ostrożnie, powoli, niemal sylabę po sylabie.

– Już rozumiem. – Uśmiechnął się ironicznie, po czym dodał: – Zapomnij o tym. Nie ma takiej możliwości.

– Dlaczego? – zapytałem, nie kryjąc zdziwienia. – Tobie też kiedyś pomógł, prawda?

– Ale to było co innego. – Bang sprawiał wrażenie zdenerwowanego. – Stare czasy, nie chcę do tego wracać. Poza tym jest jeszcze inna przeszkoda. King Richie nie zechce ci pomóc.

Spojrzałem na niego pytająco.

– Bo, kurwa, jesteś biały!

Zaskoczył mnie. Nie mogłem sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek słyszałem przekleństwo z ust Banga. Oczekałem chwilę, aż się uspokoił. Po czym ponownie podjąłem temat.

– I ty mi to mówisz? Ty, piewca antyrasizmu i światowego braterstwa? To po co piszesz te piosenki, skoro to wszystko gówno warte? Tobie pomógł, bo jesteś czarny, a mi nie pomoże, bo jestem biały. Tak?! – Kończąc wypowiedź, niemal krzyknąłem. W każdym razie mimowolnie podniosłem głos.

Henry rozdziawił się, chcąc coś powiedzieć.

– Do dupy z tym – uprzedziłem go. – Nie chcesz zapytać, to nie.

Milczeliśmy przez dobrych kilka minut. Obserwowałem kręcące się śmigło ściennego wentylatora, a mój przyjaciel wlepił wzrok w wypełnioną do połowy złocistym płynem szklankę.

– Dobra. – Niski głos Henry’ego wreszcie przerwał polsko-kameruńskie zawieszenie stosunków dyplomatycznych. – Pogadam z nim, ale nic nie obiecuję

– Dzięki, stary. – Uderzyłem szklanką o jego szklankę. – Na zdrowie.

Przebieg rozmowy tak wzmógł nasze pragnienie, że osuszyliśmy naczynia do dna.

– Teraz moja kolej – przypomniałem mu, po czym udałem się do baru.

Po chwili powróciłem z dwoma piwami w dłoniach.

– Aż tak bardzo jej nienawidzisz? – Usłyszałem.

– Henry, tak naprawdę to mam jednego wroga. Nazywa się Marta.

Pokiwał ze zrozumieniem lysą głową. Tego wieczoru nie wracaliśmy już do poruszonego wcześniej tematu. Wypiliśmy jeszcze następną kolejkę i rozeszliśmy się do domów.

Minęły trzy dni od naszej ostatniej rozmowy. Skończyliśmy próbę i właśnie szliśmy po wąskim chodniku. Nie przypominałem o obietnicy złożonej przez Henry’ego, choć świerzbił mnie język. Rozmawialiśmy o muzyce i o przyszłości naszego zespołu: co poprawić, gdzie przydałoby

się zagrać jakieś solo i że perkusista grał jak zwykle równiusieńko niczym idealnie zaprogramowana maszyna.

Bang kiwał z zadowoleniem głową, aż w końcu odezwał się:

– Gadalem z King Richie. Zgodził się.

– Co? Tak? – Oczy powiększyły mi się, jak po wciągnięciu grama prochu. Byłem zaskoczony, bo oczekiwałem raczej odmownej odpowiedzi.

– Naprawdę? – dopytywałem jak dziecko, które dowiedziało się, że to nie bocian roznosi wrzeszczące noworodki.

– Ta. – Potwierdził skinieniem głowy, niezrażony moim głupawym zachowaniem. – Jestem zaskoczony, że zgodził się tak łatwo. Myślałem, że jak mu powiem... no wiesz – zawahał się – że jesteś biały, to mnie na kopach pogoni. A on się tylko uśmiechnął i zapytał o szczegóły twojej sprawy. No, a potem powiedział, że pomoże.

– Czego chce w zamian? – zapytałem. Nawet nie wiedziałem, czy jestem w stanie zapłacić oczekiwaną sumę pieniędzy.

– Niczego. On nie może niczego od ciebie żądać. To już twoja sprawa, jak mu zapłacisz.

– Jak to?

– Według naszych wierzeń kapłan nie może żądać zapłaty, bo utraci przez to swoją moc – wyjaśnił. – Widzisz, ludzie często myślą, że voodoo to religia zła. Coś jak satanizm czy kult Seta. A voodoo to rytuał, który pomaga ludziom o czystych sercach zemścić się na swoich prześladowcach. Stąd zresztą taka popularność voodoo na terenach, gdzie kiedyś kwitło niewolnictwo. Na początku biali nie potrafili znaleźć odpowiedzi na tajemnicze zgony brutalnych zarządców. Potem, kiedy domyślili się wszystkiego, każdy czarny podejrzany o zajmowanie się voodoo ginął w strasznych męczarniach.

– Rozumiem, że to ja jestem tym koleśkiem o czystym sercu?

– Jesteś, Bob, jesteś – powiedział, po czym zamilkł, bo po chwili dodać:

– Pamiętaj, voodoo to wzmacniacz nienawiści. A nienawiść, podobnie jak miłość, ma ogromną moc. Kapłan tylko przekazuje ją duchom, które dokonują reszty.

– Nadal nie wiem, jak mam mu zapłacić?

– Zamów mu pizzę z tuńczykiem. Uwielbia ją. – Henry uśmiechnął się. – Tylko jakąś dobrą, najlepiej z „Domino Pizza”. Aha, jeszcze jedno – przypomniał sobie. – Będzie potrzebne jakieś zdjęcie Marty, a ty, zdaje się, wszystkie spaliłeś?

– Może jedno się znajdzie. – Odniosłem wrażenie, że moje policzki rozgrzały się do stu stopni Celsjusza.

Bang wybuchnął gromkim śmiechem. Poczulem przyjacielskie uderzenie w plecy, które na moment pozbawiło mnie tchu.

Spotkaliśmy się tydzień później pod wskazanym przez Henry'ego adresem. Dom stał samotnie, otoczony kilkoma drzewami i wyglądał na bardzo zaniedbany. Odpadał z niego tynk, a szyb w oknach nikt chyba nie mył od wielu lat. Trawnik przed budynkiem pokrywały kilogramy śmieci i niedopalków. Z kolei na podjeździe straszyl zardzewiały vauxhall, którego ktoś pozbawił dwóch kół oraz tylnej klapy. Auto prawdopodobnie spełniało rolę kociej kryjówki, o czym świadczył intensywny zapach moczu.

– Zapukaj trzy razy – poinstruował Big Bang. – Ja zaczekam tutaj. W rytuale mogą wziąć udział tylko kapłan i rzucający kłutwę.

Podszedłem do drzwi i wykonałem polecenie przyjaciela. Po chwili usłyszałem kroki, a wkrótce w drzwiach pojawił się niebieskooki. Zaprosił mnie ruchem głowy do środka.

Wnętrze domu było ciemne i ponure. Ze ścian odpadała brudna tapeta, a na podłodze spostrzegłem przemykające karaluchy. Kiedy mijalem kuchnię, mój nos zaatakował obrzydliwy fetor. Spojrzałem, szukając źródła smrodu. Zauważyłem w zlewie stos brudnych naczyń, które pięły się ku górze niczym biblijna Wieża Babel.

Wreszcie dotarliśmy do przestronnego pokoju, oświetlonego dziesiątkami świec. Na środku pomieszczenia stał okrągły stół, a na nim pordzewiała klatka z uwięzionym kogutem oraz metalowa misa. Ściany, sufit oraz podłoga były pokryte mnóstwem nieznanym mi symboli, rysunków i znaków. Okna szczelnie zasłonięto czarnymi płachtami.

– Mam dla ciebie pizzę. – Podąłem pudelko trzęsącymi się rękami.

– Uwielbiam zapach tuńczyka. – Wciągnął głośno nosem powietrze do płuc. Po chwili otworzył karton i poczęstował mnie trójkątem pizzy. – Zjemy po kawalku, a potem zabieramy się do roboty – oznajmił spokojnie.

Podczas krótkiego posiłku nie spuszczał mnie z oczu. Czulem, jak jego wzrok wręcz przeświecła mnie niczym promienie rentgenowskie. Kiedy przelknął ostatni kęs, zapytał:

– Chcesz rzucić kłutwę na kobietę, która cię zraniła? A nie prościej pójść do burdelu?

– Prościej, ale co to za kara? – skontrolowałem.

– A jakiej kary dla niej wymagasz? Śmierci? – Skrzywił usta w szyderczym uśmiechu.

– Nie. Po prostu chciałbym, żeby przez rok cierpiała. Tak jak ja.

– Rozumiem. – Pokiwał głową, po czym dodał:– Śmierć to żadna kara, to wybawienie. Twój wybór jest jak najbardziej słuszny.

– Dzięki, że zgodziłeś się mi pomóc.

– Pomagam, bo Big Bang zaręczył za ciebie. A poza tym nigdy nie robiłem tego wspólnie z białasem. – Roześmiał się. – Można to uznać za awans zawodowy.

Otworzył skórzaną torbę. Wyjął z niej zakrzywiony sztylet oraz kilka nasion i zasuszonych roślin, a na koniec położył na stole porcelanową szkatułkę. Czarna i pokryta czerwonymi symbolami, była mniej więcej wielkości kostki masła. King Richie uniósł wieczko. Pojemnik zawierał jakąś fosforyzującą zieloną masę, przypominającą konsystencją galaretę. Zanurzył w niej wskazujący palec, a potem naniósł na swoje czoło jakieś znaki lub litery. Następnie zrobił to samo z moją twarzą; poczułem lodowaty chłód zielonej masy oraz delikatny zapach mięty.

– Stań tutaj. – Pokazał palcem miejsce obok stołu. – W tym kręgu. I nie wychodź z niego aż do końca rytuału. I daj mi jej zdjęcie.

Bez słowa wykonałem polecenie. Kapłan nawet nie spojrzal na fotografię, tylko od razu wrzucił ją do naczynia.

– Teraz wystaw rękę. Będzie potrzebna twoja krew.

Przez chwilę chciałem zaprotestować, ale zdałem sobie sprawę, że to bez sensu. Kiedy poczułem piekący ból dłoni, syknąłem cicho i bezwiednie zamknąłem oczy. Chwilę potem otworzyłem je i ujrzałem, jak strużka krwi ściekała ze zranionej ręki do miski. King Richie podał mi bandaż, jednocześnie przytknął palec wskazujący do ust, nakazując milczenie. Szybko zrobiłem prowizoryczny opatrunek, nie przerywając uważnej obserwacji tego, co działo się wokół.

Kapłan otworzył klatkę, po czym wyciągnął z niej koguta. O dziwo, ptak zachowywał się zupełnie spokojnie. Mężczyzna zaczął mamrotać coś w nieznanym mi języku. Mówił coraz głośniejszym i głośniejszym głosem, aż w końcu jego słowa przerodziły się w krzyk. I wtedy, jednym ruchem ręki, podciął kogutowi

gardło. Trzymane za skrzydła zwierzę podskakiwało w śmiertelnym tańcu, a jego krew trafiała nie tylko do naczynia, ale bryzgala również na boki, plamiąc ubranie szamana i brudząc jego twarz. King Richie co jakiś czas dorzucał do misy nasiona lub brązowe liście, nawet na chwilę nie przestając zawodzić, jęczeć i śpiewać dziwacznej pieśni. Za każdym razem, kiedy w naczyniu znalazły się zasuszone rośliny, kapłan mieszał ciemny roztwór pazurami dogorywającego koguta.

Straciłem rachubę czasu, a wrzaski zaczęły przyprawiać mnie o ból głowy.

King Richie zamilkł i podał mi naczynie, wypełnione do połowy ohydnie wyglądającą breją.

– Pij! – wrzasnął, po czym cisnął martwym ptakiem o podłogę.

Spojrzałem na niego błagalnym wzrokiem.

– Pij! – krzyknął jeszcze głośniejsze. – Albo dziewczynie nic się nie stanie.

Chciałem zaprotestować, powiedzieć, że sram na Martę i chcę już iść do domu. Ale moja duma nie pozwoliła mi na to. Wypiłem wszystko. Największymi łykami jakie byłem w stanie przełknąć, wlałem w siebie gęste świństwo. Zrobiłem to błyskawicznie, dzięki czemu poczułem smak dopiero po ostatnim łyku. Skrzywiłem twarz w grymasie obrzydzenia, bowiem moje kubki smakowe zasygnalizowały połączenie niedogotowanej i nieposolonej czerniny z czymś równie gorzkim jak żółć.

Mężczyzna zabrał mi michę i odstawił na blat, po czym zaczął tupać i tańczyć jakiś chory taniec. Kręcił się wkoło, trzymając ręce skierowane do góry, jakby w geście prośby. Wirował coraz szybciej i szybciej, a ja chwilami nie miałem pewności, czy wciąż widzę kapłana czy kogoś zupełnie innego. Do tego darł się wniebogłosy, jeszcze głośniejsze niż poprzednio. Jego wrzaski i walenie butami o podłogę przyprawiały mnie o szaleństwo. Żołądek podszedł mi do gardła. Czulem, że za moment zwymiotuję. Wtedy odniosłem wrażenie, że kątem oka widzę jakiś cień, który powoli przybliżył się do mnie. Czarny kształt rósł i rósł, aż w końcu całe pomieszczenie ogarnęła nieprzenikniona ciemność.

Otworzyłem oczy. Leżałem na łóżku w moim pokoju. Spojrzałem na stojący na szafce obok budzik: było dość wcześnie, a więc musiałem niedawno wrócić do domu. Podniosłem się z posłania, ale natychmiast zaległem z powrotem.

– Jezu... – jęknąłem. – Ale mnie bania napierdala.

Sięgnąłem do szafki, po czym wyjąłem opakowanie tabletek. Chwilę później połknąłem bez popicia jedną po drugiej.

Po kilkunastu minutach poczułem się na tyle lepiej, że chwiejnym krokiem podszedłem do krzesła i wydobyłem z kieszeni spodni telefon.

– W porzo, Henry? – przywitałem się. – Słuchaj, co się dzisiaj stało? Ja nic nie pamiętam.

Big Bang był zaskoczony moim pytaniem. Odpowiedział, że jak wyszedłem z mieszkania szamana, to poprosiłem o zamówienie taksówki, bo nie czułem się na siłach wracać pieszo. Nie chciałem też poczekać na przyjazd autobusu.

– Postaliśmy razem, aż przyjechało taxi. I jeszcze starłem ci z twarzy zakłęcie, bo zapomniałeś się umyć. No, a potem wsiadłeś i odjechałeś – relacjonował. – Fakt, nie wyglądałeś zdrowo. Byłeś spocony jak szczur i przerażony. Ale nie dziwię ci się. Wciąż pamiętam, jak ja przeżyłem swój rytuał.

Nie pamiętałem ani strzępka zdarzeń, o których mówił Henry. Miałem jednak nadzieję, że powoli pamięć powróci.

– Czy wiesz, jak długo będę czekał na wypadek Marty?

– King Richie nie powiedział ci? – zdziwił się.

– Może i powiedział, ale nic nie pamiętam. – Zaakcentowałem mocniej dwa ostatnie słowa.

– Ach, tak. To trwa najwyżej tydzień. Tylko tyle uwolniony duch może przebywać w naszym świecie.

Podziękowałem mu za wyjaśnienia, a potem położyłem się do łóżka. I niemal natychmiast zasnąłem.

Wracałem z pubu, gdzie opowiedziałem Henry’emu przebieg rytuału. A przynajmniej tyle, ile z niego zapamiętałem. Mocno podchmielony szedłem już jakiś czas wzdłuż Turnpike Line. Po chwili zauważyłem, że chodniki były zupełnie opustoszałe. Co prawda o tej porze nie spodziewałem się tłumów, ale bardzo zdziwiła mnie tak wyludniona ulica. Wszystko dokoła wyglądało jak po ataku śmiercionośnej epidemii.

Nagle zgasły latarnie. Okolicę przykrył szczelny płaszcz bezgranicznej ciemności.

– No, kurwa – zakląłem. – Ciemno, jak w ... – Zachichotałem, kiedy wyobraziłem sobie Henry’ego wypinającego wielką dupę.

Usłyszałem za sobą jakiś trzask. Obejrzałem się. Nie zauważyłem niczego godnego uwagi, szczególnie, że mrok nocy skutecznie przeszkadzał w zobaczeniu czegokolwiek.

Po chwili znowu jakiś dźwięk dobiegł moich uszu. Kiedy spojrzałem za siebie, ujrzałem tylko egipskie ciemności.

Wkrótce zza pleców dotarło do mnie głośnie sapanie. Zatrzymałem się. Momentalnie oblał mnie zimny pot. Byłem przekonany, że coś lub ktoś skrada się za mną. Strach zupełnie mnie sparaliżował. W końcu, powoli, odwróciłem się. I zamarłem.

Przede mną stał ogromny lew. Przez chwilę patrzył na mnie świecącymi szkarłatem oczami, po czym wyszczerzył kły. Nagle ryknął tak głośno, że aż zapiszczało mi w uszach.

Zerwałem się do szaleńczego biegu. Czulem, że gorący oddech ścigającego jest coraz bliżej. Kiedy mijalem niewielki mostek, coś uderzyło mnie w bok. Przeleciałem nad barierką, po czym spadłem kilka metrów w dół, uderzając plecami o szyny kolejowe. Moje ciało przeszył palący żywym ogniem ból. Straciłem przytomność.

Usłyszałem regularne pikanie. Coś, co przypominało dźwięk mechanizmu odliczającego wybuch bomby, wdzierало się do mojego mózgu. Otworzyłem oczy. Po krótkiej chwili domyśliłem się, że leżałem na plecach, bo nade mną wisiał biały sufit. Zerknałem w bok „Dlaczego nie mogę się poruszyć?” i zauważyłem szafkę, na której stały jakieś urządzenia. Spojrzałem w drugą stronę „Dlaczego nie mogę się poruszyć?”, gdzie zobaczyłem rurki oraz kropłówkę. Teraz miałem pewność „Dlaczego, kurwa, nie mogę się poruszyć!?” , że byłem w szpitalu.

Moich uszu dobiegły dwa głosy. Henry rozmawiał z jakąś kobietą.

– Jest sparaliżowany – wyjaśniała – i trudno powiedzieć, jak długo pozostanie w takim stanie. Może tydzień, może miesiąc, a może kilka lat?

– Pani doktor, ale on wyjdzie z tego? – zapytał Bang.

Nie padły żadne słowa. Wyobraziłem sobie, że lekarka wzruszyła bezradnie ramionami.

Chwilę później usłyszałem oddalające się kroki. Wiedziałem, że Henry wkrótce odwiedzi mnie ponownie, ale marna to była pociecha. Nawet nie mogłem się rozplakać.

Kiedy tak leżałem i myślałem o swoim żalonym położeniu, zaskrzypiały drzwi i ktoś wszedł do pokoju. Czulem jego obecność.

– Wiem, że mnie słyszysz – odezwał się King Richie. Zrobił kilka kroków, aż w końcu ujrzałem jego twarz. – I wiem, że mnie widzisz.

Usiadł na skraju łóżka, po czym rzekł:

– Pewnie zastanawiasz się, dlaczego tak się stało? Odpowiedź jest prosta. Tylko czysta nienawiść może dokonać zemsty. Ale jest jeden warunek: pokrzywdzony musi być pewny swoich uczuć, w przeciwnym razie sam staje się ofiarą klątwy.

Powstał z pozycji siedzącej i począł grzebać w torbie.

– Zapomniałeś tego.

Pokazał mi zakrwawioną fotografię. Po chwili postawił ją na szafce, opierając o medyczną aparaturę.

– Nie martw się. Twój stan nie potrwa dłużej niż rok. – Jeśli próbował mnie pocieszyć, to raczej mu nie wyszło. – A swoją drogą, to chyba tylko białas nie potrafi odróżnić miłości od nienawiści.

Wypowiedziawszy te słowa, zniknął za drzwiami.

Fryzjer

W sercu lasu tkwił pokryty strzechą drewniany dom. Otoczony grupą starych dębów, schowany pośród gęstego zbiorowiska drzew i porośnięty mchem był niemal niewidoczny. Prowadziła do niego tylko jedna, słabo udeptana ścieżka. Można było pomyśleć, że chałupa jest niezamieszкана. Zaprzeczala jednak temu jasna smuga dymu, wydobywająca się z komina.

Przed domkiem, leżąc na starej, zaniedbanej ławce, przeciągał się leniwie czarny kot, który zerkał ukradkiem na kruka siedzącego na gałęzi dębu. Obejście wyglądało na zaniedbane; porośnięte wysoką trawą i gęstymi krzakami oraz kłęczami plożącymi się po ziemi i pnączami wspinającymi się po ścianach budynku.

Ze środka chałupy dobiegł dźwięk upuszczonego na podłogę naczynia.

– Czart by cię zeżarł – zakłęła cicho pod nosem staruszka, po czym schyliła się i podniosła z drewnianej posadzki sporych rozmiarów blachę. – Teraz dorzucę trochę przypraw i będzie pychotka – mówiła do siebie, bo w pobliżu nie było żywego ducha.

Kuchnia, w której rezydowała kobieta, kleiła się od brudu. Ściany pokrywała pleśń wraz z niezliczoną ilością pajęczyn, a na suficie widniała wielka plama będąca efektem przeciekającego dachu. Bez przerwy latały roje bzyzcących much. Pobudzały apetyt mnóstwa pajaków, czekających cierpliwie na zdobycz w postaci uwięzionego w sieci insekta. Pod zabryzganym czerwoną cieczą niewielkim oknem leżały kości, ułożone w stożkowaty stos. Na środku pomieszczenia znajdował się ogromny stół, a na nim kilka naczyń i sztućców oraz bardzo dużo mięsa. Z blatu na podłogę ściekała krew, tworząc sporą kałużę.

Staruszka ułożyła mięso na metalowej blasze i podeszła do murowanego brudnoszarego pieca. Za pomocą stalowego haka otworzyła żelazne drzwiczki, za którymi tańczyły pomarańczowe języki płomieni. Do chałupy buchnęło gorące powietrze.

– Teraz upieczemy. To będzie królewskie danie. – Zamocowała blachę nad ogniem w piecu i zachichotała, zacierając ręce z zadowolenia. Po chwili z piekarnika zaczął dobiegać dźwięk skwierczącego mięsa. Słodki zapach pieczeni ekspansywnie rozprzestrzenił się po kuchni, lechcąc kubki smakowe gospodyni. – Ktoś zrobił nam prezent, aż ślinka cieknie – dodała,

zamykając żelazne drzwi pieca, po czym podreptała w kierunku wiklinowego kosza, stojącego na podłodze przy wejściu do kuchni. Wyjęła zeń kilka sztuk pogniecionych, zakrwawionych ubrań i poczęła je uważnie przeszukiwać. Po chwili pomarszczona dłoń natknęła się na kawałek papieru.

Kobieta wydobyła zawiniątko. Wygladziła palcami papier, po czym wlepila wylupiaście galy w pismo.

– Za ciemno, za ciemno – narzekała zniechęcona.

Po krótkim namyśle przemieściła się bliżej okna, aby z pomocą skąpo przenikających do domku promieni słonecznych zapoznać się z treścią znalezionych dokumentów. Trzęsące się ręce utrudniały czynność, mimo to staruszka nie dała za wygraną i czytała dalej. Wraz z postępem lektury zmieniał się wyraz jej twarzy. Zaniepokojona uniosła głowę i spojrzała w kierunku pieca.

– O, żeby cię...

Naraz rozległ się głośny huk, dodatkowo spotęgowany leśnym echem. Pierwsza faza eksplozji ukazała wysoki, sięgający ponad drzewa słup ognia. Stopniowo płomienie ogarnęły również drzewa i krzaki otaczające dom. Następnie pojawiła się czarna chmura, która przesłoniła słońce, powodując niemal całkowite zaciemnienie kniei.

Chatka przestała istnieć. Powoli dopalały się pozostałości domku, porozrzucane siłą wybuchu po puszczy okalającej obejście.

II

Pokój był największym w zamku. To tutaj od wieków witano i podejmowano władców innych krajów oraz ważnych posłańców. Również w tym miejscu monarcha sądził i skazywał przestępców w myśl zasady: „Ja jestem sędzią, ławą przysięgłych i egzekutorem”. Co prawda na dworze zatrudniono kata, ale to król wybierał rodzaj tortur lub sposób wykonania wyroku śmierci w zależności od ciężaru gatunkowego wykroczenia.

Zamyślony król siedział na drewnianym tronie pokrytym złotymi zdobieniami. Jego czarne włosy, częściowo ukryte pod koroną, opadały na ramiona. Drapał długi, krogulczo zakrzywiony nos i patrzył przed siebie zezowatym wzrokiem. Władca piastował swój urząd od pięciu lat. Przejął koronę po wypadku ojca, który podczas polowania został stratowany przez tura i umarł w mękach dwa dni później. Zdarzenie zaskoczyło wszystkich, ponieważ tylko ranne tury uważano za groźne, a w chwili ataku zwierzę nie było w żaden sposób uszkodzone.

Bolesław Krótkowzroczny przebywał w komnacie samotnie, oczekując na spodziewanego gościa. „Znowu mu się udało. Jest niezawodny. Zresztą płacę hojnie za jego usługi. Niepokoi mnie fakt, że tak dużo wie. Kiedyś trzeba będzie coś z tym zrobić i pozbyć się Fryzjera, ale na razie jest potrzebny” – dumal.

Od strony sosnowych drzwi dobiegło donośne pukanie. Wyrwany z zamyślenia król krzyknął:

– Wejść!

W komnacie pojawił się zbrojny. Ukłonił się przed władcą i oznajmił:

– Miłościwy Panie, właśnie przybył Fryzjer Brzytewka. Czy zechcesz go przyjąć?

– Tak, niech wejdzie.

Żołdak ponownie pochylił głowę, po czym odwrócił się na pięcie i oddalił się.

Chwilę później do sali wszedł wysoki, atletycznie zbudowany mężczyzna. Jego ubiór sprawiał, że wyglądał jak przeciętny mieszczanin. Miał pospolitą twarz – taką, którą można zapomnieć po kilku minutach – a jego głowę porastały jasne, kręcone włosy.

– Bądź pozdrowiony, Wasza Miłość – rzekł i ukłonił się.

– Witaj – odpowiedział Krótkowzroczny. – Podejdz bliżej, śmiało.

– Panie, wybac mi zuchwałość, ale stoję o dwa kroki od ciebie.

– Hmm, no tak. Mam problemy ze wzrokiem – wyjaśnił zakłopotany Bolesław, a twarz pokryły mu rumieńce wstydu. Postanowił zmienić niezręczny temat: – Cieszę się, że misja wyeliminowania wiedźmy została zakończona sukcesem. Ciekawi mnie, jak tego dokonałeś? Przed tobą kilku śmiałków próbowało ją zlikwidować. Bez pozytywnego skutku, niestety, a mówiąc ściślej, to wszyscy twoi poprzednicy wachają kwiatki od spodu.

– Cóż, nie było to łatwe – rozpoczął Brzytewka. – Wiedziałem, jak zresztą wszyscy, że czarownica jest smakoszem ludzkiego mięsa, a nade wszystko gustuje w konsumpcji dzieci. Udało mi się pozyskać, pod pozorem opieki, parę bliźniąt z biednej, chłopskiej rodziny. Mieszkali ze mną przez kilka dni, a potem zaproponowałem wspólną wyprawę na jagody. W lesie uśmierciłem dziatki, a w ich ciała wpompowałem pokaźną ilość płynnej siarki. No, a potem podrzuciłem trupy w pobliże chałupy wiedźmy. Ta natomiast, jak to ma w zwyczaju, postanowiła przyrządzić pieczeń. Kiedy włożyła mięso do piekarnika, ogień spotkał się z siarką i nastąpił...

– Wybuch! – przerwał opowieść król. – Genialny plan. Nie musiałeś nawet używać swojej słynnej brzytwy. A przynajmniej nie w stosunku do staruchy. Hmm... dręczy mnie jedno pytanie: nie żal ci tych biednych dzieci?

– Nie – odpowiedział bez zająknięcia płatny morderca. – Poświęciłem dwoje dla uratowania kilkudziesięciu, a może nawet i kilkuset. Trudno powiedzieć, jak długo żyją czarownice? Możliwe, że w ogóle nie umierają śmiercią naturalną. Poza tym, o ile Małgosia była grzeczną dziewczynką, o tyle Janek przejawiał skłonności do kleptomani.

– Jak to? Kradł? – dopytywał zdziwiony Krótkowzroczny.

– Właśnie – potwierdził rozmówca. – Podczas jego krótkiego pobytu sporo przedmiotów zniknęło z mojego domu. Nawet niektórych dokumentów nie mogę się doszukać. O! – przypomniał sobie. – Na przykład przypadło bez śladu zlecenie zabójstwa wiedźmy. Panie, to tylko kwestia czasu, kiedy skazałbyś go na tortury lub śmierć.

– Rzeczywiście, chyba masz rację – przyznał władca. – Nie pojmuję, po co ukradł pisma? Potrafił czytać?

– Bynajmniej. Przypuszczam, że zabrał dokumenty, bo nic lepszego nie znalazł. Trudno wytłumaczyć działania kleptomana.

– Rozumiem – podsumował monarcha i na chwilę zamilkł, jakby chciał dokonać retrospekcji zdarzeń opowiedzianych przez Fryzjera.

Wreszcie ponownie się odezwał:

– Mam dla ciebie dwa kolejne zlecenia. Pierwszym obiektem jest zbój zwany Kwasopijem. Spójrz! – Uniósł kilkanaście pism, wymachując nimi za złością wymalowaną na twarzy. – To są skargi od kupców i obwoźnych handlarzy! Według moich informatorów lotr ma siedzibę na terenie Boru Niedźwiedziego. Próbuje go schwytać od wielu miesięcy, ale ciągle się wymyka moim żołnierzom. Wczoraj, podczas rozmowy z przedstawicielstwem kupców, ustaliliśmy, że poszkodowani będą w stanie wyłożyć pewną kwotę za pozbycie się Kwasopija.

– Tak. Słyszałem co nieco o nim – odrzekł obojętnym tonem Fryzjer. – A drugi cel?

– W okolicach Martwego Bagna pojawił się Nierządnik.

– Nic o tym nie wiem – stwierdził zdziwiony i zapytał: – Co to za diabeł?

– Przypadkowo prawie zgadłeś. – Uśmiechnął się Krótkowzroczny. – Według nadwornego teologa to najgroźniejszy z demonów bagiennych. W dodatku o skłonnościach homoseksualnych. Napada na mężczyzn i ich gwałci.

– Dlatego się skarżą? – zapytał z rozbawieniem w głosie Brzytewka.

– Powód jest nieco inny – odpowiedział poważnie król. – Po zaspokojeniu seksualnych potrzeb Nierządnik urywa lby ofiarom i posila się ich mięsem.

Zapadła chwila ciszy. Fryzjer stał bez ruchu, patrząc na podłogę, zaś monarcha siedział ze wzrokiem skierowanym zarówno na północ, jak i na południe.

– Czy miesiąc wystarczy ci na wypełnienie zadania? – Przerwał ciszę głos Krótkowzrocznego.

– Tak. Powiniennem zdażyć. Za twoim pozwoleniem, Wasza Wysokość, najpierw chciałbym zająć się demonem, a potem Kwasopijem.

– Kolejność nie ma dla mnie znaczenia, natomiast czas jest ważny. Za dwa miesiące rozpocznie się w grodzie coroczny Wielki Targ, a trudno będzie o przyjazd handlarzy, jeśli rozejdą się plotki o zbroju i Nierządniku grasujących po okolicy. To wszystko, co miałem do zakomunikowania. Po wykonaniu zadania otrzymasz zapłatę, jaką ustaliliśmy wcześniej. Teraz możesz odejść.

– Zawsze do usług Waszej Miłości – odpowiedział zabójca, uklonił się i ruszył do wyjścia.

Gdy zniknął za drzwiami, król ciężko westchnął.

– Nadchodzi czas twojej śmierci, Brzytewko – wyszeptał. – Świadomość, że znasz prawdę o wypadku mojego ojca nie daje mi spokoju. Twoja wiedza staje się dla mnie ciężarem.

Monarcha wziął do ręki pismo, które wcześniej przeczytał i patrząc na nie, zamyślił się. „Szpiegzy donoszą o działaniach Imperatora. Mimo pogromu jego armii w bitwie pod Pasięką, wciąż snuje plany przyłączenia mojego królestwa do Cesarstwa. Tak, to poważny problem” – dumal monarcha.

III

Brzytewka szedł kamienną drogą głównej części miasta. Mijał znajomych, którym chętnie i z uśmiechem odpowiadał na powitania. Ulica była centrum handlowym oraz usługowym. Znajdowała się tutaj kuźnia kowalska, a poza tym swoją pomoc oferowali: szewc, medyk i krawiec. Oprócz tego spragnieni i głodni mogli skorzystać z gospody, a potem zabawić się w domu uciech. Wszyscy starali się żyć w zgodzie i harmonii, jedynie medyk z kowalem od dłuższego czasu toczyli spór. Szkopuł tkwił w usługach stomatologicznych, którymi obaj się zajmowali. Z ich konfliktu zadowoleni byli mieszkańcy grodu, ponieważ panowie w ramach konkurencji ciągle obniżali ceny. Kowal poszedł już tak daleko, że w oplacie za podkucie konia oferował wyrwanie zęba za darmo.

Na końcu drogi, nad brązowymi drzwiami kamienicy, wisiał szyld z napisem „Fryzjer”. Brzytewka przystanął, przekreślił klucz w zamku, po czym wszedł do środka. Zmienił ubranie, przygotował stanowisko pracy, a potem powiesił w oknie kartkę z napisem „Otwarte”.

Chwilę później w lokaju zjawił się mężczyzna. Miał łysą głowę, przysadzistą sylwetkę, a na szyi zawieszony złoty łańcuch. Nazywał się Teodor Klusek i był właścicielem gospody oraz burdelu.

– Witaj, Brzytewko.

– Dzień dobry, Teodorze. Strzyżenie? – zapytał żartobliwie fryzjer.

Obaj wybuchnęli gromkim śmiechem.

– Niestety, golenie – odparł Klusek i usiadł na krześle. – Zmieniłem konia, wiesz? Mam teraz czteroletnią czarną klacz. Jest niesamowicie szybka. Sporo zapłaciłem, ale warto było.

Fryzjer słuchał opowieści klienta na temat osiągnięć kupionego wierzchowca. Dowiedział się także o dwóch nowych pracowniczkach domu uciech. Teodor zachęcał do skorzystania z ich usług. Znał upodobania seksualne Brzytewki, ponieważ ten był jednym z najczęściej odwiedzających burdel. Inaczej sprawa miała się z gospodą, gdyż fryzjer żył w całkowitej abstynencji.

Zakończył golenie, a zaraz potem usłyszał z ust Kluska wiele komplementów.

– Jesteś artystą – mówił, dotykając swojej twarzy. – Nikt nie potrafi posługiwać się brzytwą tak jak ty. Nawet nie zauważyłem, że mnie golisz, a tu już, pstryk! I po wszystkim. Niewiarygodne.

Brzytewka grzecznie podziękował. Pożegnał gościa i zapowiedział swoje późniejsze przybycie do domu uciech.

Przedtem musiał odbyć ważną rozmowę.

Nadszedł wieczór. Spotkanie zaplanowano w dzielnicy biedoty, która znajdowała się za murami głównego miasta. Rzadko zapuszczał się tam ktokolwiek ze znajomych Fryzjera, a chodziło o to, żeby uniknąć ciekawskich spojrzeń i odpowiedzi na późniejsze niezręczne pytania.

Brzytewka szedł nieoświetloną ścieżką, gdy nagle jego uwagę zwrócił pewien dźwięk.

– Psst! Podejdź tutaj – zagadnęła postać stojąca pod jednym z drzew.

Fryzjer zbliżył się do niższego o głowę człowieka. Nieznajomy miał na sobie czarny płaszcz, a część jego twarzy skrywał kaptur, spod którego wystawała krucza broda.

– A kto z nami nie wypije... – wypowiedział część hasła.

–... ten będzie pił pomyje – dokończył Brzytewka, po czym przeszedł do rzeczy: – Znalazłem pozostawioną w moim lokalu wiadomość od ciebie, więc przyszedłem. Jaka jest twoja oferta?

– Mój pan, Imperator, proponuje Ci pracę – przedstawił propozycję bez większych ceregieli. – Orientujesz się w sytuacji politycznej i zdajesz sobie sprawę, że wojna jest nieunikniona. Król Krótkowzroczny przegra ją, a wszyscy jego współpracownicy zginą pod katowskim toporem. Ty możesz ocaleć.

– Nie strasz. – Brzytewka szybko wybił posłańcowi z głowy pomysły o szantażowaniu. – Powiedz mi lepiej, jakie korzyści materialne niesie ze sobą służba Cesarstwu?

– Dostaniesz stałą posadę płatnego mordercy z czterokrotnie większym wynagrodzeniem niż obecnie – wyrecytował, by po krótkiej pauzie zapytać: – Jaka jest twoja odpowiedź?

– Daj mi chwilę. – Fryzjer uciszył rozmówcę ruchem dłoni i zajął się analizą tego, co usłyszał. W końcu przemówił: – Zgoda, przyjmuję warunki.

– Mam dla ciebie pismo. Powinienem ci je dać do przeczytania, gdy wyrazisz zgodę na współpracę. Oto ono. Sługa Cesarstwa przekazał Brzytewce papier zwinięty w rulon. Fryzjer złamał cesarską pieczęć i szybko zapoznał się z treścią listu. Uśmiechnął się szeroko.

– Dobra wiadomość? – zapytała postać w kapturze.

– O, tak – odpowiedział.

Nagle w jego rękę coś błysnęło. Błyskawicznym ruchem przeciął tętnicę szyjną szpiega. Posłaniec próbował dłońmi powstrzymać krwotok. Charcząc i plując krwią, osunął się na ziemię. Przez chwilę targaly nim agonalne drgawki, po czym zastygł w bezruchu z przerażeniem wymalowanym na twarzy.

– Jedno zlecenia wykonane – mruknął pod nosem Brzytewka.

Szybko przeszedł trupa, lecz nic nie znalazł. Ostatni raz spojrzął na ciało leżące u jego stóp. Potem splunął w jego kierunku i ruszył w drogę powrotną.

„Po trudach związanych z moim drugim etatem nadszedł czas na rozrywkę” – myśli Fryzjera podążyły w kierunku nowych pracownic burdelu.

IV

W pobliżu Martwych Bagien, dzięki pełni księżyca, dało się dostrzec jakiś ruch. Mężczyzna dźwigał na plecach duży pakunek i bez przerwy rozglądał się na boki.

Postaci towarzyszyła symfonia cykad, w której dźwięki wkradło się od czasu do czasu kumkanie lub rechot żab, najwyraźniej cierpiących na bezsenność.

Fryzjer zrzucił parciany worek na trawę. Otarł pot z czoła i wyjął brzytwę z kieszeni płaszcza. Przeciął pakunek. W miarę usuwania materiału, powoli ukazywał się trup młodego chłopca. Miał ciemnie włosy i był zupełnie nagi. Młodzieniec został uduszony, o czym świadczył granatowy ślad pozostawiony przez mordercę na szyi denata.

Brzytwę ułożył ciałem twarzą do ziemi. Wyciągnął zza pazuchy małe zawiniątko, otworzył je i wytrząsnął zawartość na dłoń. Po chwili trzymał kilka niewielkich kawałków metalu. Przeciągnął palcem po krawędzi jednego z nich i syknął z bólu. „Bardzo ostre, oto właśnie chodziło” – pomyślał, gmerając przy trupie.

Później wstał, otrzepał spodnie, po czym udał się w stronę gęstych krzaków. Pośród nich, na niewysokim wzniesieniu, rozłożył niebieską kape. Zalegając na niej wygodnie, spojrzal przed siebie. Miał dobry widok na miejsce, w którym leżały zwłoki.

Niedługo potem na polanie pojawiła się dziwna kudłata postać. Demon powoli i ostrożnie człapał, wydając przy tym dźwięki niczym pies tropiciel. Był wysoki i pokryty brązową sierścią, jego oczy świeciły szkarlatem, a z półrozwartych szczęk wystawały dwa rzędy nierównych ogromnych zębów. Pomiedzy nogami monstra dyndał długi penis. Siegał do kolan i obijał się o nogi przybysza, utrudniając mu poruszanie się. „Diabeł gotów wpędzić mnie w kompleksy” – dumal żartobliwie Fryzjer.

Nierządnik podszedł do pozostawionego ciała. Rozejrzal się dookoła, po czym zaczął dotykać, a potem szturchać zwłoki. „Mam nadzieję, że nekrofilia nie jest mu obca. W przypadku problemów przygotowałem drugi wariant” – Brzytwę uważnie obserwował nocne wydarzenia.

Demon wziął w dłoń ogromny członek. Przez chwilę masturbował się, sapiąc przy tym oraz oblizując ciemne wargi. Później przysiadł i przyciągnął ku sobie bladego trupa. Brutalnie wepchnął nabrzmiały penis w odby martwego młodzieńca.

Rozległ się przeraźliwie głośny, pelen bólu, zwierzęcy ryk. Hałas wydobywający się z gardła potwora był tak donośny, że opadło kilka liści z pobliskich drzew, cykady zamilkły, a przestraszone żaby pochowały się pod wodą. Nocne zwierzęta znajdujące się opodal bagna uciekały, oddalając się w poplochu od źródła ogłuszającego dźwięku.

Ukryty w krzakach i obserwujący zajście człowiek dłońmi zakrył uszy. Jego twarz wyrażała zniecierpliwienie. „Ależ on wrzeszczy! Nie zniosę tego dłużej!” – Brzytewka był bliski oblędu, lecz wiedział, że musi wytrzymać. Zawsze działał według ułożonego wcześniej planu. Zdawał sobie sprawę, że jakiegokolwiek odstępstwo od założeń mogło przynieść groźne konsekwencje.

Demon w końcu podniósł się z trawy. Szlochał. Z czerwonych oczu popłynęły wielkie łzy. Stał tak przez chwilę, próbując rękami powstrzymać krwotok z krocza. Po chwili, kulejąc, oddalił się niezdarnie w głąb moczarów.

– Zdrzemnę się, a potem przystąpię do realizacji dalszej części planu. – Fryzjer odetchnął z ulgą i ułożył się do snu.

Obudziły go trele ptaków. Słońce powoli wynurzało się ponad Martwymi Bagnami, budząc do życia stworzenia przyzwyczajone do dziennego trybu życia. Brzytewka wstał, plosząc dwie sarny, przeciągnął się i ruszył krwawym śladem pozostawionym ostatniej nocy.

Przedzierał się przez dziką część mokradel. Zachowując ostrożność, starał poruszać się jak najciszej. Zatrzymał się, kiedy jego wzrok wyłowił kształt zdecydowanie niepasujący do otoczenia. Niedaleko, w czarnej i częściowo zakrzepniętej kałuży krwi, zalegał owłosiony stwór.

Mężczyzna oddalił się od diabła, podniósł wypatrzony w trawie kamień i rzucił nim. Czynność powtórzył kilkakrotnie. Brak reakcji ze strony Nierządnika ośmieliła Fryzjera do zbliżenia się. Wyjął spod płaszcza niewielką siekierkę i podszedł do poczwary.

Demon leżał z wybaluszonymi oczami. Z rozdziawionej gęby wystawał czarny język, dorównujący wielkością krowiemu. Ręką zaciskał zranionego członka.

– Wykrwawił się na śmierć – wydedukował płatny morderca, siadając na klatce piersiowej trupa.

Powoli toporkiem zaczął odcinać rogaty leb. Sapał przy tym jak dzień wcześniej w burdelu i kłął jak szewc.

– Tam, do kata! – narzekał. – Z czego on jest? Z drewna czy co?

Po długiej i ciężkiej pracy oddzielił pożądaną część ciała od reszty zwłok.

V

– ... a więc szpieg okazał się Kwasopijem? Niewiarygodny zbieg okoliczności! – Król skomentował sprawozdanie Brzytewki.

– Tak. List od Imperatora, oprócz oczywiście proponowanego wynagrodzenia i zlecenia zadania, przedstawiał mojego rozmówcę jako poszukiwanego zbója. Miał być łącznikiem – wyjaśnił Fryzjer.

– Jednocześnie uprawiał dywersję – wtrącił Krótkowzroczny. – Oslabiał królestwo napadami na kupców. Cesarz zdaje sobie sprawę, że dopóki prowadzimy wymianę handlową z krainami zachodu, dopóty będziemy silni i trudni do podbicia. A i jeszcze jedno: kim był młodzieniec, którego użyłeś jako przynęty na diabła bagiennego?

– Bezdomnym anarchistą. Koczował pod murami twierdzy, codziennie nawołując do buntu przeciw koronie. Mówił o stworzeniu rządów wybieranych przez lud. Marzyciel, o którego nikt nie będzie pytał. To pewne.

Monarcha w jednej ręce trzymał łeb Nierządnika, a w drugiej dzierzył zdobiony kielich wypełniony po brzegi czerwonym winem.

– Ohydztwo – skwitował aparycję nieszczęsnego demona i cisnął kudłatą głową o podłogę. Wypił łyk trunku, po czym odstawił naczynie. Zezowaty wzrok prawdopodobnie skierował w stronę Fryzjera. – Jestem z ciebie dumny, Brzytewko. Dowiodłeś swojej lojalności i oddania sprawom królestwa. Dlatego też podwajam twoje wynagrodzenie.

– Stokrotne dzięki, Wasza Wysokość – odpowiedział Fryzjer. – Zawsze realizuję otrzymane zlecenie, bez względu na wszystko. To moja dewiza, również w zawodzie oficjalnym. A właśnie, jeśli o to chodzi... Proszę mi wybaczyć śmiałość, ale czy mogę podejść bliżej i spojrzeć na włosy Waszej Miłości? Jest coś, co mnie niepokoi.

– Tak, oczywiście. – Bolesław wyglądał na przejętego.

Mężczyzna zbliżył się do króla, wziął do ręki kosmyk włosów i przyglądał się wnikliwie przez chwilę. Potem powrócił na wcześniej zajmowane miejsce i rzekł:

– Wasza Wysokość ma rozdwojone końcówki. Trzeba będzie skrócić fryzurę o kilka centymetrów. Czy w ostatnim czasie zaczęło wypadać więcej włosów niż dawniej?

– Tak – odparł bez wahania władca. – Po kąpieli balia jest cała nimi oblepiona.

– Będzie potrzebny balsam z pokrzywy – zdiagnozował fryzjer. – Po kilku zabiegach włosy będą lśnić i cieszyć się dobrym zdrowiem.

– Sądzę, że niebawem odwiedzę twój lokal. – Uśmiechnął się król. – Czy jest szansa na rabat?

– Niestety, zniżki obejmują tylko stałych klientów – odpowiedział Brzytewka.

Krótkowzroczny roześmiał się głośno, aż twarz mu poczerwieniała z rozbawienia. Kiedy się uspokoił, powiedział:

– Dobry z ciebie przedsiębiorca i jednocześnie świetny płatny morderca. Możesz odejść, skontaktuję się z tobą w odpowiednim czasie.

Fryzjer uklonił się nisko i wyszedł.

„I pomyśleć, że chciałem go pozbawić życia. Teraz takiego to ze świecą szukać! Człowiek z zasadami” – pomyślał zadowolony król i wypił łyk alkoholu z kielicha. Skrzywił twarz z niesmakiem. – Ależ cierpkie jest to wino. Mówią, że im starsze, tym lepsze. To postać przez chwilę, a smakuje znacznie gorzej.

„Czy może coś w moim życiu zmienić inny monarcha na tronie? Zupełnie nic. Będę wciąż fryzjerem i Fryzjerem, bo dobrzy fachowcy są zawsze w cenie” – rozmyślał Brzytewka, przygotowując stanowisko pracy. Umył lustro, naostrzył brzytwę, a na koniec pozamiatął podłogę. Podeszedł do okna, gdzie po chwili umieścił kartkę z napisem „Otwarte”. Potem usiadł na bujanym fotelu przed kamienicą, by pooddychać świeżym powietrzem.

Na zewnątrz było słychać bicie zamkowych dzwonów. Kilka kobiet płakało, klęcząc na ulicy. Tłum poruszał się chaotycznie niczym spłoszony rój pszczoł. Mieszczanie dyskutowali, niektórzy krzyczeli, inni wrywali sobie włosy z głów. Zza rogu ulicy wybiegł żołdak, krzycząc jak poparzony:

– Król! Król nie żyje!

Wszyscy zgromadzeni ruszyli do siedziby Bolesława Krótkowzrocznego. Prawie wszyscy...

– Nie spodziewam się dziś żadnych klientów, ale lokal będzie otwarty, jak zawsze – mruknął, uśmiechając się ledwo zauważalnie. Zmrużył oczy i patrzył na dwa słońca chowające się za dachami kamienic, co zapowiadało rychłe nadejście nocy. „Przecież jakieś zasady trzeba mieć” – pomyślał fryzjer. Fryzjer Brzytewka.



*Tomasz
Lawada
(Eferelin Rand)*

Rocznik 1983. Adwokat. Mieszka w okolicach Rzeszowa. Literatura, a w szczególności fantastyka, pasjonuje się niemal od zawsze. Jest zapalonym graczem Go.

Publikował na łamach magazynów: „Nowa fantastyka”, „Ofant” i „Esensja”, a także, pod pseudonimem „Eferelin Rand”, na portalach fantastyka.pl, szortal.com, herbatkauheleny.pl.

Współautor dwóch antologii fantastycznych: „Człowiekiem jestem” (2013), „I zimy stąd nie wyjdzie nikt” (2014).

Topienie

Starzec ściągnął grube rękawice i schował je do obszernych kieszeni baraniego kozucha. Chuchnął kilka razy w zgrabiałe z zimna dłonie, a następnie potarł je energicznie o siebie, próbując rozgrzać skostniałe palce.

Obłoczek oddechu zamigotał srebrzyście, po czym rozpląnął się w powietrzu. Noc była widna i mroźna. Chociaż z księżyca pozostał zaledwie skrawek, który następnego dnia miał zniknąć zupełnie, to las wylawiało z mroku silne światło gwiazd, odbijające się od leżącego wszędzie śniegu.

Starzec przykucnął i ściągnął z ramienia podłużny pakunek. Zabrał się do rozwiązywania konopnego sznurka. Szło mu ciężko. Sterane dłonie już dawno straciły młodzieńczą sprawność. Mógłby po prostu rozedrzeć papier pakowy, ale nie chciał. Traktował walkę ze sznurkiem jako prognozę wydarzeń, które miały dopiero nadejść.

Ostatni supel ustąpił po kilku minutach.

Papier rozwinął się, ukazując metalowy kij bejsbolowy. Mężczyzna skrzywił się odruchowo. Przez lata przyzwyczał się do siekiery, ale ostatnimi czasy musiał zmienić upodobania. Kij był zdecydowanie bardziej poręczny i, w razie czego, nie wywoływał tylu pytań.

Nalożył z powrotem rękawice, chwycił mocno stylisko i ruszył dalej w głąb lasu. Nocną ciszę przerywało jedynie skrzypienie śniegu i posapywanie starca.

Jak na koniec marca było bardzo zimno. Zima nie chciała odpuścić i wciąż trzymała świat w lodowych okowach.

Rankiem tego dnia, gdy wracał ze spaceru, widział rzesze dzieciaków, niosących ze sobą przeróżne kukły, które potem spłynęły rzeką niczym ławica bibułowych ryb. Ofiara została złożona, ale bogini zimy jak zwykle uznała ją za niewystarczającą.

– Nic nigdy nie jest takie proste – mruknął pod nosem.

O mało nie upadł, gdy stopa natrafiła na ukryty pod śniegiem kamień. Starzec zachwiał się, ale zdołał utrzymać równowagę. Udręczone artretyzmem kolana zaskrzypiały żałośnie.

Bogowie, jestem taki stary, a wciąż nie mam następcy – pomyślał.

Odpędził ponure myśli. Nie powinien się dekoncentrować. Wolął nie zastanawiać się, co będzie, gdy jego zabraknie. Brzemie, które dźwigał, z upływem czasu wydawało się coraz cięższe.

– Wytrzymam, muszę wytrzymać – powiedział, garbiąc się mimowolnie. – Jeszcze tylko ten jeden raz – obiecał sobie po raz kolejny, jak czynił to od wielu, wielu lat.

Drzewa przerzedziły się, a po chwili zupełnie ustąpiły miejsca rozległej polanie. Starzec przystanął na skraju i zmrużył oczy, próbując przebić wzrokiem ciemność. Wypatrzył ją dopiero po paru minutach – drobną postać przechadzającą się w śniegu. Choć z oddali nie dało się dostrzec szczegółów, wiedział, że to kobieta o zjawiskowej urodzie.

Jak każdy demon.

Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił. Nie musiał się już spieszyć. Spokojnie obserwował zbliżającą się istotę. Rzeczywiście była piękna – alabastrowa cera, tak jasna, że zdawała się zlewać ze śniegiem w jedno, delikatne rysy twarzy, długie, jasne, lśniące szronem włosy. Wydawała się lekka i eteryczna niczym zjawa. Spojrzenie pustych białych oczu prześliznęło się beznamiętnie po mężczyźnie.

Nie poznała go.

Ta niepamięć zawsze zdumiewała starca. Czasami zastanawiał się, czy na pewno ma do czynienia z tą samą istotą. Podejrzewał, że w miejscu, z którego pochodziła, czas płynął inaczej. Wolniej. Być może dla niego mijał zaledwie rok, a dla niej eony. Wiedział, że nigdy się tego nie dowie.

Przeszła obok, nie zwróciwszy na niego żadnej uwagi. Pojedynczy człowiek był dla niej równie nieistotny co kamienie czy drzewa. Starzec podążył za nią, czując nagle przyływ sił i energii. Wyjął papierosa z ust i przytknął do ramienia kobiety.

Krzyknęła zaskoczona, gdy ognista pieczęć rozkwitła na skórze.

– Nie ziemią, nie wodą, nie powietrzem, lecz ogniem przez człowieka stworzonym przykuwam cię do realnego świata, suko – warknął starzec.

Wziął zamach i z całej siły uderzył kijem w głowę demona. Kobieta padła na ziemię. Z ostrożności walnął jeszcze kilka razy. Upewnił się, że jest nieprzytomna, po czym związał jej nogi i, ciągnąc za sznur, powłókł w stronę leśnego strumienia.

Zanim dotarł na miejsce, zasapał się ciężko. Odczekał długą chwilę, starając się uspokoić świszczący oddech. Z każdym rokiem kosztowało go to coraz więcej.

Resztką sił wybił dziurę w lodzie. Chwycił kobietę za włosy i wcisnął jej głowę pod wodę. Natychmiast oprzytomniała. Zaczęła wierzgać i wymachiwać rękami, ale starzec trzymał mocno.

Sekundy wlekły się niemiłosiernie wolno.

– No zdychaj wreszcie! – wycodził przez zęby.

Nagle rozległ się krzyk, a potem świat eksplodował bólem. Starzec padł na ziemię z rozbitą głową. Zanim umarł, zobaczył, jak młody chłopak wyciąga demona ze strumienia. Nie zdołał otworzyć ust, żeby go ostrzec.

– Nic ci nie jest? – spytał Kamil drżącym głosem. Serce waliło mu jak oszalale. Ze wstrętem wyrzucił zakrwawiony kamień. Nieopodal leżał świr z rozwalonym łbem. Nie widzącym wzrokiem wpatrywał się w niebo. Wypływająca z rany krew wydawała się czarna. – Już w porządku, już nic ci nie zrobi – dodał. Zdażył w samą porę. Jeszcze kilka sekund i ten psychol z pewnością by ją utopił. W myślach podziękował losowi, że właśnie tego wieczoru obdarował go natchnieniem. Od paru lat skrycie pisywał wiersze, a najlepiej tworzyło mu się po skřęcie wypalonym nocą w pobliskim lesie. W mniemaniu Kamila było to bardzo poetyckie i niezwykle.

Dziewczyna spojrzała na niego dziwnymi, pustymi oczami. Mokre strąki włosów oblepiły jej twarz.

– Jak masz na imię? – spytał. – Ja jestem Kamil.

Nie odzywała się przez tak długi czas, że zaczął podejrzewać, że nie usłyszała pytania. Kiedy jednak otworzył usta, by przedstawić się jeszcze raz, odpowiedziała – szeptem, przypominającym powiew arktycznego wichru.

Marżanna.

Z nieba zaczął padać gęsty śnieg.

Spis treści

Słów kilka	5
Krzysztof Baranowski	6
Noblesse oblige	7
Tomasz Borkowski	10
Studnia	11
Karol Mitka	22
Rytuał	23
Przemek Morawski	38
Cięń Salamandry	39
Corpus Nobile	61
Antoni Nowakowski	84
Brama – opowieść o Aaronie Wintersie	85
White Creek	116
Magdalena Pasik	140
Seamair	141
Agata Sienkiewicz	182
Serce gołębic	183
Bohdan Waszkiewicz	190
Biała nienawiść	191
Fryzjer	205
Tomasz Zawada	216
Topienie	217

Do tej pory ukazały się:

Tea Book

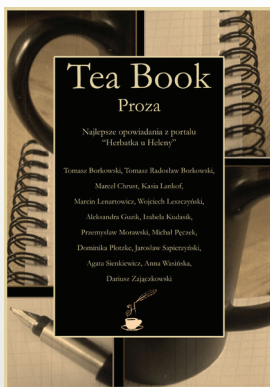


Tea Book Poezja

Najlepsze wiersze powstałe
„Herbatka u Heleny”

Lukasz Jaworski
Agnieszka Kasprzycka
Marcin Lenartowicz
Patrik Przybyłowicz
Władysław Ryś
Marcin Szetlak
Lukasz Wrzałik

Poezja



Tea Book Proza

Najlepsze opowiadania z portalu
„Herbatka u Heleny”

Tomasz Borowski, Tomasz Radosław Borowski,
Maciej Chruś, Kasia Lindorf,
Marcin Lenartowicz, Wojciech Leszczyński,
Michał Łukasz, Izabela Kuchta,
Przemysław Mironiuk, Michał Pyczał,
Dorota Pęta, Justyna Szperdyńska,
Agnieszka Szwed, Anna Włostkiewicz,
Dariusz Ziętekowski

Proza



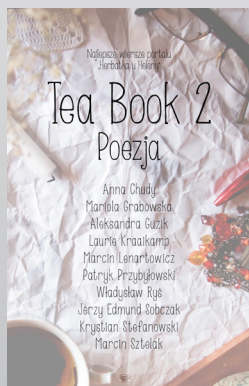
Tea Book Fantasyka

Najlepsze opowiadania z portalu
„Herbatka u Heleny”

Krzysztof Baranowski
Adrian Grodzki
Przemek Morawski
Magdalena Pańk
Rafał Suda
Jarosław Superczyński
Agnieszka Szwed
Andrzej Trybala
Bohdan Waszkiewicz
Lukasz Wrzałik

Fantasy

Tea Book 2

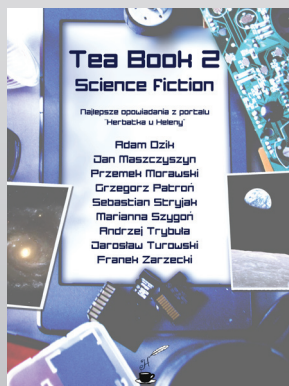


Tea Book 2 Poezja

Najlepsze wiersze powstałe
„Herbatka u Heleny”

Anna Chudy
Marta Grabowska
Aleksandra Guzik
Lauria Kraaikamp
Marcin Lenartowicz
Patrik Przybyłowicz
Władysław Ryś
Jęży Edmund Sobczak
Krzysztof Szeffanowski
Marcin Szetlak

Poezja

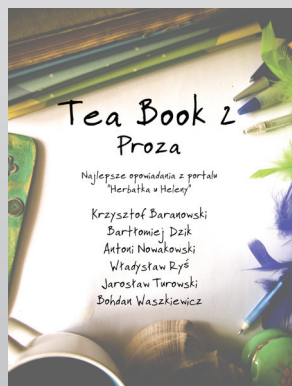


Tea Book 2 Science Fiction

Najlepsze opowiadania z portalu
„Herbatka u Heleny”

Adam Dził
Jan Mszczyszyn
Przemek Morawski
Cezary Patroń
Sebastian Strzyżak
Marianna Szygon
Andrzej Trybala
Dorota Turawska
Franek Zarzecki

Sci-fi



Tea Book 2 Proza

Najlepsze opowiadania z portalu
„Herbatka u Heleny”

Krzysztof Baranowski
Bartłomiej Dził
Antoni Nowakowski
Władysław Ryś
Jarosław Turawski
Bohdan Waszkiewicz

Proza

www.herbatkauheleny.pl